

Nowe Zagłębie

Czasopismo
społeczno-kulturalne

nr indeksu

252352

nr 2 (2/32) marzec – kwiecień 2014

cena 7 zł zawiera 8% VAT

Zagłębiowskie świętowanie
Dobrawa Skonieczna-Gawlik

Architektura w okupowanym Zagłębiu Dąbrowskim
Stefania Hanusek

W 75. rocznicę urodzin Stanisława Krawczyka
Katarzyna Niesporek, Paweł Sarna

Konferencja naukowa – 10 lat Zagłębia Dąbrowskiego w Unii Europejskiej

FELIETONY

Zbigniew Adamczyk, Jadwiga Gierczycka,
Michał Kręcis, Halina Rybak-Gredka, Andrzej Wasik

PROZA

Ryszard August

POEZJA

Marta Palarz

PLASTYKA

Aleksandra i Piotr Pietrzak

Wybory do Parlamentu Europejskiego

Jerzy Buzek, Adam Gierek, Genowefa Grabowska, Marek Migalski,
Jan Olbrycht, Halina Sobańska, Jadwiga Wiśniewska



9 771689 528000

Fot. D. Kindler



**ZWIĄZEK ZAGŁĘBIOWSKI
POLSKIE STOWARZYSZENIE „DOM EUROPEJSKI”
MUZEUM W SOSNOWCU**

**POD PATRONATEM
PREZYDENTA MIASTA SOSNOWCA KAZIMIERZA GÓRSKIEGO
ORAZ POSŁA DO PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO PROF. ADAMA GIERKA**

ZAPRASZAJĄ NA KONFERENCJĘ

10 LAT ZAGŁĘBIA DĄBROWSKIEGO W UNII EUROPEJSKIEJ

**która odbędzie się 24 kwietnia 2014 roku w Wyższej Szkole Humanitas
przy ul. Kilińskiego 43 w Sosnowcu o godzinie 12:00**

Celem konferencji jest ocena zmian społecznych i gospodarczych w regionie Zagłębia Dąbrowskiego jako części województwa śląskiego po wejściu Polski do Unii Europejskiej w 2004 roku oraz próba symulacji miejsca regionu w najbliższej przyszłości jako regionu europejskiego.

W programie konferencji:

- Prof. zw. dr hab. poseł do Parlamentu Europejskiego Adam Gierk o Unii Europejskiej i niewykorzystanych szansach
- Małgorzata Staś, Dyrektor Wydziału Rozwoju Regionalnego Urzędu Marszałkowskiego w Katowicach o wsparciu podregionu sosnowieckiego w ramach RPO – WSL na lata 2007–2013 oraz w perspektywie Unii Europejskiej na lata 2014–2020
- mgr Jarosław Wesołowski, Dyrektor Wydziału Europejskiego Funduszu Społecznego Urzędu Marszałkowskiego w Katowicach o Europejskim Funduszu Społecznym dla Zagłębia Dąbrowskiego
- Dr Paweł Sarna (Uniwersytet Śląski w Katowicach) o wybranych problemach życia kulturalnego w Zagłębiu Dąbrowskim
- Prof. dr hab. Krzysztof Czekaj (Wyższa Szkoła Zarządzania Ochroną Pracy w Katowicach) o zagrożeniu demograficznym dla mieszkańców Zagłębia Dąbrowskiego i jego wpływie na politykę społeczną
- Dr Halina Sobańska (radna miejska w Sosnowcu) o Europejskiej Karcie Równości Kobiet i Mężczyzn w Życiu Lokalnym
- Prof. dr hab. Maria Tkocz (Uniwersytet Śląski w Katowicach) o wpływie przynależności Polski do Unii Europejskiej na sytuację gospodarczą Zagłębia Dąbrowskiego

Prowadzenie: dr Kazimierz Gołosz (Uniwersytet Śląski)

PARTNERZY KONFERENCJI:

KSSE S.A. Podstrefa
Sosnowiecko-Dąbrowska

PKM Sosnowiec Sp. z o.o.

Tauron Polska Energia S.A.



PATRONAT MEDIALNY KONFERENCJI:

Telewizja Polska S.A.
Oddział w Katowicach

Polskie Radio Katowice S.A.

Nowe Zagłębie



Szanowni Państwo!

Już w pierwszym tegorocznym numerze „Nowego Zagłębia” sygnalizowałem kwestię wyborów do Parlamentu Europejskiego – które, przypomnijmy, odbędą się 25 maja br. – zachęcając Państwa do spełnienia swego obywatelskiego obowiązku.

Po dziesięciu latach obecności Polski w strukturach Unii Europejskiej radykalnie zmalała liczba przeciwników integracji europejskiej. Nie można bowiem nie doceniać roli, jaką odgrywają środki unijne w procesie modernizacji Polski. Służą zmniejszaniu dysproporcji w rozwoju regionów w krajach należących do Unii Europejskiej oraz wspierają rozwój infrastruktury, lokalne inicjatywy rozwojowe i przedsiębiorczość, a także przyczyniają się do rozwoju kompetencji zawodowych i wiedzy obywateli, co też jest niezbędne dla utrzymania dobrej kondycji w sferze gospodarczej, społecznej i kulturalnej.

Dzisiaj można mieć zastrzeżenia dotyczące sposobu wyboru i preferencji dziedzin finansowanych z tych środków, jednak nie można nie doceniać ich systemowej roli jako środków inwestycyjnych, których do momentu wstąpienia do Unii Europejskiej w naszych narodowych zasobach po prostu nie było.

Wydawca „Nowego Zagłębia” – Związek Zagłębiowski, obchodzący w tym roku jubileusz dwudziestolecia, podjął decyzję o zorganizowaniu konferencji popularno-naukowej pt. „10 lat Zagłębia Dąbrowskiego w Unii Europejskiej” poświęconej ocenie rezultatów polityk lokalnych (gminnych i powiatowych) oraz polityki władz podregionu sosnowieckiego i polityki samorządu województwa śląskiego pod kątem ich wpływu na sytuację gospodarczą i społeczną regionu Zagłębia Dąbrowskiego. Konferencja będzie okazją do wyjaśnienia procesów gospodarczych i społecznych, będących konsekwencją absorpcji środków unijnych. Jednym z ważnych celów konferencji jest analiza wpływu środków unijnych na proces harmonijnego, zrównoważonego rozwoju podregionu sosnowieckiego na tle pozostałych 7 podregionów województwa śląskiego. Jesteśmy przekonani, że wiedza poświęcona Unii Europejskiej oraz modernizacji Polski i naszego regionu przyczyni się do kreowania postaw innowacyjnych, przedsiębiorczych i obywatelskich, sprzyjających rozwojowi gospodarczemu i społecznemu podregionu sosnowieckiego. Partnerem projektu jest Muzeum w Sosnowcu oraz Polskie Stowarzyszenie Dom Europejski. Zainteresowanych problematyką wykorzystania środków unijnych w gminach i miastach podregionu sosnowieckiego zapraszamy do wzięcia udziału w konferencji w dniu 24 kwietnia br., która odbędzie się w Wyższej Szkole Humanitas w Sosnowcu.



Marek Barański

Nowe Zagłębie – czasopismo społeczno-kulturalne • Redaguje kolegium w składzie: Marek Barański – redaktor naczelny, Paweł Sarna – sekretarz redakcji, Maja Barańska, Ewa M. Walewska, Tomasz Kowalski – redakcja techniczna • Adres redakcji: 41-200 Sosnowiec, ul. Będzińska 65, tel./fax: + 48 32 788 33 62 do 63, + 48 512 175 814 • e-mail: redakcja@nowezaglebie.pl, www.nowezaglebie.pl • Wydawca: Związek Zagłębiowski • Współpracownicy: Zbigniew Adamczyk, Edyta Antoniak-Kiedos, Monika Bednarczyk, Paulina Budna, Michał Kubara, Karol Kućmierz, Krzysztof M. Macha, Dariusz Majchrzak, Jacek Malikowski, Dobrawa Skonieczna-Gawlik, Jerzy Suchanek, Joanna Wójcik • Felietoniści: Zbigniew Adamczyk, Jadwiga Gierczycka, Michał Kręćisz, Andrzej Wasik • Druk: Progress Sp. z o.o. Sosnowiec • Nakład: 1000 egzemplarzy • Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo ingerencji w teksty zamówione. Reklamę można zamawiać w redakcji; za treści publikowane w reklamach redakcja nie ponosi odpowiedzialności • Zasady prenumeraty „Nowego Zagłębia”: Prenumeratę krajową lub zagraniczną można zamawiać bezpośrednio w redakcji lub e-mailem • Cena prenumeraty półrocznej (przesyłanej pocztą zwykłą) – 3 wydania – 20 złotych, rocznej – 40 złotych • Prenumerata zagraniczna przesyłana pocztą zwykłą – 3 wydania – 60 złotych, roczna – 120 złotych • Wpłaty na prenumeratę należy dokonywać na konto: Związek Zagłębiowski, Bank Gospodarki Żywnościowej S.A., 54 2030 0045 1110 0000 0256 2940

Informujemy, iż Redakcja czasopisma „Nowe Zagłębie” nie bierze odpowiedzialności za poglądy Autorów piszących na naszych łamach. Jesteśmy otwarci na wszystkie opinie i przekonania oraz staramy się, aby były one reprezentatywne dla szerokiej grupy odbiorców naszego periodyku.

Spis treści

Potrzebne są konsultacje społeczne	2
Zagłębiowskie świętowanie, czyli jak obchodzą Wielkanoc w Zagłębiu Dąbrowskim ...	4
„Tropem Kolberga” – badania Zagłębia Dąbrowskiego w ramach Roku Kolberga rozpoczęte	7
Herb Ciołek	8
Maestra śpiewu solowego	8
Słowa i muzyka	12
„Kopernik” od kuchni	14
Architektura w okupowanym Zagłębiu Dąbrowskim	15
Tajemnica będzińskiego topora	18
PROZA	21
Wybory do Parlamentu Europejskiego	25
Rekordowe dofinansowanie dla Sławkowa	31
FILM	33
RECENZJA	34
POEZJA	35
PLASTYKA	36
FELIETON	38
W 75. rocznicę urodzin Stanisława Krawczyka – Poety Śląska i Zagłębia ..	45
Polska-Czechy-Słowacja	49
REGION	53



XX LAT
ZWIĄZKU ZAGŁĘBIOWSKIEGO



Druk i upowszechnianie czasopisma „Nowe Zagłębie” są współfinansowane przez Samorząd Województwa Śląskiego, gminę Sosnowiec, gminę Zawiercie Powiat Będziński



Śląskie. Pozytywna energia

Potrzebne są konsultacje społeczne

Z Przemysławem Smyczkiem, dyrektorem Wydziału Kultury Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego rozmawia Paweł Sarna

Po 1989 roku zainteresowanie regionalizmem i tożsamością regionalną okazało się żywotne w odniesieniu do Górnego Śląska, natomiast wobec Zagłębia Dąbrowskiego nieporównywalnie mniejsze. Nazwa „Zagłębie Dąbrowskie” niemal zupełnie zniknęła już z ogólnopolskich mediów. Czy Zagłębie ma szansę znowu zyskać uwagę?

Trochę przewrotnie odpowiem, że moim zdaniem, im silniejsze będą działania tożsamościowe związane z częścią górnośląską, tym więcej będzie również podobnych ruchów w innych rejonach województwa, w tym również w części zagłębiowskiej, która swoją tożsamość – dość silną – posiada. Problemy, o których Pan wspomina, dotyczą choćby nazwy województwa, która powoduje wiele różnych pomyłek w informacjach przekazywanych przez media na temat Zagłębia – choćby „w Sosnowcu na Śląsku” jest takim często spotykanym przykładem. Po 1989 r. obserwujemy działania oddolne wynikające z potrzeby samookreślenia i budowania lokalnej tożsamości. W części górnośląskiej są one silne. Ale zawsze powtarzam, że nie byłby Śląsk tak bogaty, gdyby nie miał obok siebie Zagłębia. Właśnie Zagłębie może zyskać na tym, że dużo mówi się o Śląsku. Jest ono elementem województwa śląskiego, ale ma własną, bardzo ciekawą historię.

Trudno nie wspomnieć przy tym o roli lokalnych liderów – bardzo aktywni są Ci, którzy mówią o Śląsku i jego odmienności.

Inicjatywy oddolne wielokrotnie są o wiele łatwiej akceptowane przez mieszkańców niż przedsięwzięcia kreowane przez administrację. Jeżeli pojawiają się liderzy, którzy mówią, że mamy z czego być dumni, że powinniśmy zachowywać swoją odrębność, ale w ramach większej całości, że nie powinniśmy się wstydić tego skąd się wywodzimy, to jest szansa na pozyskanie ludzi i ich zaangażowania, aby móc działać. Odnoszę wrażenie, że cały czas mamy pewien problem, i nie



Fot.arch.

chodzi mi tylko o mieszkańców naszego regionu, związany z pytaniem, czy jesteśmy dumni z miejsca, z którego pochodzimy – a przecież nie ma żadnego powodu, abyśmy tej dumy nie odczuwali.

Jak Pan ocenia wdrażanie strategii rozwoju kultury województwa śląskiego w Zagłębiu Dąbrowskim (podregionie sosnowieckim). Czy z perspektywy województwa można zaobserwować specyfikę regionów w obszarze kultury?

Subregion na pewno jest widoczny na mapie kulturalnej województwa. Jak wiemy, strategia pokazuje pewien model idealny, do którego chcielibyśmy zmierzać. Kultura jest elementem spajającym mieszkańców regionu, niezbędnym do rozwijania kompetencji, jak również jednym z tych elementów, które powinny zachęcić inwestorów. Ważne jest, aby mieszkańcy byli przygotowani do działań kreatywnych w nowej poprzemysłowej rzeczywistości. Na pewno w Zagłębiu Dąbrowskim pojawiły się już takie marki, które są rozpoznawalne. Taką marką staje się np. Teatr Zagłębia w Sosnowcu, który w zeszłym roku przedstawił głośny spektakl oparty na powieści Zbigniewa Białasa „Korzeniec”. Warto

przypomnieć, że jest to dzieło osadzone w rzeczywistości międzywojennego miasta Sosnowca. Ten przykład pokazuje, że my już potrafimy na bazie naszej historii tworzyć i opowiadać nowe historie. **Jako literaturoznawca zgadzam się z Panem w pełni.**

...Z kolei „Piąta strona świata”, która powstała w Teatrze Śląskim, wpisuje się w podobny nurt – opowiadamy o sobie w odniesieniu do pamięci miejsca, historii przekazywanych przez naszych rodziców, dziadków. Już potrafimy zbudować narrację, która opiera się na tym, co widzimy, czujemy lub na nowo odkrywamy. Jesteśmy u siebie i opisujemy ten nasz krajobraz. Poza tym coraz częściej pojawiają się osoby, które są zainteresowane poznawaniem bogactwa kultur pogranicza. Zagłębie było przecież tygłem narodowościowym, tam właśnie pojawiały się nowe technologie, tam napływali ludzie z całej Europy, którzy nie tylko pracowali, ale budowali kapitał, jak również swoją tożsamość. Teraz najważniejsze pytanie – czy władze potrafią to wykorzystać?

No właśnie – czy potrafią?

Nie jestem przekonany. Przede wszystkim, czy wykorzystują ten potencjał, czy pokazują tę odmienność w sposób pozytywny, twórczy.

Poproszę w takim razie o przykłady współdziałania lub braku współdziałania władz – samorządowych, bo rozumiem, że o nich mówimy – z organizacjami trzeciego sektora, czyli skupiającymi tych, którzy proponują tzw. inicjatywy oddolne.

Aby daleko nie szukać, wskażę na Państwa czasopismo „Nowe Zagłębie” – to jest znamieny przykład. Władze samorządowe nie w pełni widzą i wykorzystują szansę, jaką byłoby wsparcie stowarzyszenia, które wydaje czasopismo regionalne, obejmujące obszar od Sosnowca aż do Zawiercia. Niestety, nie widzę zdecydowanego wsparcia trzeciego sektora ze strony samorządów lokalnych nie tylko w Zagłębiu, ale w całym województwie. Jeżeli spojrzymy, ile pieniędzy miasta wydają na konkursy grantowe, to okazuje się, że jest to poniżej połowy promila całego budżetu. A przecież pieniądze w budżetach są, ale są wykorzystywane na inne działania, między innymi na różnego rodzaju darmowe imprezy masowe. Nie działa natomiast to, co najważniejsze, czyli konsultacje społeczne co do sposobu wykorzystania pieniędzy obywatela, z którego podatków one pochodzą.

Cieszę się, że wskazał Pan na problem podziału pieniędzy na kulturę, bo właśnie miałem o to zapytać. Biorąc pod uwagę malejącą od kilku lat pulę pieniędzy na konkursy w obszarze kultury, czy nie należałoby zmienić celów strategii w województwie śląskim?

W strategii nie możemy wskazać kto jest odpowiedzialny za realizację poszczególnych zadań, ponieważ to wynika z ustaw. Beneficjentem tego dokumentu są wszystkie samorządy, natomiast my nie mamy żadnego narzędzia, aby „wymusić” na samorządach, aby coś realizowały. W celach uwzględniony jest trzeci sektor, są też pokazane cele i kierunki działań, które należy realizować. Proszę zwrócić uwagę na cel czwarty strategii, który w moim odczuciu jest przez samorządy w ogóle niezauważany, choć samorząd województwa bardzo często o nim przypomina. Jedno z działań w ramach tego obszaru strategicznego dotyczy wykorzystania środowisk twórczych dla polepszenia przestrzeni publicznej. Mówię tu o zadaniu,

które jest realizowane głównie przez samorządy miast i gmin. Na ile środowiska twórcze uczestniczą w procesie projektowania miasta? Wcale. A nawet bez wydatkowania środków można by było zaangażować organizacje pozarządowe do pomocy w zaprojektowaniu miasta, w którym one działają.

A dlaczego organizacje pozarządowe w tym nie uczestniczą?

W 2009 roku w budżecie województwa zapisane były ponad 4 miliony na granty dla organizacji pozarządowych działających w sferze kultury – i było to zbyt mało pieniędzy. Choć w dziale kultury i ochrony dziedzictwa narodowego w budżecie województwa jest ich coraz więcej, to de facto jest ich mniej dla organizacji, bo rosną koszty utrzymania instytucji, w tym koszty utrzymania obiektów. Jeśli chodzi o organizacje trzeciego sektora, to moglibyśmy je zaangażować do wielu działań, ale musimy to robić w ramach procedur konkursowych. Procedury te, jak wiemy, nie są szczególnie elastyczne, a w wielu przypadkach wręcz uniemożliwiają efektywną współpracę.

Jaka jest pozycja instytucji kulturalnych trzeciego sektora oraz sektora prywatnego w stosunku do instytucji samorządowych?

Odpowiem wprost – jest ona zła. Tak jest obecnie ustawiony system legislacyjny, że funkcjonuje w nim wiele uprzywilejowanych podmiotów, jakimi są instytucje kultury. Są to instytucje publiczne, które dostają pieniądze na działalność, ale równocześnie mogą prowadzić działalność gospodarczą w sposób rynkowy, aczkolwiek nie podlegają w wielu przypadkach tym samym przepisom i obustronności, co podmioty prywatne, jak chociażby w tym fundamentalnym obszarze, jakim jest dostęp do środków publicznych. Wiele organizacji czy podmiotów gospodarczych prowadzi podobną działalność, ale nie ma tej bezpiecznej możliwości w postaci stałego zasilania z budżetu samorządu. Zwiększenie nakładów finansowych na modernizację obiektów instytucji kultury nie zawsze idzie w parze z lepszą ofertą. Przy tym koszty utrzymania infrastruktury nie maleją, a dochody samorządów niestety nie rosną. Poza tym w sposób systemowy wyrugowano inne możliwości finansowania organizacji trzeciego sektora i podmiotów gospodarczych. Nie ma możliwości prze-

kazania dotacji z budżetu samorządu np. Teatrowi „Korez”, który jest teatrem prywatnym działającym w formie spółki. Nie pozwalają na to przepisy. Z kolei firmom nie opłaca się przekazywać pieniędzy na NGO – brakuje im systemu zachęt.

Pośród wskaźników monitoringu realizacji strategii rozwoju kultury województwa śląskiego znajduje się liczba składanych projektów przez twórców. Co mówią w tym wypadku liczby?

Każdy samorząd może fundować stypendia dla twórców na wykonanie dzieła. Nasze analizy pokazują, że spośród 167 gmin w województwie stypendia funduje tylko siedem. Najwięcej stypendiów funduje Marszałek Województwa, w latach ubiegłych było to 40 stypendiów po 10 tys. złotych, wypłacanych w pięciu miesięcznych ratach. W ostatnich latach niestety jest ich tylko 20. Na drugim miejscu był Sosnowiec, dalej są poszczególne jednostki samorządu, które fundują jedno czy dwa stypendia. Ten najprostszy i prawnie dopuszczalny mechanizm subsydowania twórców po to, by tworzyli dzieła, nie jest w praktyce wykorzystywany, a nie musi on kosztować wiele. Gdyby każda jednostka samorządu ufundowała w skali roku przynajmniej jedno stypendium w wysokości 5 tys. złotych, to wielu twórców z regionu mogłoby skorzystać z tej formy wsparcia. Z drugiej strony samorządy wydają bardzo wiele pieniędzy na promocję, gadzety, które na dodatek nie są projektowane przez rodzimych artystów, a najczęściej w Chinach.

Chyba musimy zakończyć rozmowę tym pesymistycznym akcentem...

W dyskusji o kulturze na poziomie samorządów najczęściej rozmawia się o pieniądzach i kwituje się problem stwierdzeniem, że jest ich za mało. Pieniądzy nie będzie więcej – to po pierwsze. Po drugie – cały czas nie mamy planu, na co te środki powinny być wydawane, ponieważ nie prowadzi się żadnej debaty publicznej na ten temat. A chodzi tu o kwestie priorytetowe, jak ta, czy dzięki kulturze możemy zbudować markę regionu i zachęcić inwestorów i turystów, aby tutaj inwestowali i zostawiali swoje pieniądze, czy też jak przy pomocy organizacji pozarządowych tworzyć nową jakość funkcjonowania samorządów, twórców i instytucji kultury, aby wykorzystać efektywnie potencjał, który mamy.

Zagłębiowskie świętowanie, czyli jak obchodzono Wielkanoc w Zagłębiu Dąbrowskim

Czas przygotowań do Wielkanocy rozpoczyna się już w Środę Popielcową. Dawniej w trakcie trwającego 40 dni postu nie spożywano potraw mięsnych, żadnych tłuszczów, a nawet mleka.

Codziennym posiłkiem ubogiej ludności w Zagłębiu pod koniec XIX w. był żur (polewka na zakwasie żytnim), śledzie oraz tzw. *bigos*, czyli rozgotowane śliwki lub jabłka z ziemniakami. Zgodnie z naukami Kościoła w czasie poprzedzającym Wielkanoc unikano także picia alkoholu, nie organizowano wesel i zabaw. Z jednej strony Wielki Post był okresem religijnego przygotowywania wiernych na śmierć i zmartwychwstanie Jezusa, a z drugiej strony miał uzasadnienie zupełnie prozaiczne: był to czas *przednówku*, czyli moment, w którym kończyły się zapasy żywności zgromadzone jesienią. Być może religijne uzasadnienie przymusowego ograniczenia jedzenia, czyniło post łatwiejszym do zniesienia?

Dziś post nie jest już tak rygorystycznie przestrzegany. Kościół zaleca powstrzymanie się od potraw mięsnych w piątki, a wielu mieszkańców Zagłębia Dąbrowskiego twierdzi, iż w tym czasie



Jaja ozdobione różnymi technikami. Fot. B. Gawlik

nie powinno się urządzać wesel ani innych hucznych zabaw.

Dawniej każda z przypadających w trakcie postu niedziel miała swą nazwę, a była to: Niedziela Wstępna (I niedziela postna), Sucha (II niedziela postna), Głucha (III niedziela postna), Śródpstna (IV niedziela postna), Niedziela Męki Pańskiej (V niedziela postna) i Niedziela Palmowa. To właśnie ta ostatnia, szósta niedziela postna zwana *wierzbą* lub *kwietną*, rozpoczyna Wielki Tydzień – najbardziej intensywny czas przygotowań do Wielkiej Nocy, czas w którym obrzędy religijne przeplatają się z zachowaniami magicznymi, elementy chrześcijańskie splatają się z pogańskimi a dawne zwyczaje ze współczesnymi.

W Niedzielę Palmową, na pamiątkę wjazdu Chrystusa do Jerozolimy, w kościele kapłan święci *palmy*. Głównym składnikiem palmy wielkanocnej były i są gałązki wierzbowe nazywane powszechnie *baziami*, a czasem także *kocankami*. Oprócz wierzby do wicia palmy używano: trzciny pospolitej, cisu, sosny zwyczajnej, jałowca, brzozy, bukszpanu czy borówki brusznicy. Palmę ozdabiano bibułkowymi kwiatami i wstążkami.

Obecnie, szczególnie w miastach zagłębiowskich, większość wiernych ku-

puje palmę na targowiskach, w sklepie lub kwiaciarni. Taka palma może mieć kształt bukietu z bazi, bukszpanu, gałązek sosnowych i kłosów zbóż lub może być to, obca dla naszego terenu, palemka wileńska misternie uwita z suszonych kwiatów, traw, mchu i zbóż. Jednak na terenach podmiejskich i wiejskich częściej samodzielnie przygotowuje się palmę z bazi, sosny i bukszpanu; przyozdabia się ją kwiatami sztucznymi lub zrobionymi z krepiny, barwionymi kłosami zbóż i wstążkami.

Dawniej, o czym wspominają dziewiętnastowieczni badacze, po poświęceniu wierzbowych gałązek smagano się nimi, połykano bazię, aby uchronić się od chorób gardła, a samą palmę umieszczano za obrazami świętych, nad drzwiami lub na ścianach domostw. Wierziono bowiem, że palma wielkanocna uchroni dom od piorunów, a krowy od czarownic, natomiast poświęcone rośliny podane w postaci naparu pomogą choremu człowiekowi lub zwierzęciu. Palmy używano także do okadzania krów, wkładano do uli i gniazd gęsi, podawano do zjedzenia psom, aby zabezpieczyć je przed wścieklizną. Ponadto krzyżyki zrobione z gałązek wierzby wtykano w glebę na polu, co miało uchronić je przed gra-

Grób Pański w Kościele pw. NMP Różańcowej, Sosnowiec 2013. Fot. B. Gawlik





Palma na ścianie domu, Trzebińów 2014. Fot. D. Skonieczna-Gawlik

dobiciem i zapewnić dobry plon. Wierzone również, iż kawałki palmy wrzucane do ognia podczas silnej nawałnicy rozpędzą chmury i przywrócą pogodę, a palma położona pod łóżkiem chorego pozwoli mu szybciej powrócić do zdrowia. Najważniejsze jednak było, aby poświęconą palmę przechowywać w domu przez cały następny rok.

Niegdyś początek Wielkiego Tygodnia przeznaczony był na sprzątanie domu, obejścia i zabudowań gospodarczych, natomiast od Wielkiego Czwartku przystępowano do pieczenia i gotowania potraw na świąteczny stół. Wierzone bowiem, że od Wielkiego Czwartku do Wielkiej Soboty nie należy ciężko pracować, bo to przysporzyłoby cierpienia Jezusowi, szczególnie przestrzegano zakazu szycia i rąbania drewna.

Oprócz prac domowych w Wielki Tydzień wiele czasu poświęcano przygotowaniu duchowemu. Po czwartkowej porannej mszy (obecnie w niektórych parafiach po mszy wieczornej, tzw. wieczery pańskiej) milkną dzwony kościelne, które aż do rezurekcy zastępowane są kołatkami bądź klekotkami.

W Wielki Piątek wierni udają się do świątyni, gdzie ma miejsce adoracja Bożego

Grobu. Przy grobie sprawowana jest symboliczna warta, pełniona np. przez strażaków. W Koziegłówkach (pow. myszkowski) strażą grobową są *Turki* – mężczyźni ubrani w wielobarwne stroje i wysokie kolorowe czapki z maskami na twarzach (zwyyczaj obecnie praktykowany jest również w Winownie i Ligocie Mokrzesz).

Ludowym obrzędem wielkopiątkowym praktykowanym dawniej w Zagłębiu Dąbrowskim, a dziś spotykanym jedynie sporadycznie np. w Sławkowie i Będzinie-Grodźcu, było obmycie się przed wschodem słońca w rzece, źródle lub strumieniu. Wierzone w uzdrawiające i zapobiegające chorobom właściwości wielkopiątkowej wody. Ponadto w Wielki Piątek surowo przestrzegano postu, wyrzekając się mięsa oraz tłuszczu i spożywając jeden skromny posiłek w ciągu dnia. Tego dnia wypiekano słodkie mazurki, wysokie drożdżowe baby, kołaczki, serniki, makowce oraz baranki z ciasta. Malowano, drapano, oklejano jajka – symbol życia i niezbędny atrybut Wielkiej Nocy. Jajka najczęściej farbowano w łupinach cebuli, tak jak robi to wielu z nas obecnie, uzyskując w ten sposób skorupkę w kolorach od żółtego do brązowego. Jako barwnik stosowano również kwiaty malwy, odwar z buraków, pędy młodego żyta, a na gładkiej kolorowej skorupce wydrapywano wzory. Jajka oklejano także rdzeniem z sitowia, kolorową włóczką i skrawkami tkanin.

Zgodnie z tradycją w Wielką Sobotę

(niegdyś już w Wielki Piątek wieczorem) wierni udają się do kościoła, aby ksiądz po odmówieniu modlitwy poświęcił przyniesione pokarmy. Nasi pradziadowie, podobnie ja i my współcześnie, do koszyka wkładali chleb, szynkę, kielbasę, pieczone mięso, jaja, ciasto, chrzan, pieprz i sól oraz kawałek białego sera. My nasze koszyki nieco modyfikujemy, wzbogacając je różnymi gatunkami wędlin i mięs, cukrowymi bądź czekoladowymi zajączkami i barankami, owocami czy buteleczką octu. Koszyczek z pokarmami przykryty białą serwetką i przyozdobiony zielonymi gałązkami bukszpanu lub barwinku, dodatkowo może być ustrojony małym, ozdobnym kurczakiem lub kolorowymi wstążkami.

W Wielką Sobotę w kościele ma miejsce również ceremonia święcenia ognia i wody. Od palącego się przed kościołem ogniska ksiądz zapala paschał, który następnie wnosi do kościoła. Jeszcze w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej istniał zwyczaj wkładania do poświęconego ognia drewniek złożonych w krzyż. Opalone krzyżyki zatykano w drugi dzień świąt na krańcach pól. Wierzone, iż uchroni to pola przed klęskami żywiołowymi i zapewni urodzaj. Poświęconą wodę wierni zabierają natomiast w buteleczkach do domu. Niegdyś taką wodą kropiono bydło przed pierwszym wypasem, zboże przed siewem i ziemniaki przed sadzeniem.

Dzień Zmartwychwstania Pańskiego rozpoczyna msza rezurekcyjna od-

Turki, KoziegłóWKi 2013. Fot. R. Garstka





Święcone pokarmów, Pilica 2011. Fot. B. Gawlik

prawiana wcześniej rano – najczęściej o godzinie szóstej. Po powrocie z kościoła, uprzednio podzieliwszy się poświęconym jajkiem, tak jak nakazuje tradycja, zasiada się do wielkanocnego

śniadania. Dziś w niektórych domach w wielkanocną niedzielę podaje się żur z kielbasą i jajkiem, co może mieć początek w wielkanocnej polewce gotowanej w latach 80. XIX wieku z serwatki z grudkami sera, kawałeczkami szynki oraz kielbasy.

Dawniej w Niedzielę Wielkanocną nie należało ścielić łóżek, zmiatać podłogi, myć naczyń, rozpalać ognia pod kuchnią, gotować obiadu oraz wykonywać czynności w gospodarstwie, które nie były konieczne. Przestrzegano także zakazu wzajemnych odwiedzin twierdząc, że od tego mogą powstać wrzody zwane *bolączkami*.

W Zagłębiu Dąbrowskim drugi dzień Świąt Wielkanocnych nazywany jest *lanym poniedziałkiem*, *mokrym poniedziałkiem*, *śmigusem* lub rzadziej *dyn-gusem*. Tego dnia oblewano się wodą, a zwyczaj ten tak opisuje Stanisław Ciszewski: „Leją się wszyscy starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, a opierając się na tym przysłowiu: »Od Wielkanocy do Zielonych Świątek, można polać choćby w Piątek« przedłużają ten zwy-

czaj [...] zawsze do kilku dni”. Chłopcy do polewania wodą używali kiedyś różnych naczyń: wiader, konewek, garnków i drewnianych sikawek, które dziś zastąpione zostały butelkami, miskami i plastikowymi *śmigustówkami*. Obecnie zwyczaj ten praktykowany jest przede wszystkim przez młode pokolenie.

W czasie Wielkanocy uważnie obserwowano pogodę, z której próbowano zgodnie z przysłowiami wywnioskować, jakie będą zbiory w danym roku (*Jak na Wielkanoc pada to trzeci kłos w polu przepada, Pogodny dzień wielkanocny, grochowi wielce pomocny*). Był to również czas zabiegów magicznych, w których brzmiały jeszcze echa dawnych świąt agrarnych, takich jak wspomniane wyżej oblewanie wodą mające zapewnić deszcz niezbędny dla upraw lub rozrzucanie w przydomowym ogródku bądź zakopywanie w polu skorup z poświęconych jaj, co miało przyczynić się do lepszych plonów.

Dobrawa Skonieczna-Gawlik
Etnograf, Muzeum Zagłębia w Będzinie

Poświęcone pokarmy, Sosnowiec 2013. Fot. B. Gawlik



„Tropem Kolberga” – badania Zagłębia Dąbrowskiego w ramach Roku Kolberga rozpoczęte



Dzień św. Doroty, Będzin – Gródziec 2014. Fot. R. Garstka

Kwestionariuszowe badanie etnograficzne Zagłębia Dąbrowskiego, połączone z dokumentacją fotograficzną zabytkowego budownictwa oraz miniatury filmowe obrzędów dorocznych to jedno z działań realizowanych w ramach Roku Kolberga w województwie śląskim. W zadanie podjęte przez Regionalny Ośrodek Kultury w Katowicach zaangażowane jest również Muzeum Zagłębia w Będzinie oraz Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. W ramach przedsięwzięcia planowane są działania o charakterze badawczym, dokumentacyjnym oraz popularyzatorsko-edukacyjnym. Projekt otrzymał dofinansowanie Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Etnografów, kulturoznawców i fotografów zaangażowanych w zadanie pt. „Tropem Kolberga – etnograficzne badania terenowe Zagłębia Dąbrowskiego” już ostatnio można było zobaczyć przy pracy m.in. w Niegowonicach, Targoszycach i Niegowej. Ponadto badaniami dotyczącymi zwyczajów dorocznych i rodzinnych zostaną objęte: Koziegłówki, Żeliszewice, Siemonia, Ogrodzieniec (gmina), Wojkowice

Topienie Marzanny, Będzin 2014. Fot. R. Garstka



Kościelne, Psary oraz Tucznawa. Natomiast dokumentacja dotycząca dawnej tradycyjnej architektury zostanie zebrana w: Strzemieszycach, Winownie, Pińczycach, Kolonii Cieśle i Kolonii Wągródka (dzielnice Sosnowca), Sławkowie, Czeladzi, Górze Siewierskiej, Trzebiniowie i Wierzbicy.

Oprócz etnografów i studentów etnologii w zadanie realizowane w ramach Roku Kolberga zaangażowani zostali także uczniowie szkół podstawowych i gimnazjalnych, którzy jako młodzi etnografowie z kwestionariuszem w ręku wyruszą zbierać informacje wśród mieszkańców własnej miejscowości.

Rezultatem wszystkich działań prowadzonych przez cały rok w ramach tego przedsięwzięcia, będą wystawy składające się z cyklu fotografii wykonanych podczas pracy w terenie, a także wykłady realizowane w instytucjach kultury i szkołach współpracujących podczas projektu.

*Dobrawa Skonieczna–Gawlik
etnograf*

Matki Boskiej Gromnicznej, Niegowonice 2014. Fot. R. Garstka



HERB CIOŁEK

Herb Ciołek zwany był niekiedy Cielątkowa lub Biała. Wizerunek herbu przedstawia ciele – ciolka koloru czerwonego w białym polu, zwróconego łbem w prawą stronę tarczy, nad hełmem i koroną; połowa tegoż Ciolka zwrócona jest w prawą stronę tarczy; wyskakuje z korony. Rozpowszechniony w zachodniej Europie, u nas znany od czasów przedpiastowskich. Przejęty prawdopodobnie od Gotów choć istnieją nieśmiało sugestie, że jego miano pochodzi od nazwy rzeki Wolicy, bowiem Ciołek oznacza ciele, wołu. Owiany wieloma legendami: między innymi mówią o tym, że Lech, brat Czecha i Rusa, posiadając na terenie Wielkopolski, pieczętował się Ciolkiem, którego później zmienił na orła. Pieczętowali się Ciolkiem pierwsi władcy piastowscy oraz król Polski Stanisław August Poniatowski, który kłamliwie wywodził swe pochodzenie od rzymskiego rodu Torellich. Miano „Zielątkowa” zawdzięcza temu, iż rodzina o tym nazwisku pieczętowała się dawniej herbami Ciołek i Kuszaba a sam wyraz „cielątkowa” stanowi zdrobnienie Ciolka i oznacza podrosłe ciele.

Błędny odczyt wizerunku herbu Kuszaba zmieniony przez Paprockiego na herb Kucza,

doprowadził do przypisania Cielątkom tegoż herbu, który od ich nazwiska nazwano Cielątkowa. Aktem Unii Horodelskiej przeniesiony został na Litwę, gdzie ród reprezentował Stanisław z Brześcia, a przyjętym do niego został Jan Ewid. Jego wizerunek odnaleźć można na tablicy erekcyjnej z około 1460 roku kościoła Świętego Łukasza w Drzewicy.

Związani z Zagłębiem:

Samuel Maciejowski – 1499-1550 – biskup krakowski, kanclerz wielki koronny, książę siewierski,

Jan Bąbysta Cetys – 1579 – starosta będzinński,

Bernard Maciejowski – biskup krakowski, 1607, prymas, książę siewierski, zmarł w 1608,

Konstancja Poniatowska – 1759-1830, córka Kazimierza i Apolonii Ustrzyckiej, żona Ludwika Tyszkiewicza, pochowana na cmentarzu św. Wojciecha w Zatorze,

Teodor Żelechowski – z synami: Antonim i Janem wylegitymowani w 1782 roku w oświęcimskim sądzie grodzkim,



Feliks Chądzyński – dziedzic Nowej Wsi koło Częstochowy około 1840,

Juliusz Poniatowski – 1886-1975 administrator Parzymiechów, powiat częstochowski należący do Franciszka Potockiego.

Mirosław Rakowski

Pozostaje legendą filharmoników i nauczycielką gwiazd śpiewających w teatrach muzycznych świata. Nazywa się Irena Lewińska.

Maestra śpiewu solowego CZ. II

Henryk Szczepański

Sukces i sława

Latem 1946 roku minęło 10 lat, jak Aleksander Lewiński, jego żona, syn i córki zamieszkali przy ulicy Kazimierza Wielkiego w Krakowie. Nie było tygodnia, aby Irena pracująca na Śląsku nie wpadła do rodziny na kilka chwil lub na noc. Żartowała, że „skacze” pomiędzy wawelskim wzgórzem Kraka a Wzgórzem Wandy w Katowicach. Ciągłe śpiewała i występowała: raz nad Wisłą a raz nad Rawą.

– Pewnego majowego popołudnia postanowiła wystartować w jakimś wielkim konkursie śpiewaczym. Wstępne eliminacje organizowało ministerstwo kultury w Warszawie a finały miały się odbyć jesienią w Szwajcarii – wspomina młodsza siostra artystki. – Gdy wyjeżdżała na przesłuchania, wszyscy trzymaliśmy kciuki i modliliśmy się po cichutku. Gdy wróciła z wiadomością, że została zakwalifikowana i we wrześniu jedzie za granicę, no to podskakiwaliśmy z radości, a najbardziej cieszył się tata,

bo widział w niej spadkobierczynię swojego talentu.

Międzynarodowy Konkurs Muzyczny (Concours de Geneve) odbywał się w genewskiej filharmonii, przed audytorium zgromadzonym w wielkiej sali koncertowej Victoria Hall. Wystąpiło 111 śpiewaczek i śpiewaków. Po eliminacjach do finałów dotarło zaledwie siedmiu. Była wśród nich Irena Lewińska, która na finał zaśpiewała „Kantatę na Zielone Świątki” Bacha, arię z „Wesela Figara” Mozarta, arię ze „Sprzedanej Narzeczonej” Smetany i pieśni „Małgorzaty przy kołowrotku” Schuberta. Audytorium złożone z wytrawnych znawców kunsztu wokalnego reagowało żywo i serdecznie. Występy były filmowane, transmitowane przez wiele europejskich stacji radiowych i telewizyjnych.

– Byłam bardzo wzruszona i dumna – wspominała Irena Lewińska – przede wszystkim z tego, że wśród oklasków, jakimi mnie nagradzano, słyszałam okrzyki „Vive la Pologne”.

Dnia 6 października 1946 roku tysiące rodaków i melomanów czekało na ogłoszenie wyników. Wreszcie jury składające się z najznakomitszych muzyków Europy i świata zaprezentowało listę laureatów; Irena Lewińska została uznana za najlepszą śpiewaczkę. Jednocześnie otrzymała nagrody Instytutu im. Ignacego Paderewskiego, a Comité des Intellectuels zaproponowało jej stypendium oraz studia za granicą. Ukazały się recenzje – pełne uznania dla artystki i dla polskiej szkoły śpiewu. Zamieściły je tak znaczące czasopisma, jak „Tribune de Geneve”, „Tribune de Lausanne”, „La Suisse”. Dyrekcja Radia Szwajcarskiego wyemitowała specjalną audycję, w której Irena Lewińska wraz z pianistą Władysławem Kędrą – odznaczonym na konkursie medalem – dała koncert przed mikrofonem.

Na jego program złożyły się utwory muzyki polskiej, a królował wśród nich Karol Szymanowski.

Nad Wisłą, na łamach „Tygodnika Powszechnego”, zwycięstwo okłaskiwał Stefan Kisieliwski: „Największym tryumfem była II-ga nagroda, zdobyta przez Irenę Lewińską, młodą sopranistkę, uczennicę prof. Romaniszyna z Krakowa, obecnie zamieszkałą w Katowicach. Ponieważ w kategorii śpiewu kobiecego I-ej nagrody nie przyznano, tym samym uznano Lewińską za najlepszą z uczestniczek konkursu. Miło nam stwierdzić wielki sukces Lewińskiej tym bardziej, że właśnie „Tygodnik Powszechny” z racji jej recitalu w Krakowie przed rokiem podkreślił ogromne walory muzyczne i głosowe młodej artystki, którą czeka niewątpliwie wielka kariera estradowa”.

Pierwsza gwiazda eksportu artystycznego

Tylko Jerzy Waldorf, zaprzyjaźniony z Kisieliwskim, nie ze wszystkiego był zadowolony. W felietonie muzycznym na łamach „Przekroju” karcił polski impresariat, ubolewał: „Najwyższą międzynarodową nagrodę w śpiewie zdobyła Polka, absolwentka konserwatorium katowickiego — Irena Lewińska. I-szy medal za grę na skrzypcach zdobyła Polka — Wanda Wilkomirska, III-ci medal za grę na fortepianie zdobył Polak — Władysław Kędra. — (Rozgrywki konkursowe były filmowane i transmitowane z Genewy przez radio i telewizyjnie, także na Amerykę). — Trójka naszych laureatów otrzymała już zaproszenia na koncerty do szeregu krajów, z Francją na czele. Tylko o koncertach ich w Polsce dotąd jest głucho. Tylko my nie cieszymy się, że muzyka polska odniosła taki międzynarodowy sukces. — Tylko u nas prawie nic się o tym nie pisze”.

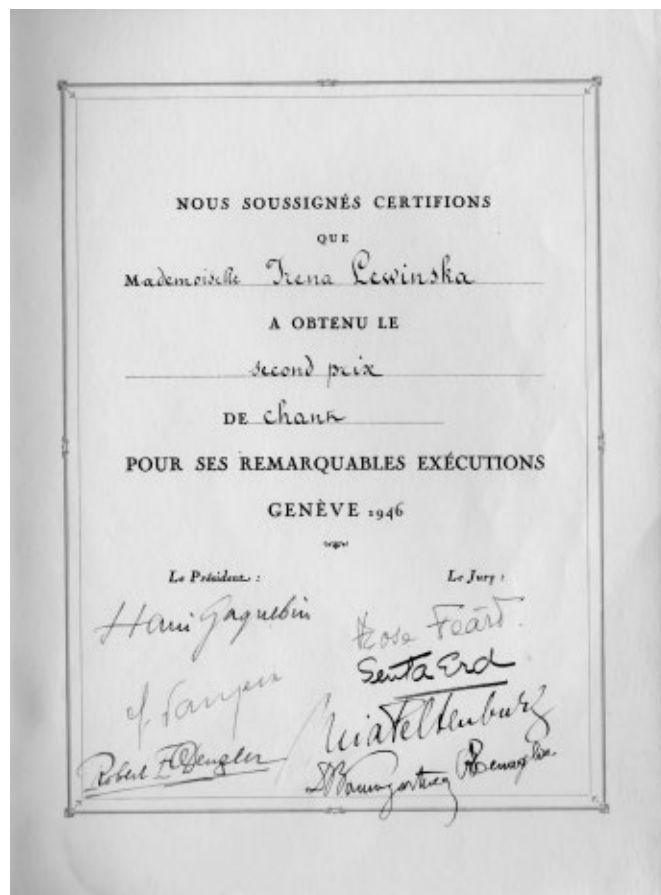
Z tą „zasłoną milczenia”, z natury uszczypliwy właściciel psa Puzona chyba odrobinę przesadził, bo jeszcze nawet w roku 1964 Ilona Paczkowska na łamach „Dokoła świata” wciąż eksponowała genewski sukces Ireny Lewińskiej i uznawała ją za historycznie pierwszą gwiazdę polskiego eksportu artystycznego: „Kto był pierwszy? — zapytywała. — Pani Lewińska jest dziś profesorem PWSM w Katowicach. Po jej triumfie w Genewie posypało się wiele nagród dla polskich solistów. Zdobywają je śpiewacy, dyrygenci, pianiści i tancerze. W Klingenthal — pierwsza nagroda w konkursie akordeonu! Mamy również laureatkę nagrody zdobytej za grę na harfie. Jest nią Bogna Lutek, która otrzymała ją za najlepiej wykonany utwór kompozytora izraelskiego w Tel Avivie. Gdzież nas nie ma!”.

W historii muzyki narodowej był to pierwszy, po zakończeniu wojny, polski tryumf artystyczny na skalę światową. W szwajcarskim konkursie, który do dziś jest najbardziej prestiżową „wyrocznią” dla muzyków wszystkich kontynentów, brali też udział, ale z mniejszym powodzeniem, wspomniani już: skrzypaczka Wanda Wilkomirska, śpiewaczka Krystyna Szczepańska i pianiści Władysław Kędra oraz Tadeusz Żmudziński z Chorzowa. Wtedy uczestniczyli w nim 364 osoby, reprezentujące 35 narodów; z Polski przyjechało tylko pięcioro artystów.

— Irena Lewińska dysponowała wysokim głosem. Była sopranem lirycznym. Uprawiała wyłącznie repertuar oratoryjny i pieśniowy. Przez długie lata katowicka Akademia Muzyczna legitymowała się jej wielkim sukcesem, jaki odniosła w Genewie — stwierdzał prof. Leon Markiewicz, rektor tej uczelni w latach 70. XX wieku.

„Czystym jak kryształ strumieniem”

Po powrocie z Genewy z pierwszym recitalem Irena Lewińska wystąpiła w Filharmonii Śląskiej. Słuchał jej wtedy M. Józef Michałowski, który dostrzegł też słabsze strony pieśniarstwa swojej ulubienicy: „Największym walorem Lewińskiej jest jej niezwykle piękny w barwie, pełen miękkości, ciepła i słodczy, czysty i szlachetny w tonie, ponadto w całej swojej



Irena Lewińska, dyplom laureatki, Genewa 1946. Arch. dom Zofii Lewińskiej, repr. J. Owczarek

skali bardzo wyrównany głos. Przepiękny ten głos jest nie tylko darem natury, lecz także w dużym stopniu wynikiem wytrwałej pracy i mądrego kierownictwa w studiach wokalnych (prof. B. Romaniszyn). W technice śpiewaczki Lewińskiej pod względem emisji, intonacji, rytmiki czy dykcji nie można by postawić żadnego poważnego zarzutu, również operowanie oddechem jest u niej sztuką opanowaną, z małym wszakże zastrzeżeniem odnośnie fraz wymagających długiego oddechu, które niestety nie są dotychczas dziedziną popisów artystki. Porównując efekty recitalu p. I. Lewińskiej i przyznając jej bardzo poważne walory odnośnie strony muzycznej, nie sposób jednak nie wskazać na pewną wąskość skali gradacji uczuciowych dostępnych jej lirycznemu głosowi, który w efekcie końcowym sprowadza wszystkie mocniejsze akcenty i wybuchy uczucia do pewnego wyrównanego poziomu. Rozpiętość skali dynamicznej p. Lewińskiej jest za mała zarówno w kierunku piana nie dość zróżnicowanego w subtelnych pianisimach, jak i w kierunku forte. Interpretowanym utworom brak przez to często punktów kulminacji dynamicznej, a równoległe z tym i uczuciowej” — notował Michałowski w swoich zapiskach „Z Sali koncertowej w Katowicach”.

Wnikliwą charakterystykę talentu śpiewaczego Ireny Lewińskiej podał recenzent muzyczny „Głosu Wielkopolskiego”, który w marcu 1948 roku słuchał jej recitalu w poznańskiej Filharmonii: „P. Irena Lewińska jest głosowo doskonałym typem pieśniarki lirycznej. Jej sopran ma skalę nie nazbyt szeroką i nie wykazuje znamion tzw. wielkiego głosu, ale jest nadzwyczaj dziwaczny i w całej skali tonów idealnie równy. Perfekcja w opanowaniu tego najbardziej naturalnego, ale i najtrudniejszego bodaj instrumentu, jakim jest głos ludzki, jest u Lewińskiej godna wszelkich pochwał. Śpiew płynie lekko, bez wysiłku, równym i czystym jak krysz-

CENTRALNE BIURO KONCERTOWE Z.Z.M. WARSZAWA
NIEDZIELA, DNIA 8 GRUDNIA 1946 ROKU, O GODZINIE 19.30
PAŃSTWOWY TEATR POLSKI
Pod Wysockim Pretektorem
Edwarda Osóbki-Morawskiego, Premiera Rządu Jedności Narodowej

KONCERT LAUREATÓW
MIEDZYNARODOWEGO KONKURSU W GENEWIE

IRENA LEWIŃSKA
SOPRAN
Irene miejsce w Genewie

WANDA WILKOMIRSKA
SKRZYŹCE
Złoty medal w Genewie

POLSKA ORKIESTRA KAMERALNA
DYRYGENT
STANISŁAW WISŁOCKI
PRZY FORTPIANIE
JERZY LEFELD

Program koncertu w programie koncertów i muzyki - Strona 10 w gazecie P.T. W dniu koncertu w dniu tego af. p. 10.10.1946

tał strumieniem. Fraza formowana muzykalnie, bez cienia tendencji do wszelkiego przeciągania, dowolności tempa, fermat i tym podobnych efektów będących słabością tylu śpiewaków, obdarzonych przez naturę pięknym głosem. Spośród wykonanych pieśni najlepiej zdawał się odpowiadać indywidualności śpiewaczki Debussy i Szymanowski. Schuberta pieśni i Brahmsa, choć technicznie świetne, miały zbyt mało podkreślonych momentów nastrojowych i retoryki deklamacyjnej”.

Kilka miesięcy wcześniej, za prezentację Szymanowskiego, wychwalała Lewińską surowa krakowska recenzentka Stefania Łobaczewska, która po wysłuchaniu „Pieśni kurpiowskich” w krakowskiej filharmonii napisała: „Wieczór ten był wielkim triumfem I. Lewińskiej, jej pięknego głosu i wspaniałej techniki wokalne”. Wysoką ocenę wystawiła śpiewaczce za wykonanie poetyckich „Ślopiewni” Karola Szymanowskiego – uchodzących za prawdziwe „Magnum Opus” polskiej literatury pieśniarskiej XX wieku: „Lewińska jest od czasów niezapomnianej Stanisławy Szymanowskiej pierwszą śpiewaczką, która wykonuje „Ślopiewnie” w całości i której udało się dotrzeć do tajników interpretacyjnych i muzycznych tego arcytrudnego utworu. Co więcej – wykonuje „Ślopiewnie” inaczej niż Szymanowska. Jej punktem wyjścia jest nie tekst, ale sama muzyka. Trudno się spierać, które podejście jest właściwsze. Muzyka „Ślopiewni” na pewno wzięła swój początek z tekstów Tuwima i bez tego nie byłaby zrozumiała. Ale jest sama przez się muzyką tak świetną i tak twórczą, że i ten punkt widzenia może być w pełni usprawiedliwiony”.

Przypomnijmy, że „Ślopiewnie” Tuwima to manifest i eksperyment poetycki. Charakteryzuje go swego rodzaju dewerbalizacja. Składa się z pięciu pieśni – mocno umuzycznionych i wyjątkowo śpiewnych. Każda z nich należała do ulubionych Ireny Lewińskiej. Emanują rozległą skalą nastrojów i ewokowanych obrazów. Jej głos jak onomatopeja wyczarowywał obraz śpiewającego słowika, ekstatyczną ludową przyśpiewkę albo oplakiwanie zmarłego. Były słowotwórczą grą. Nawiązywały do prapolskości. Ich brzmienie pomimo surowej prostoty ma w sobie wyrafinowane piękno, ale jego wydobyć wymaga perfekcji, na którą stać tylko wirtuozów.

Wielokrotnie słuchając Ireny Lewińskiej podczas solowych koncertów w Filharmonii Krakowskiej, Łobaczewska bez wahania uznała ją za „czołową polską śpiewaczkę estradową”: „Tyle razy pisało się już o wybitnych zaletach jej głosu, szkoły i techniki oraz nieprzeciętnych zdolnościach interpretacyjnych, że dziś trudno byłoby dodać jeszcze do tych słów coś nowego, chyba to, że Lewińska ustawicznie rozwija się i doskonali swą sztukę, że ani na krok nie odstepuje od owych najpoważniejszych zadań,

które sobie postawiła, że jej ambicje artystyczne coraz są wyższe i coraz pełniejszą znajdują realizację. Świadczy o tym choćby sam układ programu, zakrojony w wielkich wymianach, uwzględniający tylko muzykę najlepszą, wymagającą najwyższego wysiłku dla przezwyciężenia wszelkiego rodzaju trudności, repertuaru, na który istotnie nie każda śpiewaczka może sobie pozwolić”.

W tym czasie w repertuarze Lewińskiej pojawiają się – komponowane do tekstów Artura Rimbauda – pieśni Beniamina Brittena z cyklu „Illuminations”. Po londyńskiej premierze jego „Peters Grimesa” został uznany za bożyszcze melomanów preferujących muzykę współczesną. Brittena śpiewała na krakowskich koncertach kameralnych organizowanych przez Polskie Towarzystwo Muzyki Współczesnej. Odbływały się w popularnej „Floriance” – auli Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej przy Basztowej 8. W kwietniu 1948 roku w „Dzienniku Polskim” znów pisała o nich Łobaczewska. Podkreślała, że: „Olbrzymie powodzenie, jakie zdobył sobie ten numer, przypisać należy w głównej mierze świetnemu wykonaniu Ireny Lewińskiej”.

Zasłużone komplementy prawil Lewińskiej także recenzent słuchający jej recitalu podczas „Koncertu Wielkoczwartkowego” w Łodzi:

„Irena Lewińska swym pięknym, kryształowym, doskonale opanowanym głosem sopranowym, wykonała trzy arie z oratoriów – Pergolesiego, Haendla, Haydna i – nie po raz pierwszy wykazała swą wysoką sztukę śpiewu; śpiewu, który nie jest ani krzykiem ani kokieterią...” – napisał K.S. w „Dzienniku Łódzkim” z dnia 20 kwietnia 1949 roku.

Z opinii krytyków muzycznych lat czterdziestych wynika, że Irena Lewińska była znakomitą profesjonalistką, po mistrzowsku wykonującą utwory kompozytorów ostatnich trzech stuleci, niemniej jednak doskonale czuła i rozumiała muzykę dawną, ale także współczesną, np. Brittena – była więc śpiewaczką uniwersalną.

Poważna a jednak popularna

Choć Lewińska specjalizowała się w wokalistyce symfonicznej, to chętnie słuchano jej także w odeonach i na estradach polskich letnisk i zdrojowisk. O jednym z takich występów napisał Stefan Otwinowski: „Nauczyciele wiejscy, urzędnicy z prowincji, robotnicy to publiczność naprawdę wdzięczna – dawno nie słyszałem takich oklasków, takiego dopominania się o „bisy”, jak w czasie występu Lewińskiej w Szklarskiej Porębie... A warto dodać, że śpiewaczka miała repertuar trudny – oklaskiwano najżywiej Szymanowskiego”.

Była jedną z najwybitniejszych przedstawicielek wokalistyki estradowej. Śpiewała z orkiestrami, którymi dyrygowali: Stanisław Skrowaczewski, Henryk Czyż, Jan Krenz, Witold Rowicki i Grzegorz Fitelberg. Występowała w towarzystwie: Haliny Czerny-Stefańskiej, Klary Langer-Daneckiej, Wandy Wilkomirskiej, Zbigniewa Drzewieckiego i Andrzeja Jasińskiego. Akompaniowali jej: Jadwiga Szamotulska, Sergiusz Nadgryzowski i Henry Poulenc, jej przyjaciel z Paryża, a do ostatnich dni życia, podczas występów i w czasie lekcji ze studentami – pianistka Magdalena Schoppa. Oklaskiwano ją w wielu miastach Francji, Szwajcarii i Czechosłowacji. Śpiewała w programach tamtejszych rozgłośni radiowych, współpracując z muzykologiem Karolem Stromengerem. W dorobku artystycznym Lewińskiej wyjątkową pozycję zajmują pieśni Karola Szymanowskiego. Pochlebne recenzje na temat jej dokonań twórczych podpisali najbardziej wymagający krytycy: Jan Weber, Jerzy Waldorff, Stefan Kisielewski i Lucjan Kydryński.

Opromieniona sławą primadonny śpiewała także w towarzystwie chórów amatorskich, przykościelnych i robotniczych, co było tradycją polskiego Śląska starannie pielęgnowaną przez katowicką filharmonię. „Requiem” Wolfganga Amadeusza Mozarta – jeden z takich wielkich koncertów, w listopadzie 1948 roku zaprezentowany przez chór św. Cecylii, od zapomnie-

nia ocaliła recenzja znakomitego muzykologa i regionalisty Adolfa Dygacza: „amatorski chór mieszany z Rudy Śl., prowadzony stale przez dyrygenta amatora Bogdana Sieronia, skupia prawie wyłącznie robotników. Ci ludzie twardej pracy okazują zdumiewający zapał, entuzjazm i zdrowy głód przeżyć artystycznych. Ochoczo znoszą wszystkie trudy i poświęcenia, byle tylko dopiąć zamierzonego celu, posiadają bowiem ambicje osiągnięcia sukcesów, dostępnych jedynie w warunkach zawodowego uprawiania sztuki. I – trzeba to podkreślić dobitnie – bliscy są tego poziomu i mogą śmiało ubiegać się o palmę pierwszeństwa. (...) W Karolu Latosce, jedynym amatorze wśród solistów, poznaliśmy basa-barytona o wyjątkowej muzykalności i pięknym głosie. Zawodowymi solistami w tym koncercie byli artyści tej miary, co Irena Lewińska, Krystyna Szczepańska i Bogdan Paprocki”.

W dniu swoich urodzin 14 stycznia 1949 roku Irena Lewińska wystąpiła w roli Gabriela – jednego z trzech archaniołów – w monumentalnym oratorium „Stworzenie świata”, napisanym przez F.J. Haydna.

Tamtej zimy nasiliły się jej dolegliwości astenoptyczne. Widziała coraz gorzej. Nie pomagały już okulary. Tracając wzrok Irenie, przywiązanej do tradycji katolickich, „Stworzenie świata” stało się szczególnie bliskie nie tylko ze względu na religijne związki, ale również ze względu na tekst oratoryjny zainspirowany scenami „Raju utraconego” niewidomego Milтона. Przeżywała wielkie emocje osobiste i artystyczne. Liryczne i dramatyczne partie wokalne Haydnowskiego arcydzieła nakładały na nią duży ciężar odpowiedzialności, co dla młodej, ambitnej i pedantycznej sopranistki stawało się źródłem mobilizują-

cego, ale i wyczerpującego stresu. Pod każdym względem było to dla niej wydarzenie przełomowe.

Oratorium Haydna składa się z trzech części; dwie pierwsze przedstawiają dzieło stworzenia, trzecia – życie w raju. W roli narratora występują trzej archaniołowie: Gabriel (sopran), Uriel (tenor) i Rafael (bas).

Wyjątkowe poruszenie słuchaczy wywołują fragmenty partytury towarzyszące słowom: „I stało się światło”. Cały drugi dzień stworzenia obrazuje orkiestra. W scenach, epizodach i jako tło dla partii wokalnych pojawiają się instrumentalne przedstawienia przyrody: burza, deszcz, grad, morze, rzeki (dzień trzeci) wschód słońca, wędrujący księżyc (czwarty dzień). Piątego dnia w głosach instrumentów słyszymy ptaki szybujące, a szóstego cały zwierzynek – wtedy to archanioł Gabriel czystym jak kryształ sopranem Ireny Lewińskiej zaśpiewał swoją opowieść, zwaną „arią zoologiczną”. Ten finałowy popis melomani nagrodzili rżęsistymi brawami, a po koncercie – bukietami i koszami kwiatów.

Podczas premiery orkiestra zagrała pod batutą Witolda Krzemińskiego. Tak się podobało miłośnikom Polihymnii, że na życzenie publiczności odtworzono je jeszcze czterokrotnie: 23 stycznia, 12 oraz 18 lutego i po raz ostatni 2 kwietnia. Były to wielkie dni Filharmonii Śląskiej oraz Ireny Lewińskiej. Śpiewającym od 35 lat Chórem „Ogniwo” dyrygował Karol Stryja, student Ludomira Różyckiego, a następnie wieloletni dyrygent i dyrektor katowickiej Filharmonii. Męskie partie Haydnowskiego oratorium śpiewali wtedy Bogdan Paprocki – tenor i Antoni Majak – bas.

Katowice 24 marca 2014

Stworzenie świata, wykonawcy. Irena Lewińska 3 od lewej z bukietem. Arch. dom Z. Lewińskiej, repr. J. Owczarek



Wspólne przedsięwzięcie Akademii Muzycznej w Katowicach, Uniwersytetu Śląskiego oraz Fundacji Miasta Ogrodów gromadzi na seminaryjnych spotkaniach osoby pasjonujące się literaturą oraz te rozmaitelne w muzyce. Dwie formy ekspresji wchodzą tym samym ze sobą w dialog, przy czym zdecydowanie bardziej rozgadana okazuje się literatura. *Seminarium a due* – jak nazwano owe spotkania – są więc opowieściami o muzyce.

Słowa i muzyka

Zrozumieć muzykę

Od 22 października 2013 r. raz w miesiącu mamy okazję przysłuchiwać się rozmowie przedstawiciela świata muzyki oraz literaturoznawcy. Zasadnicze pytanie, które nurtuje strony „spotkania” o znaczenie obu sztuk w życiu człowieka, dotyczy kwestii różnic w rozumieniu słowa i dźwięku.

Problem rozumienia muzyki, a właściwie potrzeby jej rozumienia, zwraca uwagę na fizyczny aspekt dźwięku. Dźwięk jest niczym innym, jak falą o określonej częstotliwości, która dociera do nas – słuchaczy – a my w jej odbiór angażujemy przede wszystkim zmysły. Ciało zмага się z obrazem muzycznym jako

Spotkania „Muzyka – pamięć – indywidualność”. Fot. K. Kędzierska



Spotkanie „Faza i znaczenie”. Fot. P. Pietrzyk

pierwsze. Utwór staje się jednak również obrazem, wyobrażeniem, które powstaje w umyśle człowieka za sprawą skojarzeń i wspomnień wywołanych poprzez emocje, jakie rodzą się w momencie odbioru muzyki. Emocjonalność zlokalizowana została w obszarze ludzkiego mózgu, który sąsiaduje z obszarem odpowiedzialnym za naszą zdolność do metaforycznego myślenia. Jest to prawa półkula, skupiająca w sobie również zdolności muzyczne. Tworzenie muzyki oraz jej odczuwanie odbywa się zatem w sąsiedztwie. Tymczasem za zdolności językowe odpowiada lewa półkula. Ona tworzy strukturę pozwalającą nam logicznie się wypowiadać i stosować reguły gramatyczne. A zatem, aby nazwać to, co czujemy podczas słuchania muzyki, musimy wykonać porozumienie lewej półkuli z prawą. Czy jednak nie wystarczy muzykę odczuwać na poziomie emocjonalnym, czy nie czyni ona na nas i w ten sposób wystarczającego wrażenia, czy musimy umieć zrelacjonować nasze doświadczenie?

Zrobić wrażenie

Dawny rzemieślnik, który dziś zostałby nazwany artystą, dążył do perfekcji w sferze techniki, jak i prezencji. Spotkanie seminaryjne poświęcone klawesynowi, które odbyło się 11 marca, odkryło przed zgromadzonymi teoretyczne zaplecze, jakie Francuzi (miłośnicy klawesynu) starali się stworzyć dla uczących się gry i prezentacji. Teorię tę ujmowano w formę traktatów (w XVIII w.), których treść oraz charakter przedstawił prof. Krzysztof Kłosiński. Autorzy traktatów mieli wręcz literackie zacięcie. Snuli więc opowieści o klawesynie, czyniąc z niego bohatera o cechach typowo ludzkich. Jedną z takich cech było posiadanie przez instrument rzekomego ducha.

Z francuskich traktatów płynął jednak i dodatkowy morał, który został przywołany podczas rozmowy przez prof. Marka Toporowskiego. Ówczesny świat ludzi dworu, skoncentrowany wokół cesarza, pod każdym aspektem kontrolowany był regułą. Odpowiedniość stroju, gracia w poruszaniu się oraz sposób formułowania myśli stały się przedmiotem studiów ówczesnych paryżan. Sztuką jednak najwyższą, jaką dworzanie musieli opanować, były złożone z szeregu skomplikowanych figur tańce, które wymagały dyscypliny ciała. Muzyka towarzyszyła tym ceremoniom, w których każdy ze zgromadzonych posiadał konkretne miejsce tworząc z pozostałymi ruchome puzzle – dobrze naoliwioną maszynę. Francuska moda dworska osiemnastego wieku nasuwa skojarzenie z teoriami socjologicznymi wieku minionego,

których autorzy posługiwali się metaforą teatru życia, a człowieka nazywali aktorem, odgrywającym powierzoną mu rolę społeczną w tłumie mu podobnych.

Duch klawesynu dotrwał do czasów nam współczesnych, które pod pewnymi względami odpowiadają czasom świetności jego samego. Można zatem i dziś posłuchać niezwykłego brzmienia instrumentu, czego doświadczyli uczestnicy seminarium za sprawą prezentacji prof. Toporowskiego. Muzykę klawesynową charakteryzuje bogata ornamentyka, która leży w gestii wykonawcy. Nutowy zapis utworu obejmuje jego „myśl przewodnią”. Pełne wykonanie dokonuje się w momencie interpretacji grającego. On zaznacza swoją obecność poprzez tzw. ozdobniki, kształtujące niepowtarzalny charakter utworu, czyniąc go poniekąd własnym. Ornamentyka, stając się środkiem kształtującym indywidualizm wbrew traktatowym regułom, dziś stanowi o niepowtarzalnym charakterze muzyki klawesynowej.

Obcować z przeszłością

Pytanie o próbę i sens rozumienia muzyki zyskuje szczególne znaczenie w odniesieniu do muzyki dawnej, wykonywanej na instrumentach dziś nieistniejących. Dźwięk staje się w tym przypadku głosem epoki, na który z przyczyn technicznych (fizycznych) pozostajemy głusi. To, czego doświadczamy słuchając muzyki poważnej, jest doświadczeniem opartym na wykonaniu nam współczesnym. Muzykę pozbawioną nie tylko oryginalnych instrumentów, ale i oryginalnej atmosfery miejsca i czasu, trudno nazywać dawną. Uświadomienie sobie tego problemu rodzi zapewne w wielu potrzebę poszukiwania możliwości obcowania z przeszłością.

Inicjatywą odpowiadającą na właśnie tę potrzebę jest działające przy Akademii Muzycznej Muzeum Organów Śląskich. Na podstronie instytucji czytamy: „Projekt powołania muzeum



Spotkania „Muzyka – pamięć – indywidualność”. Fot. K. Kędzierska

organów zrodził się przed ponad trzydziestu laty. Już wówczas, inicjator przedsięwzięcia, obecnie Kierownik Katedry Organów i Muzyki Kościelnej, prof. Julian Gembalski, zaczął gromadzić elementy organów, odnajdywane podczas prac badawczych prowadzonych na terenie Górnego Śląska”.

Każdy instrument współtworzył niegdyś poprzez swoje brzmienie atmosferę liturgii w konkretnym kościele, w murach, które jeśli stoją do dziś, również są zabytkowe i warte dostrzeżenia, zwiedzenia. Mury kościołów poprzez swą akustykę stają się doskonałymi przestrzeniami do kontemplacji muzyki.

Dostrzec to, co bliskie

Podążając tropem organów, trafiamy na szlak architektonicznych zabytków sakralnych Zagłębia Dąbrowskiego. Szczególną uwagę przykuwa kościół św. Stanisława w Czeladzi. Kościół posiada w swoim wnętrzu zabytkowe organy, które stanowią unikatową wartość dla regionu. Parafia, założona w roku 1260, związała się w sposób symboliczny z postacią krakowskiego biskupa w tym czasie właśnie wyniesionego na ołtarze, ogłoszonego świętym. Osoba Stanisława ze Szczepanowa patronująca kościołowi wyrażała również związek z Małopolską i Krakowem – zwierzchnikiem diecezji. Jak ważna była to relacja świadczy herb miasta także przywołujący postać biskupa, który został zmieniony dopiero za czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Historia kościoła łączy się ściśle z historią miasta. Wnętrze budowli pozwala zaznać owego ducha czasu, który czyni przestrzeń życia mieszkańców Zagłębia tak niejednoznaczna. Muzyka staje się zatem częścią życia, łącząc to, co dawne z tym co współczesne, potrzebuje jednak miejsca, które pozwoliłoby jej zaistnieć na żywo – jak to się zwykło mawiać – by wyrzucić wrażenie równie momentalne i ulotne, co oczekiwane. Gdyby zaś dokonywała się ona w tak zachwycającym miejscu, jak kościół św. Stanisława, czego można by chcieć więcej.

Monika Bednarczyk

Spotkania „Muzyka – pamięć – indywidualność”. Fot. K. Kędzierska



Z czym kojarzą się nam lata spędzone w szkolnej ławce? Z gwarem na przerwach, akademiami i przedstawieniami, z pracą domową, nauczycielami – tymi ulubionymi i tymi, których woleliśmy omijać szerokim łukiem, z drugim śniadaniem, z lekcjami wychowania fizycznego, na których grało się w piłkę nożną, z pierwszymi znajomościami i flirtami.

„KOPERNIK” OD KUCHNI

Odsłona trzecia: Koedukacyjne dylematy

Dyrektor Adam Błażejewicz w drzwiach szkoły.
Arch. I L.O. im. M. Kopernika w Będzinie



20 grudnia 1935 r. odbyło się posiedzenie Rady Pedagogicznej będińskiej szkoły. Obecni na nim byli: dyrektor Adam Błażejewicz, przedstawiciel Rady Opiekuńczej Stanisław Skarbiński oraz nauczyciele, m.in.: Adam Cetwiński, Józef Grochal, Adolf Hyla, Julia Kownacka, Czesława Kozłowska, Maria Nowicka, Franciszek Rzadkowski, Adam Sochacki, Salomon Sobótko, Stanisław Więcek, ks. Antoni Uchto.

Na spotkaniu omawiane były tematy pojawiające się na tzw. lekcjach wychowawczych oraz sprawy ocen z przedmiotów uzyskiwanych przez uczniów. Większość not najwyższych to oceny z religii, a z tych wyjątkowo słabych – oceny z przedmiotów ścisłych. Każdy z wychowawców przedstawił także nazwiska najlepszych i najgorszych uczniów w swoich klasach.

Po zakończeniu dyskusji, swój referat pod tytułem „Zalety i wady koedukacji” gronu pedagogicznemu przedstawił S. Więcek. Na początku autor referatu zauważył, że w ówczesnej Polsce wiele szkół ma charakter koedukacyjny. W szkolnictwie powszechnym miało być ich 90%, a w średnim 33%. Następnie Więcek przedstawił argumenty zwolenników i przeciwników wspomnianej koedukacji:

„Przeciwnicy koedukacji: wskazują na to,

że odmienność płci jest odmiennością fizyczną i psychiczną i dlatego inne mają być drogi po których toczyć się ma wychowanie chłopca i dziewczyny. Szczególnie nasuwa obawy młodzieży w wieku dojrzewania. Niektórzy są zdania, że koedukacja raczej się nadaje do środowisk miejskich niż wiejskich. Twierdzą, iż wzbudza ona u dziewcząt chęć podobań się, a z grupy chłopców czyni adoratorów przedwczesnych, że „zabija” popęd płciowy. Zdaniem Münsterberga grozi koedukacja rozbić rodzinie oraz przyczynia się do skrzywienia doboru naturalnego. Zichen wskazuje na możliwości niezdrowego wzrastania liczby hyperhedoników i że wreszcie koedukacja ściera cechy indywidualne właściwe każdej płci.

Zwolennicy koedukacji: (...) wskazują, że zjawisko to jest zgodne z naturą i umiejętnie kierowane wpływa tylko korzystnie na moralność. Rozwój nauki i techniki sprawił, że spotkać można przy jednym warsztacie mężczyznę i kobietę. (...) Oddzielenie płci raczej podżega zmysły. Koedukacja sprawia, że mężczyzna przestaje uważać kobietę za istotę niższego rzędu, uczy się ją cenić. W szkołach koedukacyjnych stwierdza się większy poziom moralny. Zdaniem kanonika Fourniera nie należy się

sprzeciwiać koedukacji, lecz nadać jej właściwy kierunek. (...) Zdaniem Baley'a większość psychologów przestaje widzieć różnice między tzw. psychiką męską i żeńską. Dziewczeta (...) przewyższają chłopców pilnością, natomiast uwaga u dziewcząt jest bardziej rozproszona. (...) Silniej reagują na pobudki estetyczne, łatwiej się uczą jęz. obcych natomiast objawiają mniejsze zdolności do geografii i topografii. W sferze uczuciowej dają się zauważyć różnice między dziewczynami i chłopcami. Okres dojrzewania jest trudniejszy u dziewcząt.

Na kolejnym, styczniowym spotkaniu Rady Pedagogicznej, w ramach wniosków co do referatu Więcka przyjęto, iż: „klasy koedukacyjne odznaczają się lepszym zachowaniem oraz większą pilnością i starannością. Dziewczeta są pilniejsze na ogół i porządne (...). Chłopcy dbają o swój wygląd zewnętrzny ze względu na obecność dziewcząt. Należy baczyć na nowo wstępujących chłopców, którzy przychodzą ze szkół niekoedukacyjnych”.

Dariusz Majchrzak

Artykuł powstał na podstawie dokumentów archiwalnych ze zbiorów I L.O. im. M. Kopernika w Będzinie we współpracy z Grażyną Szewczyk.

Uczniowie „Kopernika”. Arch. I L.O. im. M. Kopernika w Będzinie



Architektura w okupowanym Zagłębiu Dąbrowskim

Okres II wojny światowej przyniósł w Zagłębiu Dąbrowskim przede wszystkim ogromne zmiany demograficzne spowodowane eliminacją żydowskiej populacji tutejszych miast, ale także osiedlaniem się na tym terenie przybywających z Rzeszy oraz Górnego Śląska Niemców i idące za tym przeobrażenia tkanki miejskiej, dostosowane do zmieniającej się dynamicznie sytuacji.

Stefania Hanusek

Przemiany urbanistyczne w okupowanych miastach determinowała niemiecka polityka narodowościowa, zakładająca zniemczenie terenów Zagłębia Dąbrowskiego. Powiat będziński, podobnie jak pozostałe powiaty w tzw. Oststreifen, miały stać się terenem zamieszkałym wyłącznie przez ludność niemiecką, co zamierzano osiągnąć poprzez zasiedlenie ich Niemcami oraz wysiedlenie najpierw Żydów, a później także Polaków.

Wraz ze zmianami demograficznymi, powodowanymi wskutek przybywania do miasta coraz większej liczby niemieckich urzędników, niezbędnych do funkcjonowania tutejszego aparatu administracyjnego, problem poszukiwania „Lebensraumu” w przeludnionych miastach stawał się coraz bardziej dotkliwy. Odpowiedzią stały się nowe inwestycje architektoniczne i estetyczne uporządkowanie miast, które miały stać się godne miana „prawdziwie niemieckich” i odpowiadać wymaganiom zamieszkującej je w przyszłości aryjskiej elity. Stąd też już w pierwszych miesiącach wojny podjęto działania na rzecz uporządkowania urbanistycznego miast zagłębiowskich i podniesienia poziomu ich estetyki, dostosowanej do niemieckich gustów. Co ciekawe, wszystkie inwestycje i działania przeprowadzane były przez hitlerowskiego okupanta równolegle z okrucieństwami trwającego się Holocaustu. Nawet w momencie apogeum wysiłku wojennego, ale także podczas wdrażania w czyn dyrektyw „ostatecznego rozwiązania”, nie zaprzestano wdrażania prac planistycznych,

Choć działalność hitlerowców odcisnęła ogromne piętno na wszystkich miastach Zagłębia, jako reprezentatywny przykład w tym artykule posłuży Będzin. Miasto, którego oblicze ukształtowała przede wszystkim działalność budowlana końca XIX i pierwszych dziesięcioleci XX wieku, prezentowało, podobnie jak wszystkie inne okoliczne miasta, „architekturę przypadku” – łączenie wielkomiejskich kamienic czynszowych i budynków o rustykalnym charakterze. Nie odpowiadało to wizji uporządkowanego i zunifikowanego architektonicznie germańskiego miasta, którym wkrótce miał stać się Bendsburg.

Przyczynkiem do przeobrażeń w Będzinie były wydarzenia z 9 września 1939 roku – podpalenie przez grupę do zadań specjalnych dowodzoną przez Udo Woyrscha budynku usytuowanego na Podzamczu synagogi. Szybko rozprzestrzeniający się pożar, dodatkowo podsycany przez okupantów, przeniósł się także na okoliczne budynki. W efekcie, mający trwać niemal tydzień pożar kwartału, strawił około 26 budynków. Na polecenie burmistrza miasta, Hansa Kowohla, zgłaszczą zaczęto uporządkowywać i rozbierać w listopadzie 1939 roku. Okolice dawnej synagogi nie zostały do końca wojny w za-

den sposób zagospodarowane, a Podzamcze pełniło w latach 1940-1942 rolę dzielnicy żydowskiej.

7 grudnia 1939 roku na Placu 3 Maja dokonano zniszczenia pomnika Nike – symbolu wolności, szczególnie istotnego dla mieszkańców Będzina, bo poświęconego pamięci żołnierzy 11 Pułku Piechoty, stacjonującego tu w latach 1918-1922. Pomnik, mający postać kobiety z rozpostartymi skrzydłami



Będzin, ul. Zawale (Hinter dem Wall), 1944 r. Fot. arch.

i wieńcem laurowym w uniesionych dłoniach, usadowiony był na kilkunastometrowym postumencie w kształcie błyskawicy. Zapowiedź nowych porządków w mieście uwieczniono na serii fotografii niemieckich notabli stojących w zwycięskiej postawie na pogruchotanym postumencie pomnika.

Jednym z elementów programu dbałości o ład przestrzenny w mieście było utworzenie Towarzystwa Upiększania Miasta. Do jego głównych założeń należało m.in. „upiększanie obrazu miasta oraz jego najbliższej okolicy poprzez lokowanie i planowanie nowych placów, dbałość o promenady, usuwanie pozbawionych smaku reklam oraz zachęcanie do tworzenia szyldów reklamowych zgodnych z duchem czasu” (APKat, 12/773 Akta Miasta Będzina, sygn. 1210, s. 18). Działania stowarzyszenia miały także wykształcić w mieszkańcach nawyk zaopatrywania budynków w zielen – służyć temu miały artykuły propagandowe, takie jak ten zatytułowany „Miasta muszą stać się ładniejsze”: „Przechodząc przez ulice miast ciągle stwierdza się, jak mało balkonów ozdobionych jest kwiatami. Kilka kwiatów na balkonie ożywia cały wygląd miasta, robi miłe i estetyczne wrażenie, jest prawdziwym odpoczynkiem dla oka. Obsadzenie balkonów kwiatami nie musi koniecznie kosztować bardzo dużo (...) Pomimo czasów wojennych każdy będzie miał tyle pieniędzy, aby przyczynić się

do upiększania swojego miasta” („Dziennik Poranny”, nr 77, 2.06.1940 r., s. 4). Oprócz zachęt ze strony gadzinowej prasy pojawiały się także urzędowe ogłoszenia obligujące mieszkańców do dbania o wygląd swojego najbliższego otoczenia. W maju 1940 roku wszyscy będzinianie zostali zobowiązani do usunięcia wszelkich starych reklam oraz neonów i zastąpienia ich nowoczesnymi i schludnymi. Dyrektywa Kowohla była także elementem polityki narodowościowej, zmierzającej do wprowadzenia języka niemieckiego we wszystkich dziedzinach życia.

Od 1940 roku przystąpiono do obsadzania najważniejszych ulic w mieście drzewami, a także do porządkowania rozmaitych skwerów i tworzenia zieleńców. Częścią koncepcji planistycznej wdrażanej w Będzinie była próba utworzenia obszernego parku miejskiego, rozciągającego się na terenach Warpia i Ksawery, na granicy Będzina z Dąbrową. Miał on być formą rewitalizacji terenów przemysłowych, na które składały się rozliczne rozległe doły i zapadliska. Plan parku został ściśle dookreślony – niemieccy urbaniści nadali mu formę alei koncentrycznie zbiegających się w centrum, w miejscu tzw. rondla, obsianego kwiatami i trawą. Na obszarze liczącego 4,5 ha parku planowano zasadzić drzewa i krzewy ozdobne oraz założyć i zarybić stawy. Inwestycja nie została jednak w pełni zrealizowana.

Efekty prowadzonej planowo akcji upiększania miasta zarząd miejski akcentował następująco: „W powiecie Bendsburg, od chwili objęcia gospodarki przez nowe władze, rozpoczęła się praca nad doprowadzaniem do należytego porządku miast, wsi i osiedli. Wszystkie zarządy rozpoczęły jak najdalej posunięte prace dla podniesienia estetyki, wydając na inwestycje olbrzymie sumy pieniężne. W wielu miastach opracowano i rozpoczęto planowaną przebudowę całych dzielnic, a i zarządy gminne nie pozostały w tyle, ustalając przebudowę i rozbudowę swych gmin zakrojoną na wielką skalę” – rozpisywała się niemiecka prasa propagandowa o prowadzonych przedsięwzięciach. „Bendsburg zmienił gruntownie swe oblicze. Jednoroczny okres prowadzonych prac, olbrzymie inwestycje, niewyczerpana energia władz i poszczególnych kierowników wydziałów i Bendsburg zmienił swe „ruderowate” oblicze na jasne, pogodne i estetyczne. Poszerzono i przerebiono jezdnie, ze smakiem pomyślano skwery, cały szereg odnowionych budowli i wreszcie należyty poziom wystaw sklepowych sprawił, że Bendsburg „przejrzał na oczy”, będąc już dziś bodaj czy nie najpiękniejszym miastem Zagłębia Dąbrowskiego” („Dziennik Poranny”, nr 245, 21.10.1941 r., s. 3).

Istotnym i odwiecznym problemem Będzina była przepływająca przez miasto Czarna Przemsza, która występowała z brzegów po intensywniejszych opadach, a potężne wylewy zdarzały się minimum dwa razy w roku. Nad problemem regulacji koryta rzeki pochyliły się już przedwojenne władze, które w 1938 roku rozpoczęły częściowe prace w tym kierunku. Niedostatek funduszy nieustannie zadłużonego miasta, a potem wybuch wojny przerwał wszelkie postępy w tej dziedzinie. Problem wylewającej rzeki stał się ponownie aktualny dla władz okupacyjnych, a regulacja kwestią fundamentalną i punktem wyjścia do dalszych przeobrażeń miejskich. Stąd już w sierpniu 1940 roku władze miasta wraz z Urzędem

Wodnym przystąpiły do przedsięwzięcia. Pracami regulacyjnymi i umacniającymi koryto objęto rzekę na wysokości miasta na długości 4200 m, zatrudniając przy tym średnio 150-180 osób, w wyjątkowych momentach zwiększając tę liczbę do 300. Sposób przeprowadzania prac dzielił je na 2 etapy: obmurowanie koryta rzeki, zapoczątkowany jeszcze przez władze polskie i zakończony w 1941 roku, oraz etap budowania tam. Regulacji towarzyszyło tworzenie bulwarów spacerowych poprzez obsadzenie drzewami i krzewami ozdobnymi jej brzegów.

Także od 1940 roku zaczęto zmieniać ściśle centrum miasta – będziński rynek, relikw średniowiecznego zamyśłu urbanistycznego. Jednym z celów niemieckiej administracji było polepszenie komunikacji w mieście poprzez poszerzenie wlotów bardzo wąskich i ciasnych ulic. W związku z tym, w pierwszej kolejności rozburzeniu uległ północno-wschodni narożnik rynku noszącego wówczas nazwę Alter Ring. W ramach prac rozebrano kamienice po obu stronach wlotu ulicy Alte Hauptstrasse (obecnie Aleja Kołłątaja), tworząc rozległą, otwartą przestrzeń u podnóża kościoła św. Trójcy. Zabieg ten nie tylko poszerzył trakt komunikacyjny, biegnący po przekątnej rynku, ale także stworzył szeroką perspektywę widokową na sylwetkę kościoła. Równoległe z pracami wyburzeniowymi na rynku przeprowadzono linię wykopów służących doprowadzeniu kanalizacji. Zaprowadzone przez okupantów zmiany w architekturze rynku zapoczątkowały jego nieodwracalne przeobrażenie w okresie powojennym.

Niemal w tym samym czasie, w latach 1941-1943 trwało



Będzin, Alter Ring (Rynek), 1941–1942 r. Fot. arch.

wiele prac modernizujących poszczególne budynki użyteczności publicznej – ratusz, Dom Niemiecki, szpital powiatowy, budynek straży pożarnej czy poważna inwestycja przystosowywania do użytku teatru miejskiego, powstającego w budynku przedwojennego Domu Parafialnego (dziś Teatr Dzieci Zagłębia). Następnie okupant rozpoczął w mieście wielką inwestycję – budowę potężnego schronu przeciwlotniczego, wydrążonego w Górze Zamkowej. Nie ma informacji na temat czasu rozpoczęcia budowy obiektu, mógł to być rok 1943, czyli okres wzmożonych bombardowań na miasto III Rzeszy – z lakonicznej wzmianki w korespondencji bur-

mistrza Bendsburga z nadprezydentem policji w Sosnowcu z marca 1943 roku wynika, że niezwykle konieczna jest organizacja w mieście schronów przeciwlotniczych.

Do najpoważniejszych przeobrażeń tkanki miejskiej doszło jednak w 1944 roku, po likwidacji będzińsko-sosnowieckiego getta i wywiezieniu niemal całości populacji żydowskiej do obozu w Auschwitz. W końcu 1943 roku Będzin stał się miastem „Judenfrei” – „wolnym od Żydów”. „Oczyszczenie” miasta pozwoliło okupacyjnej administracji skupić się na kolejnych przeobrażeniach tkanki miejskiej.

Już w pierwszym kwartale 1944 roku przystąpiono do wyburzania „żydowskiej zabudowy” przy ulicy Marktstrasse (Modrzejowskiej) oraz na likwidację niewielkiej, malutkiej uliczki Hintergasse (Zaułek), położonej pomiędzy Modrzejowską a murami miejskimi. Górna część ulicy zabudowana była niskimi, jednokondygnacyjnymi domkami, bielonymi wapnem. Zabudowania te nie odpowiadały estetycznym gustom okupantów oraz ich aspiracjom do utworzenia z Będzina niemieckiego ośrodka miejskiego. W związku z tym na przestrzeni od marca do sierpnia 1944 roku systematycznie wyburzano zabudowania pomiędzy ul. Modrzejowską, murami miejskimi i starym kirkutem przy ul. Zawale. Uporządkowanie ponownie niezabudowanego terenu spowodowało poszerzenie ulicy oraz optyczne powiększenie tego kwartału miasta. Podobnie postąpiono z ulicą Hinter dem Wall (obecnie Zawale oraz część ulicy 11-go Listopada), na której wyburzono kilkadziesiąt budynków, w dokumentacji fotograficznej pogardliwie określonych jako „polski system budowania”. Powstała w ten sposób pustka architektoniczna widoczna do dziś.

Niemal równolegle do prac prowadzonych na Modrzejowskiej i Zawale, Niemcy przystąpili do wyburzania budynków ulokowanych przy ówczesnej ulicy Burgstrasse (obecnie Podzamcze). Program wyburzeń obejmował obszar rozpoczynający się na wysokości nie istniejącej dziś ulicy Bóżniczej i rozciągający się w kierunku północnym, w głąb ulicy Podzamcze. W przeciwieństwie do wyburzonej części ulicy Modrzejowskiej tutaj zabudowa była o wiele bardziej zróżnicowana i obejmowała zarówno jednokondygnacyjne, typowo wiejskie budynki z gontowym pokryciem dachu, jak i wielopiętrowe kamienice o urozmaiconych dekoracjach fasadach. W wypadku ulicy Burgstrasse natychmiast po usunięciu dawnych budynków przystąpiono do planowej zabudowy.

W lipcu 1944 roku rozpoczęto budowę osiedla oszczędnych w formie ceglanych domów jednorodzinnych – założonych na planie prostokąta, jednokondygnacyjnych i krytych dwuspadowym dachem. Osiedle powstawało w ramach Niemieckiego Zakładu Pomocy Mieszkaniowej (DHW – Deutsches Wohnungshilfswerk), mającego za zadanie budowę osiedli dla ludności poszkodowanej przez toczącą się wówczas wojnę powietrzną. Budowa osiedla DWH była ostatnią, niedokończoną inwestycją okupantów w Będzinie, w rezultacie której powstały 4 domy. Zbliżający się front zmusił Niemców do opuszczenia miasta w początkach stycznia 1945 roku.

Podobne zmiany zachodziły w całej zagłębiowskiej aglomeracji. Przebudowywano i odnawiano fasady budynków pełniących funkcję ratusza i innych budynków użyteczności publicznej, dokonywano renowacji budynków na potrze-



Będzin, ul. Burgstrasse (Podzamcze), 1944 r. Fot. arch.

by Domów Niemieckich – hoteli dla okupacyjnych notabli, brukowano ulice. W Czeladzi przeprowadzono m.in. poważną modyfikację średniowiecznego układu urbanistycznego wyburzając zabudowania u wlotu ulic Będzińskiej oraz Bytomskiej, a także usytuowany w centrum rynku ratusz. Dokonano także przebudowy budynków robotniczych na Saturnie. Wydział Budowlany Sosnowca miał z kolei „wyjątkowe trudności do przełamania, ponieważ całe miasto powstało jako rezultat powiązania się ze sobą różnych dzielnic, które jeszcze dzisiaj są tylko luźnie związane ze sobą. Zmiana tego charakteru, stworzenie nowego urbanistycznego wyglądu miasta – jest poważną troską, bo istotnie każdemu, który pierwszy raz przybywa do miasta rzuca się przede wszystkim w oczy chaotyczny, nie skoordynowany układ ulic, przebiegający bez jakiegoś bliżej określonego celu”. Jako priorytetowe uznano w tym mieście uporządkowanie otoczenia budynku ratusza, poprawiano także nawierzchnię ulic, wyremontowano budynek dworca, likwidowano nieestetyczne znaniem Niemców obiekty. Na wysokości poszczególnych miast przeprowadzano regulację przepływających przez nie rzek – w Zawierciu Warty, w Czeladzi Brynicy, w Sosnowcu – Brynicy i Czarnej Przemyśli.

Niemal wszystkie te zmiany, co trzeba podkreślić, realizowano rękoma ludności cywilnej Zagłębia Dąbrowskiego. W latach wojny nieodwracalnie zmieniono obraz wielu miast regionu, a zaplanowana i kierowana przez okupanta ingerencja w tkankę miejską wywarła znaczący wpływ także na późniejszy rozwój tych ośrodków. W efekcie tego przeobrażenia urbanistyczne zapoczątkowane wówczas, a widoczne do dzisiaj, bardzo często przypisywane są decyzjom władz PRL-u. I chociaż te ostatnie rzeczywiście miały duży wpływ na powojenną urbanistykę Zagłębia, to współczesny obraz aglomeracji jest w dużej mierze rezultatem wojennych przeobrażeń.

Bibliografia

Archiwum Państwowe w Katowicach, zespoły: 12/773. Akta Miasta Będzina oraz 12/795 Kreisbauamt Bendsburg.

Niemiecki film z czasów okupacji z Będzina.

„Dziennik Poranny” 1940-1941.

Zagłada Żydów Zagłębiowskich, red. A. Namysło, Będzin 2004.

TAJEMNICA BĘDZIŃSKIEGO TOPORA

Jarosław Krajniewski

W czasie pierwszych powojennych badań archeologicznych w ruinach Kaziemierzowskiej warowni w Będzinie, przeprowadzonych przez Zygmunta Gawlika w roku 1949, w miejscu bramy wjazdowej na zamek górny, znaleziono szczątki tajemniczego topora. Sam odkrywca określił swoje znalezisko jako „topór wojenny czeski o długiej rękojeści”. Późniejsze szczegółowe opracowanie dziejów i rekonstrukcji zamku (Włodzimierz Błaszczyk, *Będzin przez wieki*, Poznań 1983) albo o tym toporze nie wspomina wcale, albo wspomina, ale w sposób niejednoznaczny. Cóż, zasłużony dla odbudowy i rekonstrukcji zamku badacz był człowiekiem nieco zazdrosnym o dokonania swoich poprzedników, toteż na łamach swej kilkusetstronicowej książki wspomina o nich jedynie półgębkiem. Sprawy nie ułatwia też fakt, że nie wiadomo, gdzie dziś ów topór się znajduje. Na pewno nie ma go w zbiorach Muzeum Zagłębia w Będzinie, powstałego

w roku 1956 dzięki staraniom Błaszczaka. Niestety nie ma go także w placówkach, które w tamtym czasie sprawowały jakąś formę nadzoru nad badaniami w Będzinie – ani w Muzeum Archeologicznym w Krakowie, ani też w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu. Jedyny namacalny ślad po owym toporze znajduje się w relacji z badań Gawlika, opatrzonego szkicem sytuacyjnym oraz odrysem znaleziska w skali oryginału.

Przytoczmy zatem fragment owej relacji: „Badana zawartość warstwy w otworze wejściowym odkrytej górnej bramy okazała się równie ciekawą i cenną. Siedemnaście części żelaznych, przeważnie grotów strzał, część przepalonego topora wojennego z resztkami zwęglonego styliska i śladem jego całej długości. Ślady na ziemi wypalonych desek zwalonej bramy, pieniądz srebrny i sporo ceramiki. Wszystko spalone, zbite, wgnięcione w gruz i ziemię, mówiło, że rozegrała się tu jakaś tragiczna walka. Spalona

ostatnia brama na dziedzińcu zamkowy świadczyłaby o tym, że zamek został zdobyty. Znalezione przedmioty i wydobyta ceramika określił archeolog dr Leńczyk w Krakowskim Muzeum Archeologicznym jako typową dla epoki Kazimierza Wielkiego. Zdarzenie to rozgrywało się w murach Kaziemierzowskiego zamku”.

O jakim tragicznym wydarzeniu myślał wówczas inżynier Gawlik? Co takiego mogło się stać w miejscu bramy wjazdowej na zamek? I wreszcie: kiedy owo wydarzenie mogło mieć miejsce – odpowiedzi na te pytania mogą być tylko hipotetyczne, ale warto się nad nimi na chwilę pochylić.

Już sam odkrywca owego zgłoszcza wskazywał w dalszej części swojej relacji na pewien istotny fakt: „Jeśli przejrzymy dzieje panowania tego monarchy, to musimy zwrócić uwagę na nagły najazd czeskiego króla Jana Luksemburskiego. Był to rewanż za zajęcie części księstwa raciborskiego przez wojska polskie.

Będzin, początek XX w. Fot. Wiki



Kazimierz Wielki musiał się cofnąć ze Śląska i zamknął się w murach Krakowa. Wojska czeskie podsunęły się pod stolicę i usiłowały ją zdobyć. Nie mogły tego jednak dokazać, trapione zaś były wielce [przez] oddziały „picowników” (partyzantów), które przede wszystkim odcinały Czechom dowóz żywności. Król Jan widząc, że nie zdobędzie Krakowa, rozdzielił swą armię na dwie części dla niszczenia kraju na większym obszarze i dla lepszego wyżywienia swych wojsk i rozpoczął odwrót. Wojska czeskie maszerowały [dwoma kolumnami – JK] na Olkusz i Lelów. Na drodze marszu znalazł się zamek w Będzinie. Opatrzony niewielką załogą zamek nie mógłby się oprzeć tak znacznej na owe czasy armii Jana Luksemburskiego. I dlatego wydaje się prawdopodobne, że spalona brama górnego zamku łączy się z tymi wydarzeniami. Wiemy, że walki toczyły się pod Będzinem. Armie czeskie poniosły klęskę pod wsią Pogoni [dziś dzielnica Sosnowca od strony Będzina – JK] i Białą. Cofając się Czesi usiłowali zdobyć jeszcze Bytom, który się jednak oparł”.

Czy zamek w Będzinie mógł się znaleźć rzeczywiście na drodze armii ślepego już wówczas Jana Luksemburskiego? Niestety, nie znamy dokładnej daty budowy zamku. Przywilej lokacyjny miasta z roku 1358 wymienia zamek jako już istniejący. Znany jest także z roku 1349 burgrabia (a więc niejako dowódca załogi zamkowej) Wiernek (Vernco). Był burgrabia, musiał zatem być i zamek. Ale – od kiedy? Opisywana wojna polsko-czeska miała miejsce cztery lata wcześniej. Oczywiście jakaś warownia na będzińskim Wzgórzu Zamkowym stała już wcześniej – jej zaczątkiem był IX-wieczny gród wiślański, na terenie którego w drugiej połowie XIII wieku wzniesiono murowaną wieżę – stołp.

Przez Będzin wiódł jeden z dwóch szlaków łączących dwie środkowoeuropejskie stolice – Pragę i Kraków. Jest najzupełniej możliwe, że wtedy maszerowała armia najeźdźców i to być może w obie strony. Że wtedy wracali, wiemy z całą pewnością, o czym za chwilę. Ale którądy poszli na Kraków?

Druga, obok szlaku wiodącego przez Będzin, droga z Czech do Krakowa biegła nieco bardziej na południe, przez Racibórz, Oświęcim i Zator. Jan Długosz

,wspominając wyprawę Jana Luksemburskiego pisze tylko, że król czeski z *potężnem wojskiem*, z Niemców, Czechów i Ślązaków złożonem, osobiście ruszył do Polski. Inne źródła są równie powściągliwe. Jednak na podstawie pośrednich poszlak opowiadamy się raczej za kierunkiem raciborskim.

Konflikt polsko-czeski miał oczywiście bardzo szerokie podłoże, zapoczątkowane stopniowym shołdowaniem księstw śląskich Królestwu Czeskiemu. Kazimierz Wielki, wbrew temu, co zarzucali mu niektórzy historycy, próbował aktywnie przeciwdziałać odpadowi Śląska od polskiej macierzy. Na tym tle doszło m.in. do konfliktu w roku 1343, kiedy polski monarcha błyskawicznym atakiem na Henryka Żelaznego, księcia żagańskiego, odbił Wschowę. Wojna rozszerzyła się także na inne księstwa śląskie, a jakiś polski oddział poniósł klęskę pod Oleśnicą, co jak na razie powstrzymało przed zbrojną interwencją króla czeskiego, bądź co bądź seniora swoich śląskich wasali. Wydarzenia te spowodowały także pewne zbliżenie Henryka z Janem Luksemburskim i jego późniejsze wsparcie w wyprawie na Kraków (to są zapewne owe śląskie wojska, o których wspominał Długosz).

W latach 1344-1345 nastąpiło zbliżenie polityczne Kazimierza Wielkiego z domem Wittelsbachów, wymierzone przeciwko Luksemburgom. Ośmieliło to naszego króla, by uwięzić w marcu 1345 roku Karola (syna Jana) Luksemburskiego za jakiś niespłacony dług, co stanowiło niebywałą obelgę dla dworu cesarskiego. Niespełna dwa miesiące później Jan Luksemburski uderzył na przyjazne Polsce księstwo świdnickie, Kazimierz Wielki zaś, wspomagany przez posiłki węgierskie i litewskie (te drugie jeszcze wówczas pogańskie, za co dostał repymendę od papieża) zorganizował odwetową wyprawę na... księstwo opawskie (i wchodzące w jego skład dawne księstwo raciborskie). Była to taktyka charakterystyczna dla średniowiecznego prowadzenia wojen, gdzie dwie zwalnione strony wołały raczej wzajemnie najeżdżać dobrego przeciwnika, plądrując je i grabiąc, niż spotkać się w bezpośrednim boju, którego rozstrzygnięcie zawsze pozostawało pewną niewiadomą. Jan Luksemburski, widząc akcję

Kazimierza postanowił nie wychodzić mu naprzeciw, tylko pociągnął wprost na opuszczony przez monarchę Kraków. Kazimierz chciał uniknąć bezpośredniego starcia, może też myślał, że król czeski nie odważy się przekroczyć granicy – w każdym razie schronił się w swojej stolicy. Wkrótce potem, 12 lipca 1345 roku, wojska czeskie stanęły pod murami Wawelu. Właśnie ta sekwencja wydarzeń – oraz tradycja zachowana u Długosza – wskazuje wyraźnie, że najazd czeski nie mógł iść przez Będzin.

Obłężenie Krakowa, według *Rocznika świętokrzyskiego*, trwało 8 dni. W tym czasie najeźdźcy spłądrowali całą okolicę, spalili wiele wsi i miasto Miechów, ale samej stolicy nie zdobyli. Co więcej – jak podają tzw. *Spominki władysławskie* (dzisiaj powiedzielibyśmy: włocławskie) posiłkujący Polaków oddział węgierski pobił jakąś kolumnę czeską w bitwie pod Lelowem, po czym *zawstyżeni porażką Czesi powrócili do siebie*. Opisujący całe to zdarzenie *Kalendarz krakowski* wspomina o dwukrotnej klęsce Jana Luksemburskiego – tą drugą była bitwa pod Pogonią, o której pamięć przechowała się w *Rocznikach* Jana Długosza: *Kazimierz jednak król Polski z swoim wojskiem, które był zebrał dla dania odporu Janowi królowi Czeskiemu, trzymał się przezornie i bacznie już-to w zamkach, już w miejscach ukrytych, upatrując sposobnej pory do działania i korzystnego stoczenia bitwy. A gdy rzeczony Jan król Czeski, odparty od Krakowa, cofał się ku Czechom z małym oddziałem, wysiawszy wojsko całe, na dwie części podzielone, jedno pod Lelów, a drugie ku Olkuszowi, aby szerzej rozpuścić zagony i większą Polaków nawiedzić klęską: wtedy rycerstwo króla Kazimierza wiedząc, iż Czesi rozdzieleni wyszli kraj Polski pustoszyć, porwało się do broni i spieszenie za nimi pobiegło, a naprzód tych, którzy ciągnęli pod Olkusz, u wsi Pogoni, drugich zaś dążących ku Lelowi u wsi Białej doścignawszy, i z wielkim krzykiem uderzwszy z tyłu na Czechów, wszystkich lud najtęższy i najwaleczniejszy z łatwością rozbiło i pokonało. Przednie hufce, nagle przerażone niebezpieczeństwem, widząc, że wojsko w tyle będące upada w porażkę, i jak to zwykle wieść wszystko powiększa i na gorsze wróży, mając je za zupełnie zniesione, nie myślały już o bi-*

twie, ale o prędkim ratowaniu się ucieczką. Niektórzy tylko acz w niewielkiej liczbie, troskliwi o sławę rycerską, a takimi byli szczególnie dowódcy oddziałów, kiedy wszystko wojsko pierzchło w rozsypce, spieszyli w te miejsca, gdzie bój wzrastał zaciętszy i usiłowali jakiś czas podtrzymać walkę; ale widząc, że Polacy coraz dzielniej gromią Czechów i że osłabione hufce Czeskie wszędy uchodzą z pola, ulec wreszcie musieli. Była rzeź niemała w tem podwójnem spotkaniu, w Pogoni i Białej, kędy Bóg przytarł dumy hardemu Czechowi; ścigano rozproszonych i uciekających, i wielu znakomitych panów Czeskich, między nimi Hinko z Dubu, Zajac, Ptaszek, Also z Strambergu, pojmani, niektórzy poranieni w boju, w więzach przyprowadzeni byli do obozu króla Kazimierza. Potem z rozkazu króla wyleczeni z ran, długo jeszcze w Polsce wysiadali niewolą. Król Czeski Jan, który inną puścił się drogą, uszedł szczęśliwie pomienionej kłeski, a posłyszawszy o porażce i ucieczce swoich wojsk, z wielkim smutkiem i ohydą, z żalem i narzekaniem, resztę ocalonych z pogromu do Czech odprowadził. Polacy opanowali oręż, tabory i wszystką zdobycz tak po poległych, jak pierzchających i zabranych jeńcem. Król Polski Kazimierz rycerza Prandotę Gałkę z Niedźwiedzia, herbu Odrowąż, pod którego dowództwem tak pomysłnie bitwę stoczono, jako i innych rycerzy Polskich, którzy się dzielnością, w boju odznaczyli, za powrotem z wyprawy wspaniale wynagrodził i pasom rycerskim ozdobił. Szlachta Toporczykowie, na pamiątkę tego zwycięstwa i zabrania w niewolę Hinka z Dubu, przekazali synom i potomkom swoim przydane nazwisko Hinków”.

Wprawdzie w relacji Długosza istnieje wyraźnie nieco inna chronologia wydarzeń niż we wcześniej cytowanych źródłach, możemy to jednak złożyć na karb upływu czasu i zatarcie się pewnych faktów w ludzkiej pamięci. Zresztą nawet sama nazwa Pogoni budzi pewne wątpliwości, gdyż istnieje możliwość, że owa bitwa rozegrała się pod Przeginią, wsią położoną obok Olkusza. Z całą jednak pewnością kłeska Czechów była bezprzykładna. Jeszcze we wrześniu zawarto rozejm. Jan Luksemburski wkrótce potem (1347) zginął w sławnej bitwie pod Crecy, a jego syn Karol w roku 1348 pod-

pisał w Namysłowie traktat z Kazimierzem regulujący wszelkie zaistniałe spory.

Wróćmy zatem do Będzina i jego zaginionego topora. Nie wydaje mi się możliwe, aby w drodze powrotnej Czesi próbowali zdobyć tutejszy zamek. Zdobywanie twierdz zawsze było niezwykle trudne, coś dopiero w chwili odwrotu, albo nawet ucieczki. Być może istnieje inna możliwość – że w czasie oblężenia Krakowa jakiś oddział (nazwijmy go aprowizacyjnym) zapuścił się tutaj w celu zdobycia żywności dla oblegających wojsk (dokładnie taki sam przypadek zaistniał dwieście lat później, w czasie „Potopu” szwedzkiego). Jednak nie byłoby to możliwe, gdyby zamek stał już wówczas wykończony. Mógł wówczas



czas pozostawać albo na jakimś etapie budowy, albo nawet owe spalone drewniane szczątki byłyby pozostałością po wcześniejszym, drewnianym założeniu obronnym. Dopiero ten hipotetyczny atak Czechów na będzińską warownię mógł skłonić polskiego króla do rozbudowy zamku na wzgórzu w potężną na owe czasy, murowaną twierdzę. Pokój namysłowski i ukształtowanie się polsko-czeskiej granicy dosłownie u stóp wzgórza, wzdłuż rzeki Czarnej Przemszy, mogły jeszcze utwierdzić tę decyzję. Przypomnijmy jeszcze raz, że pierwszy burgrabia będziński pojawił się w roku 1349.

Śladów bitwy pod Pogonią (ani ewentualnie Przeginią) jak dotąd nikt jeszcze nie odkrył. Co więcej, w tym pierwszym przypadku jest to już niemal niemożliwe – Pogoń stanowi obecnie dzielnicę bardzo zurbanizowanego Sosnowca. Na marginesie – ta właśnie tradycyjna lo-

kalizacja miejsca bitwy nastrocza nieco wątpliwości, gdyż wycofujące się (bądź uciekające) spod Krakowa oddziały czeskie musiałyby zboczyć nieco z głównej drogi lub nawet... pobiłdzić. Problem ten nie istnieje, gdy jako miejsce bitwy uwzględnimy Przeginię, położoną dokładnie wzdłuż prastarej drogi z Krakowa w kierunku na Olkusz.

Ciekawe są podane przez Długosza informacje o charakterze legend heraldycznych, zwłaszcza ta o rodzie Toporczyków. Według Marcina Kromera przedstawicielem tego rodu *pojmwawszy Hinkona Czecha, od onego czasu herb swój Hinkiem ochrzcił*. Ród ten wymieniany jest w polskich herbarzach jako Hynkowie (herbu Topór). To z kolei nazwisko pojawia się wśród rodów pieczętujących się herbem Strykoń, co potwierdzałoby informację mówiącą o pochodzeniu tegoż od Toporczyków. Dlaczego to takie istotne w tym kontekście? Otóż dlatego, że pierwszy będziński wójt, wymieniony w wystawionym przez Kazimierza Wielkiego przywileju lokacyjnym dla Będzina (i nigdzie indziej!), na imię miał właśnie Hinko. O postaci tej nie wiemy absolutnie nic, choć doskonale wpisuje się ona w spłot nierozwikłanych jak dotąd polsko-czeskich konotacji Będzina (sama nazwa Będzin wydaje się być czeskiej proveniencji: *będzin gród*, czyli *gród Bendi*, a Bendowie/Benedowie to nazwisko średniowiecznej szlachty czeskiej). Kilkadziesiąt lat później starostwo będzińskie znajdzie się pod wieloletnią kuratelą Szafranców herbu Strykoń (najpierw jako protegujących Mikołaja Sistrzeńca, później już bezpośrednio), a wszystko to zawija się w niemożliwy do rozwinięcia kłębek powiązań, niczym litewski żmūt.

Szkoda tylko, że Toporczyki mają już od kilku wieków swoją legendę herbową, zapoczątkowaną podaniem o Walcerzu Wdałym (Walgerzu Udałym), opisanym choćby w XVI-wiecznych *Herbach rycerstwa polskiego* Bartosza Paprockiego. Tenże wybitny prekursor polskiej heraldyki i genealogii przypisuje pochodzenie rodu od prostego młynarza. O ileż ciekawiej byłoby, gdyby swoich początków mogli się dopatrywać w zwycięstwie nad czeskim najeźdźcą i pozostawionym na jego pamiątkę XIV-wiecznym toporem z Będzina.

Ryszard August WYCIECZKA STRAT

Stałem w korytarzu wagonu kolejowego relacji Sosnowiec-Kielce. Nikłe światło wewnątrz i nierozjaśniona jeszcze przez poranek ciemność sprawiały, że moje odbicie w szybie drzwi mieszało się z tym, co widać było na zewnątrz w świetle latarni. Sprawiało to wrażenie, jakby moja twarz ciągnęła się po mijanej okolicy, co jakiś czas uderzana przez drzewo czy słup, albo podskakiwała na podkładach kolejowych. Byłem śpiący i właściwie było mi wszystko jedno, byle by nie bolało. Wolne dni podczas próbnych matur, kiedy to nasze koleżanki z klasy i trzech zniewieściałych kolegów, którzy z nami nie pojechali, jeszcze sobie śpią i spać będą, a my tu z zawrotną prędkością jedziemy w ciemność. W ciemności prędkość mnoży się razy dwa. Czyli jakieś 60 km na godzinę. Gdyby się tak jednak zastanowić, to po ciemku wszystko, co jedzie na światłach, jedzie z prędkością światła, no bo reflektory nie zdążą przecież wyprzedzić lokomotywy czy samochodu, tylko przemieszczają się razem z nimi. Już prawie nie widziałem swojej twarzy przez przymknięte powieki, gdy poczułem zimny powiew poranka.

– Nie śpij, cieniu binderek.

To Koniu otworzył mechanizmem drzwi. Byłbym wypadł. Nie dość, że niewyspany, to jeszcze na początku wycieczki, która przecież w ogólnym zarysie zapowiadała się pozytywnie. Koniu był niski, w okularach. Jak piłeczka kauczukowa, hit tej wiosny, podskakiwał do każdego. Jak się go trzępnęło, to odbijał się radośnie i dwa razy szybciej od ścian i podłogi. „Cieniu binderek” wzięło się stąd, że był narodowości śląskiej, ale uczył się u nas, w Zagłębiu. Śmiał się i czekał, czym go zaskoczę. Nie zrobiłem nic i to go zaskoczyło. Poszedłem do przedziału. Tam siedział następny z naszej trójki zwany Pupą. Pupa gładził swoje strażackie spodnie moro, prawdziwy hit tej wiosny, jeżeli chodzi o garderobę. Kosztowały flaszkę. Na dworcu milicjanci kazali mu je ściągać, że nie wolno nosić elementów munduru itp. Dali jednak spokój i gdzieś pobiegli, wzywani przez radio. Może ktoś wioził armatę albo jakiś bardziej łakomy kasek. Zresztą spodni i tak by raczej nie sprzedali, bo ten strażak, który je miał gasił w nich pożar miejskiej toalety i trochę były nadpalone, nie mówiąc już o zapachu. Podobno jak mu się zaczęła palić nogawka, włożył nogę do muszli, a tam ktoś wcześniej, uciekając przed pożarem, nie spuścił wody. Pupa jednak twierdził, że przez to były rasowe, miały swoją historię, nie jakieś tam szczeniaki z metką. Pewnie, były też spodnie bez historii, ale za dwie flaski.

No i Pupa gładził te swoje spodnie prawie na kant. Powiedział, że nie ma aktualnie na wycieczce żadnych innych, a noce są chłodne i w dzień też źle chodzić w slupkach. Gdyby mu zabrali, byłoby głupio, bo nie wiadomo, czy czekać na niego, aż pójdzie do domu po inne i wtedy pociąg relacji odjedzie, czy jechać tylko we dwójkę. Szkoda by go było, prze-

cież wstał z rana. Poza tym nikt by nie wytrzymał sam na sam z Koniem. Dobrze się skończyło, w kieleckim od razu pójdzimy w las i tam nie będzie milicji. Jeszcze różnie może być na dworcu w Kielcach. No to niech je gładzi.

Koniu też chyba był śpiący, bo już do Kielc nie otworzył drzwi ani ust. Wsiadamy w Kielcach, przemykamy się na dworzec autobusowy i wpadamy od razu do autobusu do Sielpi. Ja pierwszy tarabanię się z plecakiem. Autobus nawet pustawy, co może oznaczać, że popsuty albo skończył bieg i wszyscy wysiedli. Upewniamy się i, o dziwo, to nasz i, o dwa dziwa, zaraz rusza. Mówię Pupie, który idzie za mną, żeby kupić bilety, ale on nie kupił, tylko drze się do Konia: „kup bilety!”. Oczywiście Koniu cieniu binderek nie kupił, tylko panu kierowcy ładnie „dzień dobry” powiedział. Chyba żeby nas zapamiętał. Siedzimy na samiotkim końcu. Ludzi tylko kilkoro z przodu. Co autobus wpadnie w dziurę, to nas pod sam sufit wyrzuca. Ubaw po pachy. Szczególnie że Koniu, najłżejszy, wałnął głową w sufit i opuścił dwie kolejne dziury. Trzymał się, bo mu było niedobrze i kręciło mu się w głowie. W którejś miejscowości na trasie do autobusu wsiadł facet w podejrzanej granatowej czapce z połyskującym daszkiem i coś za bardzo na granatowo ubrany. Wyglądał na kontrolera. To my myk za siedzenia razem z plecakami i obserwujemy z ukrycia. Facet usiadł i nie sprawdza biletów, alarm odwołany. No to czekamy na następną dziurę, żeby się bujnąć. Za dwie dziury pojawił się błękit wody. Wołam:

– Stop panie kierowco, wysiadają!

Pan kierowca hamuje. Już patrzę na majową wodę i pustki na plaży. Już łapię klamkę od drzwi, żeby wysiadać, otwieram usta, żeby powiedzieć „do widzenia, szerokiej drogi...”, a tu pan kierowca mówi:

– Bilety proszę.

No a przecież mówiłem Koniewi, żeby kupić i miał kupić. Wiem, oczywiście, mogło się udać. Ale się nie udało!

– Pupa daj panu kierowcy bilety – mówię spokojnie i pewnie.

On mówi:

– Ja nie mam, Koniu ma.

– Cieniu binderek – mówi Koniu.

Oczywiście kierowca wie, że my nie mamy. My wiemy, że on wie, ale to niczego nie zmienia, bowiem Koniu mówi:

– Już szukam.

Zaczyna szukać. Najpierw w kieszeniach bliższych, potem dalszych. Następnie w plecaku, pokazując wszystko, co z domu wyniósł. Jeden pasażer chciał nawet, żeby mu Koniu sprzedał menażkę. Zaczęło pachnieć swoją kielbasą, którą odpakował z papieru śniadaniowego. Poczułem głód, bo mi się goziny poprzestawiały. Chciałem mu potrzymać tę kielbasę, ale Koniu z obawy nie pozwolił. Ja też nie byłem taki śmiały

i bezpośredni, żebym się prosił Konia, czy mogę mu kielbasę potrzymać. Zresztą, nie lubię takich zachowań, musiałbym być bardzo wyposzczony, żeby się tknąć. Właściwie w czasie moich rozmyślań niewiele się zmieniło, jakby czas się zatrzymał, to znaczy kierowca dalej wiedział, że nie mamy biletów. Ale ja, o dziwo, zacząłem się zastanawiać, czy Koniu ich czasami nie kupił i rzeczywiście gdzieś nie zawieruszył. Dziwię się temu, przecież go znałem lepiej niż kierowca i wiedziałem, że to Ślázak czyli porządny i dokładny. Sytuacja przedstawiała się teraz następująco: wyglądało na to, że Pupa trochę się na nas wypiął, a ja już nie wiedziałem, czy wiem, że kierowca wiedział, że nie mamy tych biletów. Gdy Koniu zaczął wyciągać wkładkę z trampka i chciwie zaglądał w głąb w poszukiwaniu tych biletów, zwątpiłem, a podróżny w podejrzanym czapce, zwany w myślach kanarem, powiedział:

– Trochę odwagi obywatelskiej!

Gdyby mu Koniu sprzedał tę menażkę, może by był po naszej stronie, a nie po stronie władzy uciskającej, tu w osobie kierowcy autobusu dalekobieżnego...

Wtedy Koniu zauważył, że worek ze śpiworem ma tłusty od masła i tej kielbasy. To go załamało i odebrało chęć do walki.

Karę zapłaciliśmy panu kierowcy. Wtedy ktoś, chyba Pupa, powiedział głośno „wycieczka strat”. Uważam, że na obecną chwilę przesadzał. Teraz, po czasie wiem, że było coś proroczego w tym stwierdzeniu. Pieniądzy nie mieliśmy za dużo, ale był las kielecki, który wyżywił pokolenia powstańców i partyzantów. Zresztą i kanapki jakieś w plecakach też były. Szliśmy promenadą na molo i w milczeniu każdy myślał, ile mu zostało forsy. To znaczy Koniu nie myślał, bo zapłacił ze swoich i nic mu nie zostało. Mieliśmy mu oddać. Na molo, którego brzegi stanowiły betonowe płyty schodzące stromo do wody, rozsiedliśmy się jak paniska, oparliśmy się o plecaki, ziemia ogrzmana, to i można było. Rozliczyliśmy się prawie sprawiedliwie, bo ciężko jest sprawiedliwie, jeżeli nie ma gdzie rozmienić forsy. Jednak wyszło w podsumowaniu, że każdy jest komuś coś winien, na co Pupa powiedział, że to niemożliwe i kopnął worek Konia, ale ten ze śpiworem. Wspomniany worek poturlał się niedaleko, bo zaraz był stromy brzeg z tych płyt. Worek ze śpiworem wpadł do wody, ale nie poszedł od razu na dno, bo go zaimpregnowały masło i tłuszcz, którymi się ubrudził w plecaku. Patrzyłem na to, leżąc na moim plecaku, żeby Pupa mnie nie wrzucił czegoś do wody, bo nie pamiętałem, czy on mi był bardziej winien, czy ja jemu. Pupa był zaskoczony i nie planował dalszych działań. Koniu w pierwszym odruchu rzucił się w kierunku odpływającego śpiwora. W drugim odruchu już zjeżdżał po stromej płycie pod wodę. Złapał śpiwór. Mokry powyżej pasa próbował się wydostać, ale było za stromo. Nikt mu ręki nie podał. Nie, że Ślázak, ale przecież każdego by wciągnął do wody ze złości. Podaliśmy mu tylko chabinę, no i wyszedł. Zaczął gonić Pupę, ale szybko osłabł w mokrych spodniach, które mu się kleiły do nóg. Pupie znów się wyrwało „wycieczka strat”. Zresztą zazwyczaj jak się Pupie wyrwie, to robi się nieprzyjemnie. Spochmurnieliśmy. Panowie, odpuśćmy, działajmy razem. Mamy zorganizować miejsce na szkolną wycieczkę, do tego nas samorząd powołał i zwolnił z zajęć zastępczych w ramach tego, że nasi starsi koledzy zdają matury. Zaufało nam tyle kobiet i trzech

zniewieściałych kolegów, którzy nie wybrali się z nami. Właściwie wycieczka była załatwiona wcześniej, ale nikt o tym nie musiał wiedzieć. Powinny jednak być jakieś działania pozorowane, tak dla wprawy. Wtedy wydało się, że nawiązała się między nami jakaś nić porozumienia. No bo właściwie wszystko było dziełem przypadku. Koniu zmienił spodnie, tamte wykręcił. Woda ze śpiwora sama spłynęła, jak po kacze. Niestety, zaczęło lekko wiać i trochę mżyć. Postanowiliśmy się schronić w obszernym i ciekawie rozwiązany pod względem architektonicznym przystanku PKS-u na planie gwiazdy. Koniu chciał zjeść coś na ciepło i na szybko, albo odwrotnie. Studiowałem rozkład jazdy autobusów – nigdy nie unikam kontaktu ze słowem pisany – i wspominałem najdroższy bilet w życiu, za jaki tu przed chwilą zapłaciłem. Właściwie nie ja, tylko Koniu. Pupa tylko siedział na ławeczce. Koniu wyjął maszynkę, podпалиł i na maszynie postawił puszkę z mielonką. Otrzymał dawny humor, cieniu binderek. Konserwa się grzała w niebieskawych płomieniach, on sobie ćwiczył podskoki i próbował trafić Pupę w twarz. Pupa zapadł w letarg. Może by to komuś imponowało, że taki cwany i opanowany, ale ja wiedziałem, on taki już był, zamyślał się. Może go ogień hipnotyzował, tym bardziej, że już się zapaliła papierowa obwoluta na puszcze. No, wreszcie zaczął gonić Konia. Koniu był szybki i robił ostre zakręty, a Pupa szedł na wprost. Wyszedłem zobaczyć, gdzie pobiegli i co się stanie. Wtedy usłyszałem jęk i huk. Wróciłem na przystanek. Z pozoru wszystko było tak jak wcześniej. Poza tym, że ogień na maszynie się nie palił, nie było też puszek. Przyleciał Koniu i do mnie, że mu mielonkę zjadłem.

– Przecież ja mam kanapki, nie zjadłem mielonki. Przecież gorąca była i... tak bez dmuchania?

– Skąd wiesz, że gorąca była?

– Bo uważałem na fizyce!

Koniu już do mnie startował, ale pojawił się Pupa i to on zauważył, że Koniu zrobił sobie coś na szybko, a właściwie na szybko, bo część mielonki z rozsądzonej puszkę wylądowała na szybie w oknie przystanku. Całkiem niezły kawałek spłynął po rozkładzie jazdy, zatrzymał się przez chwilę na napisie „Końskie” i już chciałem zapytać czy Koniu jest z tych Końskich, kiedy odpadł upadając na piasek. Pupa pocieszył Konia, że póki gorące, to może z szyby zjeść, bo jeszcze bakterie nie opanowały, ale jak wystygnie, to mu może zaszkodzić. Koniu nie chciał.

– W ogóle Koniu, trochę kultury! W stajni mieszkasz? Będziesz tu mięsem w miejscu publicznym, zwanym przystankiem, rzucal?

Co było robić? Włożyliśmy plecaki na plecy i bogatsi o nowe doświadczenia w podgrzewaniu nieotwartych konserw powlekliśmy się do leśniczówki w K. Nikt już nie wypowiedział, jaka to wycieczka. Jednak miałem wrażenie, że coś wisiało w powietrzu i ciągnęło się za nami jak smród. Nie myliłem się, bo Koniu powiedział:

– Cieniu binderek. Czarny, plecak ci się pali.

Na początku ten zlepek słów był niezrozumiały, bo mój plecak był brązowy, ale po chwili dotarło do mnie, że Czarny to nie kolor plecaka, ale moja ksywa. Była nowa i jeszcze nie zawsze na nią reagowałem. Natomiast z plecaka rzeczywiście le-

ciał dym. Zrzuciłem go z pleców, zacząłem opróżniać. Dziura wlotowa bez dziury wylotowej i kawał gorącej blachy z resztkami mielonki, który topił mi elastyczne skarpety. Skarpety były do niczego, no może jakby to były podkolanówki, to by się coś z nich zrobiło. Byłem wściekły na Konia, szczególnie za tę dziurę wlotową, bo przecież bez skarpetek można chodzić. A plecaka czysto po ludzku szkoda. Pupa się głupio śmiał.

– Czarny, masz kamizelkę konserwo-ochronną. Gdyby cię trafiło, mógłbyś teżca dostać albo byś miał tłuszczaka na plecach. Chuda to ona nie była, ta konserwa.

– Ale taki kucharz to ma niebezpieczną robotę.

– Lej na to, Czarny. Albo nie lej, bo samo zgasło, a brzydko będzie pachnieć. Ha, ha, ha...

Spakowałem plecak.

– Pupa, ja bym się nie śmiał. Nas z Koniem los już dotknął nieszczęściami. Teraz będzie twoja kolej. My mamy to już za sobą, a ty czekaj i bądź czujny.

Leziemy dalej. Nic się nie pali. Leśniczówka już przed nami, choć Koniu marudzi, bo to z 5 km. Leśniczy miły, wszystko OK. Śpimy w stodole. Na sianie. Jest fajnie. Nadchodzi wieczór. Dzwonią krowie łańcuchy o wiadra przy studni. Jak się chce spać.

– Ma ktoś zapalki, bo mi latarka wpadła w to trawsko...

No nic, tylko go kopnąć w ten głupi łeb.

– Koniu, kto jak kto, ale ty powinienes znać się na sianie.

– Zapalki w kopytach Konia to pożar.

Wczesnym rankiem, jak nam się wydawało, coś koło jedenastej, nie mogliśmy się wygrzebać ze stodoły. Oczy nam się nie chciały otworzyć. To wszystko przez to, że siano było świeże. Odurzeni zjedliśmy śniadanie. W tym odurzeniu postanowiliśmy zrobić spływ na gumowych materacach pobliską Czarłą. Rzeczka miła, ale zimna jeszcze o tej porze. Tym bardziej że upał zrobił się straszny, co zwiększało kontrast termiczny. Jednak spływ można było uznać za udany.

Po obiadku w leśniczówce, do której Pupa chciał dopłynąć, ale mu wody zabrakło, postanowiliśmy odwiedzić drugiego leśniczego.

– Tylko 7 km stąd, cały czas lasem. Będzie super, mówię.

– Nie idziemy, Czarny. My z Pupą jesteśmy uzależnieni od tego siana, mamy zespół z odstawienia jak odchodzimy.

– Tam też jest siano-blefowałem. Zresztą daj se siana do reklamówki, będziesz szedł i wąchał.

– Czarny, jak ci to powiedzieć? Marudzisz.

– Ale tu nie ma kobiet – wspomnienie o kobietach po dwóch dniach w męskim towarzystwie musiało ich zainteresować.

– Kobiety?

Pupa dostał rumieńców.

– No... Jedna.

– To ja idę. W którą to stronę?

– On cię robi, Pupa. Może byś nam powiedział coś więcej.

Czy ona pamięta ostatnią wojnę?

– Nie. To córka leśniczego, blondynka, niebieskie oczy. Wiesz, taka słowiańska uroda z wydatnymi kośćcami policzkowymi.

– Czarny, kocham cię. Jakbym ją widział na polanie. Słuchaj, ile ma lat?

– Młodsza od nas, ale to chyba lepiej – powiedziałem.

– A imię?

– Ania.

– Ania, Ania ładnie brzmi, nieprawdaż. To jak sen na tym pustkowiu.

– Może sprawdzić? Koniu, co myślisz?

– Wolę czarne – powiedział Koniu.

– Kare się mówi – bąknąłem.

– Idziemy – zdecydował Pupa.

Koniu się ociągał, ni to się pakował, ni to nie pakował. Pupa powiedział, że mu pomoże. Zawinął mu śpiwór razem z taką białą ciężką cegłą i przytroczył do plecaka.

Koniu aż jęknął, kiedy podnosił plecak, ale grał twardego.

– Jakiś cięższy...

– Wilgoć, w lesie jesteśmy, to nawilgł – powiedział Pupa.

Szliśmy przez las i zaśmiewaliśmy się kiedy Konia od czasu do czasu zarzuciło. Taka cegła to zwiększenie jego ciężaru o 10% i podniesienie środka ciężkości. Ale Pupa nie miał litości.

– Koniu, bierz kanister z piciem. Teraz twoja kolej!

– Napijcie się najpierw chłopcy, a potem wezmę.

Napiliśmy się, ale sprytniej bestii i tak 8 litrów wody zostało. Sam też upił, bo lepiej nieść w żołądku niż w ręce.

Po następnych dwóch kilometrach Koniu postawił kanister i zrzucił plecak, wyraźnie zmęczony. Ale mimo zmęczenia dotarło do niego głuuche dudnienie, gdy śpiwór uderzył w ziemię. Otworzył worek ze śpiworem, ale nas już obok niego nie było. Woleliśmy się oddalić. Wyjął cegłę ze śpiwora i chciał w nas nią trafić. Czasem był nieobliczalny. Dobrze, że ręka omdlała mu od kanistra i cegła upadła metr od niego. Całe szczęście, że nie na nogę, bo trzeba by go było nieść. Zaczął w nas rzucać różnymi rzeczami, między innymi kanistrem, aż się trzymał urwało. Nie mieliśmy już siły się śmiać. Koniu dla pewności przeszukał cały plecak, czy nie ma czegoś więcej. To mi przypomniało jak szukał biletów w autobusie...

– Ale byłby numer, gdyby teraz znalazł te bilety – powiedział Pupa.

– Koniu, ogarnij się, bo Leśniczanka Pupę wybierze, a nie ciebie. Popatrz, jak ty wyglądasz, upocony, zziąjany, igliwie na twarzy.

– Właściwie po co ci była ta cegła?

– Dobra panowie, idziemy razem. Chcę ją zobaczyć w promieniach zachodzącego słońca, a nie w sztucznym oświetleniu, czy przy księżycu.

Prawie mi się wyrwało, że jak się spóźnimy, to będzie spać.

Wychodzimy wreszcie z lasu polną drogą na rozległą polanę. Droga skręca i mijając kilka gospodarstw docieramy do leśniczówki. Koniu pierwszy, ale go powstrzymałem – groźne psy. Zjawia się gospodarz. Leśniczy zaprasza, przedstawia mi się żonie.

– A to Ania, nasza córeczka.

– Mam już 6 lat – powiedziała dumna Ania.

Pupa podbiegł nie stosownie do dziecka, klęknął, złapał za wąż ramionka i z naciskiem zapytał:

– Masz starszą siostrzyczkę?!

Nie czekał na odpowiedź, tylko groźnie na mnie spojrzał. Koniu rżał na łące.

Rano Pupa obudził się wściekły, choć dzień był piękny. Roz-

łał swoje mleko na spodnie moro. Nawet nie zaklął. Czuliśmy, że dziś to on będzie odcinał kupony od losu, te same, trefne. Los zagra z nim w rozbieranego pokera i nie wytrwa długo.

– Pupa, ubierz się ciepło w kilka warstw – doradziłem mu.

Spaliśmy na poddaszu, na które wchodziło się po drabinie. Na dole bulterierzy chodzili koło łazienki.

– Kiedy te bestie odejdą? – zapytał Koniu.

– Rzucę im kielbasę na koniec korytarza, a ty wejdiesz do łazienki. Jak skończysz, daj znać, to rzucę drugi kawałek.

– Myślisz, że mogą złapać za nogę?

– Pewnie. Są tam też małe, mały niechący zapiszczy, a matka cię w pasie przegryzie.

– Dobra, ja już nie wytrzymam. Masz tu dwa kawałki mojej swojej.

– Koniu musisz dać większe kawałki. One słabo widzą, bo mają oczy z boku głowy, takiego małego nie zauważą.

– Dobra, masz tu 4 kawałki.

– OK. Uważaj.

Rzuciłem dwa kawałki. Psy pobiegły w głąb korytarza, zaczęły się kotłować. Koniu wbiegł nerwowo do toalety. Psy wróciły pod drzwi i zaczęły drapać. Patrzyły bystro co jakiś czas na górę drabiny, przy szczycie której siedzieliśmy z Pupą i zjadaliśmy każdy po jednym kawałku kielbasy.

– Wychodzę – powiedział przez szparę w drzwiach Koniu.

– Nie radzę, nie mam już kielbasy.

Psy zaczęły napierać na drzwi od toalety.

– Jak to nie masz?! Jeszcze 2 kawałki ci zostawiłem. Nie żartuj!

– Tak, ale Pupa zaczął tak warczeć, że musiałem mu jeden rzucić. Drugi sam zjadłem, bo Pupa pił mleko i nie może za bardzo mieszać. Mógłby zwymiotować, a nie ma gdzie, bo łazienka zajęta.

– Zabiję was!

Przyszła Ania i tupnięciem małej stópki przegoniła psy. Koniu wyszedł z WC z pianą na ustach jak ogier, ciągnący sanie w lecie, którego poniosło. Jak on się doprowadził do takiego stanu na tak małej powierzchni? Wydaje mi się, że piana nie mogła być wynikiem mycia zębów, zresztą darowanemu nie zagląda się w zęby... Ale oczy miał spokojne. To nam dawało pewne szanse, że przeżyjemy. Rany kłusane długo się goją, ale nie zagrażają życiu. Operacja nie wchodziłaby w grę, bo mieliśmy żołądki pełne swojej kielbasy. Spakowaliśmy się szybko i nudno. Po pół godziny już się zegnaliśmy.

– Do widzenia, do widzenia.

Ile do tego asfaltu, Czarny?

– Dwieście metrów kieleckich czyli jakieś dwa kilosy.

Idziemy w milczeniu. Jutro trzeba wracać do budy. Doszliśmy do drogi, musimy złapać stopa. Autobus tylko jeden, ale nie dzisiaj. Czekamy, czekamy i nic. Rozkładamy się w przydrożnym rowie, ściągamy buty, koszule, opalamy się i nasłuchujemy, czy coś (lokalnie coś) jedzie.

W oddali wreszcie słychać szum opon na rozgrzanym asfalcie. Ubierać się! Machać! Buty się mylą. Stajemy na poboczu z grubsza ogarnięci i machamy. Żuk się zatrzymuje. Możemy ładować się na pakę. Wrzucamy w pośpiechu rzeczy. Nie jechał szybko, ale zaskoczył nas ten Żuk. Może już nie być następnej okazji. Jedzie do samych Kielc.

– Wszystko wrzucone!

Na pace tylko my i bojler. Brezent zaczyna drżeć. Jedziemy. Bojler na zakrętach toczy się to na jedną, to na drugą stronę. Trzeba było uważać, żeby nie wywałkował. Widać kierowcy potrzebny był ktoś do trzymania ładunku. Skupiony na bojlerze Pupa nie od razu zauważył, że jego spiwór leży na akumulatorze. Wypaliło mu w syntetycznej materii w kwiatki tyle dziurek, ile koreczków w akumulatorze. Złapał się za głowę i nie zdążył odepchnąć bojlera. Był wściekły. My też nic nie mówiliśmy. Kierowca wysadził nas na przedmieściach, bo jechał do bazy.

Wyrzucamy rzeczy. Wyskakujemy. Żuk odjechał. Dopakowujemy luźne rzeczy.

– Gdzie mój traper? – drze się Pupa.

Rzeczywiście, ma jednego buta. No, co robić, idziemy na dworzec. Nawet nie wiemy, skąd był ten samochód. Zresztą, jak powiedział Koniu, w jednym bucie nie znajdziesz drugiego. Idziemy na dworzec. Pupa wyrzucił buta, który mu został, do kosza. Pewnie tak będzie lepiej. Po co ma mu przypominać stratę. Ale Koniu był odmiennego zdania. Oczywiście wyjął tego buta, bestia, odczekał i po kilometrze marszu mówi:

– Pupa, dobra, oddam ci tego buta stary. Przepraszam, że ci go schowałem, tylko się już nie wkurzaj.

Pupa oniemiał. Obrócił się i pobiegł do kosza, żeby mu nikt tamtego nie ukradł. Kiedy wrócił i dowiedział się, że Koniu blefował i nie ma tego, nazwijmy, pierwszego buta, wkurzył się. Rzucił znów buta do kosza i poszedł. Oniemiałem, kiedy Koniu wyciągnął buta z kosza i schował za plecami. Nie znał umiaru.

Po kilometrze mówi Pupa: masz tego buta i dał mu tego samego, ale Pupa się połapał i tylko rzucił w nas butem. Nie poleciał już do kosza. I nie chciał iść z nami. Na peronie nie stał przy nas tylko dalej. Patrzymy, a podchodzi do niego taki facet, klepie go po plecach i drze się:

– Cześć Myca, kiedy cię wypuścili?

Nie pomogły tłumaczenia, myśmy się też odwrócili, bo z elementem kryminalnym się nie zadajemy. Nagle facet się spłoszył i poszedł, a zaraz do Pupy podeszli milicjanci i powiedzieli, że nie można chodzić w elementach wojskowych i niech ściąga spodnie. Wyłgał się bestia, bo stał boso i powiedział, że mu ich koledzy już ściągnęli buty wojskowe i musi stać boso, a oni jeszcze mu spodnie każą ściągać, a nie ma innych i że te są przypalone i polane mlekiem i upocone. Opuścili mu z obrzydzeniem. Oddalili się. Fleja jakaś z niego, dobrze, że się od nas oddalił. A w ogóle, mógł skłaść dobre imię szkoły, gdyby kazali mu pokazać legitymację.

– Jak można się tak stoczyć? – powiedział Koniu i splunął na zielono (od trawy chyba) na torowisko.

– Choć z drugiej strony, stracił buty, ale nie głowę. Można powiedzieć, że Pupa ma łeb na karku i to nie będzie przesada.

Wsiedliśmy do pociągu osobno, do innego przedziału niż Pupa. Może to i dobrze. Nie dlatego, że boso, lecz dlatego, że kiedy pociąg odjeżdżał, to z naszych okien było widać jak na peron wbiega kierowca Żuka z butem w ręce. Rozglądał się, jakby kogoś szukał. Pewnie i tak by nie znalazł tego kosza z drugim butem. Dziwne miasto. Jedni opływają w buty, mają po trzy, a inni boso wsiadają do pociągu. Kto by to pojął.

Wybory do Parlamentu Europejskiego

Unia Europejska jest organizacją międzynarodową, skupiającą obecnie 28 państw członkowskich. Organy główne Unii tworzone są w różny sposób, ale nie mają charakteru przedstawicielskiego i reprezentują raczej rządy. Jedynym organem w pełni przedstawicielskim, a więc reprezentującym obywateli jest Parlament Europejski. Od 1979 roku jest on wyłaniany w wyborach powszechnych. Wcześniej składał się z deputowanych delegowanych przez parlamenty krajowe. Decyzję o wyborach bezpośrednich podjęto w roku 1975. Ustalono także jego 5-letnią kadencję. Począwszy zatem od 1979 roku, co pięć lat społeczeństwa Wspólnot, a potem Unii Europejskiej wybierają jego nowy skład. Traktat o funkcjonowaniu Unii Europejskiej (nazwa obecna), przewiduje przyjęcie jednej europejskiej ordynacji wyborczej do Parlamentu. Do tej pory jednak nie została ona przyjęta i wybory odbywają się w każdym z państw według ordynacji krajowej. Zasady wyborcze mogą być zatem nieco inne, ale wszędzie zastosowane być muszą minimum wybory czteroprzymiotnikowe. Wybory nie odbywają się także w tym samym terminie. W każdym z państw może to być inny dzień, lecz różnica terminów nie przekracza tygodnia. W tym roku wybory będą się odbywały między 22 a 25 maja. Zgodnie z polską ordynacją wybory muszą być w dzień ustawowo wolny od pracy, będzie to zatem ostatnia niedziela maja.

Wybory do Parlamentu Europejskiego w każdym z państw członkowskich Unii są traktowane jako wybory mniej ważne. To jednak zaczyna się zmieniać wraz z poszerzeniem uprawnień Parlamentu. Jest to organ o coraz większym znaczeniu i o stale zwiększanych kompetencjach i zakresie władzy. Z organu w zasadzie tylko doradczego-konsultacyjnego stał się rzeczywistym organem władzy. W 2014 roku wejdą w życie kolejne postanowienia Traktatu Lizbońskiego i parlament znów zwiększy swoje uprawnienia i zakres władzy. Jest już w całej pełni organem prawodawczym, wraz z Radą Unii Europejskiej, teraz to parlament będzie wybierał Przewodniczącą Komisji spośród kandydatów zgłoszonych przez Radę Europejską. Tak będzie po raz pierwszy. Przewodniczący Komisji musi mieć zatem za sobą większość parlamentarną, a jaka to będzie większość o tym zdecydują wyniki wyborów, a więc przede wszystkim wyborcy. Jeżeli więc już teraz rozdziela stanowiska w organach Unii, to dzieli przyszłościową skórę na niedźwiedziu.

Wybierać będziemy 751 eurodeputowanych, bo tak w Polsce przywykło się ich nazywać. W obecnym parlamencie jest ich 766. Wynika to z tego, że poprzednie wybory w 2009 roku odbywały się jeszcze przed wejściem w życie Traktatu z Lizbony, a dodatkowo w trakcie kadencji Parlamentu członkiem Unii została Chorwacja i wprowadziła do parlamentu 12 posłów, bo tyle miejsc państwu temu przysługuje. W Polsce wybierać będziemy 51 deputowanych. Kraj nasz został podzielony na 13 okręgów. Okręg wyborczy obejmuje obszar województwa, jednak w kilku przypadkach okręg obejmuje obszar dwóch województw. Województwo śląskie jest jednym okręgiem wyborczym i nosi numer 11. We wszystkich państwach członkowskich głosują osoby pełnoletnie to znaczy takie, które najpóźniej w dniu wyborów ukończyły 18 lat. Wyjątkiem jest Austria, gdzie głosują już szesnastolatki.

Województwo śląskie reprezentuje w obecnym Parlamencie szóstka deputowanych. Są to: Jerzy Buzek, Adam Gierek, Małgorzata Handzlik, Bagdan Marcinkiewicz, Marek Migalski i Jan Olbrycht. Gierek i Ol-

brycht są już w parlamencie drugą kadencję, pozostali kończą swoją pierwszą. Nie wszystkie ugrupowania zamknęły ostatecznie listy swoich kandydatów, ale w zasadzie wiadomo, że wszyscy będą się starać o reelekcję, chociaż nieraz z innych niż poprzednio ugrupowań. Na pewno kandyduje Jerzy Buzek i to jako lider listy Platformy Obywatelskiej. Na pierwszym miejscu jest także Adam Gierek na liście koalicji Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Profesor Buzek jest w Brukseli postacią znaną, po tym jak przez pierwszą połowę kończącej się kadencji był przewodniczącym parlamentu. Jest to funkcja prestiżowa i zaszczytna, ale nie dająca w zasadzie wielkiej realnej władzy.

Reprezentowanie jakiegoś regionu w parlamencie ma charakter czysto symboliczny. Posłowie do parlamentu nie zasiadają w nim bowiem w grupach regionalnych czy krajowych, ale grupują się we frakcje parlamentarne o charakterze partyjnym lub ideologicznym. Takich frakcji jest obecnie 9, ale realnie liczą się dwie, a mianowicie frakcja chadecka, zwana ludową, i frakcja socjaldemokratyczna. Na mocy porozumienia między nimi obsadza się kluczowe stanowiska w parlamencie. Oficjalne nazwy obu frakcji to odpowiednio: Grupa Europejska Partii Ludowej i Grupa Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów.

Parlament Europejski pracuje na sesji rocznej. Sesja rozpoczyna się z mocy prawa w pierwszy wtorek marca. Parlament pracuje plenarnie i w 21 komisjach. Obrady plenarne odbywają się we francuskim Strasburgu a komisje pracują w Brukseli. Powoduje to wiele niedogodności i konieczność stałego przemieszczania się posłów między jednym i drugim miastem, a wraz z nimi przewieźć trzeba wiele ton dokumentów raz w jednym, a następnie w drugim kierunku. Takie podróże są bardzo kosztowne, podobnie jak utrzymanie dwóch siedzib. Jak na razie nie widać szansy na rozwiązanie tego problemu i tak będzie również w nowej kadencji. Na stałą siedzibę parlamentu tylko w Brukseli nie godzi się Francja, a z jej stanowiskiem Unia się liczy.

Kazimierz Gołosz



Prof. Jerzy Buzek

Jaką sprawę załatwioną w PE uważa Pan za najważniejszą?

PE to jedyna instytucja unijna, której skład wybieramy my – obywatele. Jest on też zawsze sojusznikiem takich krajów, jak Polska, które dokonując skoku cywilizacyjnego starają się dołączać do ścisłej czołówki UE. Dlatego, zostając przewodniczącym PE, za swój cel obrałem wzmocnienie jego roli. W tym celu zabiegałem o przyjęcie Traktatu Lizbońskiego – przekonywałem do niego prezydenta Czech V. Klause oraz Irlandczyków przed ich referendum w tej sprawie. Udało się – Parlament otrzymał nowe uprawnienia w blisko 40 obszarach, w tym tak kluczowych, jak budżet unijny. Bez Traktatu Lizbońskiego nie udałooby się wynegocjować setek mld zł dla Polski, które w latach 2014-2020 przeznaczymy na tworzenie miejsc pracy czy pomoc małym i średnim przedsiębiorstwom. Dzięki Traktatowi – pierwszy raz w historii – PE miał także realny wpływ na kształt i budżet Wspólnej Polityki Rolnej. Ponadto, wzmocnieni o nowe kompetencje, wywalczyliśmy – jako PE – obniżenie stawek roamingowych, zwiększyliśmy prawa pasażerów, pogrzebaliśmy kontrowersyjną umowę ACTA. A to tylko parę przykładów z brzegu!

Jakie sprawy uważa Pan za priorytetowe w przyszłej kadencji PE?

Wszystkie działania, dążące do zwiększania bezpieczeństwa energetycznego Unii – w tym Polski. Wiele już osiągnęliśmy. Obroniliśmy polski węgiel, co ma ogromne znaczenie dla naszego kraju, a zwłaszcza – naszego województwa. Przyjęliśmy rozporządzenie o bezpieczeństwie dostaw gazu, gwarantujące wspólne działania – w ramach UE – w sytuacjach kryzysowych. Posłowie – niemal jednogłośnie – przyjęli mój raport o wewnętrznym unijnym rynku energii. Na takim rynku będziemy wspólnie, jako Unia, negocjować z Gazpromem obniżki cen gazu; będziemy budować nowe połączenia gazowe i elektryczne – 12 takich inwestycji powstanie w Polsce w ramach 6 mld euro; będziemy rozwijać nowe technologie energetyczne, m.in. czystego wy-

korzystywania węgla – na ten cel zapewniliśmy do 2020 r. ok. 1 mld euro. To wszystko przybliży nas do pełnego bezpieczeństwa energetycznego, czyli pewnej energii w przystępnej cenie.



Jerzy Buzek jest posłem do Parlamentu Europejskiego, członkiem Komisji Spraw Zagranicznych oraz Komisji ds. Przemysłu, Badań Naukowych i Energii. 14 lipca 2009 r., zdobywając 555 spośród 644 ważnych głosów, został wybrany na stanowisko przewodniczącego Parlamentu Europejskiego.

Od wielu lat zaangażowany w kwestie dotyczące energii; był posłem sprawozdawcą Parlamentu Europejskiego w ramach pakietu legislacyjnego Siódmego Programu Ramowego na rzecz Badań i Rozwoju 2007-2013, a także posłem sprawozdawcą Europejskiego Planu Strategicznego w dziedzinie Technologii Energetycznych. W 2010 r. razem z Jacques'em Delorsem zaproponował utworzenie Europejskiej Wspólnoty Energetycznej, mającej na celu skuteczną wspólną politykę energetyczną. W 2013 sprawozdawca PE nt. dokończenia Wewnętrznego Rynku Energii UE. Obecnie przewodniczy pracom Grupy Ekspertów przygotowującej strategię działania Wspólnoty Energetycznej na lata 2016-2026.

Prof. Adam Gierek

Opracowałem 379 poprawek do 40 unijnych projektów dyrektyw, rozporządzeń, rezolucji, zaleceń i decyzji oraz byłem sprawozdawcą w kilku istotnych sprawach.

Do sukcesów zaliczam zaznaczenie istotnej roli Małych i Średnich Przedsiębiorstw w proces normalizacji, a także ich uczestnictwo w tymże procesie.

W tzw. kwestii BONUS-169 – zaproponowałem priorytetowe cele kształtujące stan Bałtyku z uwzględnieniem wpływu zlewni oraz wstępne ukształtowanie zasad formowania niezbędnej infrastruktury badawczej.

Opiniując patent o jednolitym skutku jednoznacznie stwierdziłem, że ta regulacja, mimo, iż generalnie korzystna dla całej Unii Europejskiej, jest dla Polski – zwłaszcza dla MŚP w naszym kraju – bardzo niekorzystna.

Opiniując raport w sprawie rozwoju motoryzacji w Unii Europejskiej, w zgłaszanych poprawkach sugerowałem ogólnoeuropejskie przyjęcie Klauzuli Napraw, która bardzo korzystnie funkcjonuje od niedawna w naszym kraju. Udało mi się przeformować pogląd bardzo istotny z punktu widzenia Polski, o dużej roli remontów starszych samochodów przy użyciu tańszych części zamiennych.

W sprawie europejskiej bazy technologiczno-przemysłowej sektora obronnego podkreśliłem potrzebę normalizacji i unifikacji sprzętu oraz amunicji, znaczenie bezpieczeństwa w cyberprzestrzeni, a także potrzebę obrony przestrzeni powietrznej i kosmicznej nad Europą. W głosowaniu końcowym przyjęto moją poprawkę dot. utworzenia instytutu zajmującego się obroną i bezpieczeństwem w ramach Wspólnoty Centrum Badawczego.

Kilkanaście razy zabierałem bardzo krytyczny głos w sprawach dotyczących Pakietu Klimatyczno-Energetycznego, którego skutki są bardzo negatywne dla polskiej gospodarki, zwłaszcza przemysłu ciężkiego w woj. śląskim.

Wszystkie wymienione wyżej problemy wymagają twórczej kontynuacji w kolejnej kadencji Parlamentu Europejskiego. Szczególnej uwagi będzie wymagać problem reindustrializacji Europy, konkurencyjności naszego kontynentu, a także naukowego, technicznego i społecznego urealnienia Pakietu Klimatyczno – Energetycznego.



Adam Gierek ur. 1938 r. w Belgii, dokąd za pracą wyjechali z Zagłębia Dąbrowskiego jego rodzice. Po wojnie przyjechał do kraju.

Ukończył studia na Politechnice Śląskiej. Następnie uzyskał tytuł doktora i obronił pracę habilitacyjną. Uzyskał tytuł naukowy profesora zwyczajnego. Pracował na Politechnice Śląskiej w Gliwicach jako nauczyciel i pracownik naukowy. Pracował naukowo także w Rosji i w Niemczech.

Jest autorem ponad 200 publikacji naukowych i autorem lub współautorem ponad 80 patentów, członkiem-korespondentem PAN.

W 2001 r. został wybrany na senatora RP. W 2004 r. uzyskał mandat deputowanego do PE z listy SLD-UP. W 2009 r. z powodzeniem ubiegał się o reelekcję do PE. Członek Unii Pracy. Posługuje się językami obcymi: angielskim, rosyjskim, niemieckim. Żonaty, ma dwoje dorosłych dzieci.

Prof. Genowefa Grabowska

Jakimi sprawami powinien zająć się PE w najbliższej kadencji?

Największą bolączką państw europejskich, w tym Polski, jest brak pracy. Bezrobocie dotyka głównie ludzi młodych, wchodzących na rynek pracy oraz osoby w wieku „50 plus”. PE dostrzegł ten problem i w roku 2013 uruchomił konkretne programy gwarantujące młodzieży pierwszą pracę lub staż zawodowy, w ciągu trzech miesięcy od ukończenia szkoły/studiów. Trzeba kontynuować te działania i zadbać, aby Polska (i władze regionu) pozwoliła naszej młodzieży skorzystać z tych rozwiązań.

Jednak to za mało, tu trzeba rozwiązań systemowych. W mojej opinii niezbędne

jest dostosowanie systemu edukacji do potrzeb rynku pracy. Tymczasem, jak pokazuje przykład Śląska i Zagłębia, szkół zawodowych jest teraz niewiele i ciągle są traktowane jako ścieżka edukacji negatywnego wyboru. Dlatego potrzebna jest rekonstrukcja systemu kształcenia zawodowego oraz odbudowa szacunku do człowieka, który jest dobrym fachowcem.

Równie ważne jest stworzenie bezrobotnym po pięćdziesiątce warunków do powrotu na rynek pracy. Mogą tu pomóc unijne systemy indywidualnych dotacji oraz szkolenia budujące w tych osobach ducha przedsiębiorczości.

W najbliższych latach PE musi się też skupić na polityce prozdrowotnej, w tym opiece nad niepełnosprawnymi i ludźmi starszymi. Pracowałam w Komisji Zdrowia Publicznego i Ochrony Środowiska Naturalnego PE i wiem, że zdrowe społeczeństwo, to także mniejsze wydatki budżetowe. Dlatego chorobom trzeba zapobiegać i poprzez profilaktykę - wcześniej je wykrywać. Unia Europejska staje tu przed ogromnymi wyzwaniem, jak: walka z chorobami nowotworowymi, leczenie skutków nałogów, otyłości wśród dzieci i dorosłych, czy chorób spowodowanych stresem czy niehigienicznym trybem życia. Dlatego podnoszenie świadomości i wspieranie profilaktyki i działań niwelujących skutki nałogów powinno być rozszerzane i mocno przez Unię wspierane.

Proszę wskazać swój priorytet, z którym aspiruje Pani do PE?

Jestem kobietą i prawnikiem, a zatem w PE będę wspierać działania na rzecz praw człowieka, w tym - równości płci. Prawa kobiet, parytet - to w Polsce ciągle jeszcze „nowinki”, które nie zawsze przebijają się do społecznej świadomości. Pragnę też zwrócić uwagę na sytuację osób, które ciężko pracując z trudem zarabiają na życie, bo w Polsce wciąż za dużo osób egzystuje na granicy ubóstwa. A ponadto: wymuszenie sprawniejszego systemu opieki nad dziećmi (dla matek powracających do pracy) czy włączenie w rytm życia gospodarczego, społecznego i kulturalnego osób w podeszłym wieku, a także - wsparcie rehabilitacji osób starszych i niepełnosprawnych, których ciągle przybywa. To są zadania, które PE ujął w pakiecie „Europa Socjalna” i to na nich chciałabym się skoncentrować w nadchodzącej kadencji.

Adresy:

<http://grabowska.org.pl/test/>

<https://twitter.com/GGenowefa>

www.facebook.com/genowefa.grabowska.35

<https://www.facebook.com/Grabowska>.

Genowefa



Genowefa Grabowska – prawniczka, kieruje Katedrą Prawa Międzynarodowego i Europejskiego w Uniwersytecie Śląskim, autorka wielu prac naukowych, wypromowała kilkunastu doktoratów i setki magistrów prawa; wieloletni dziekan Wydziału Prawa i Administracji oraz inicjatorka budowy jego obecnej siedziby.

Senator RP, w latach 2001 do 2004 przewodnicząca senackiej komisji spraw zagranicznych i europejskich, gdzie była odpowiedzialna za wdrożenie unijnego prawa; reprezentowała Senat RP w Konwencji ds. Przyszłości Europy.

Posłanka do Parlamentu Europejskiego w latach 2004-2009, kwestor i członek Prezydium Parlamentu; pracowała w komisjach: Konstytucyjnej; Zdrowia Publicznego, Ochrony Środowiska Naturalnego i Bezpieczeństwa Żywności oraz Praw Człowieka; była sprawozdawczynią unijnych rozporządzeń i dyrektyw, w tym np. w sprawie egzekwowania alimentów na terenie Unii; podniesienia bezpieczeństwa dzieci; spożycia zdrowej żywności oraz walki z podrywanymi lekarstwami.

Dr Marek Migalski

Jaką sprawę załatwioną w PE uważa Pan za najważniejszą?

Jako jeden z nielicznych polskich euro-parlamentarzystów zajmowałem się kwestiami programu edukacyjnego dla młodzieży ERASMUS+, walcząc o zrównanie praw studentów z nowych krajów członkowskich z krajami starej UE. Na lata 2014-2020 UE przeznaczyła na niego kwotę ponad 14 mld euro. Uważam, że pieniądze przeznaczone na ten cel są jednymi z najlepiej wydanych w Unii Europejskiej, gdyż są inwestycją w młodzież. Erasmus+ pozwala młodym ludziom studiować za granicą, uczyć się, a także podejmować staże i zdobywać doświadczenie.

Przeprowadziłem niedawno ogólnopolską akcję tłumaczenia przewodnika po programie Erasmus+. Pracowało nad nim przez 2 tygodnie 69 tłumaczy – wolontariuszy, głównie studentów anglistyki. Program Erasmus+ wszedł w życie 1 stycznia 2014 r., jednak Komisja Europejska nie przygotowała na czas tłumaczenia przewodnika na wszystkie języki unijne. W związku z tym musieliśmy to zrobić sami.

Kolejna kwestia, o którą walczę nie tylko na forum Parlamentu Europejskiego, to sprawa „polskich obozów koncentracyjnych”. To niepoprawne i krzywdzące dla Polaków oraz potomków więźniów obozów sformułowanie pojawiało się nagminnie w zagranicznej prasie. Interweniowałem w tej sprawie do redaktorów pism „The New York Times” i „The Wall Street Journal”. Ponadto Grupa Pojednanie Europejskich Historii przyjęła zaproponowane przeze mnie oświadczenie, które wzywa media do określania obozów poprawną formą: „niemieckie nazistowskie obozy koncentracyjne w okupowanej Polsce”.

Jakie sprawy uważa Pan za priorytetowe w przyszłej kadencji PE?

Z pewnością jest to bezpieczeństwo energetyczne. Parlament Europejski ograniczył liczbę zezwoleń na emisję CO₂. Będzie to szczególnie dotkliwe dla Polski, gdyż nasza gospodarka jest uzależniona od paliw kopalnych. Ograniczenie liczby zezwoleń na emisję CO₂ odczuwają nie tylko przedsiębiorcy i osoby tracące pracę na skutek przenoszenia fabryk, ale każdy, kto płaci za prąd.

Innym problemem jest energetyczne uzależnienie UE od Rosji. W obecnej sytuacji geopolitycznej, zwłaszcza w kontekście

aneksji Krymu przez Rosję, fakt, iż Europa sprowadza 20% gazu z Rosji przez rurociąg przechodzący przez Ukrainę, bezpieczeństwo energetyczne Europy jest poważnie zagrożone. W związku z tym należy poszukiwać alternatywnych rozwiązań. Będę nadal walczył o to, by unijne przepisy dotyczące wydobywania gazu łupkowego nie blokowały i nie utrudniały jego poszukiwań, co byłoby niewątpliwie w interesie rosyjskiego Gazpromu. Należy zdysfiskować źródła dostaw gazu ziemnego do krajów Unii.

W kolejnej kadencji, podobnie jak w tej, będę walczył o odbiurokratyzowanie UE i uczynienie instytucji unijnych bardziej kontrolowanymi przez obywateli państw członkowskich. Unia powinna być pomocnym narzędziem w rozwijaniu wolnego rynku, a nie instytucją, która blokuje przedsiębiorczość obywateli. Będę walczył o to, by odchudzić Unię, która dzisiaj przypomina raczej spalonego olbrzyma, będę walczył o Unię, która ma być „fit” – dopasowana do potrzeb obywateli.

Priorytetową kwestią dla mnie w przyszłej kadencji PE będzie także walka o tworzenie szans dla młodych Polaków, zwłaszcza w zakresie edukacji. Bezrobocie wśród młodych ludzi wynosi ponad 26%, dlatego też tworzenie programów dla młodych ludzi, umożliwiających im ustawiczne kształcenie (long life learning), a także zdobycie doświadczenia zawodowego w Polsce i za granicą jest niewątpliwie szansą, by przeciwdziałać temu zjawisku.



Marek Migalski – politolog, wykładowca akademicki, komentator polityczny. W 1999 roku ukończył studia politologiczne na UŚ w Katowicach, a w 2001 r. obronił rozprawę doktorską. W wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2009 r. uzyskał ponad 112 tys. głosów.

Jest członkiem Delegacji do komisji współpracy parlamentarnej UE-Ro-

sja oraz pełni zastępstwo w Delegacji do spraw stosunków z Białorusią, Delegacji do Zgromadzenia Parlamentarnego Euronest i Delegacji do Wspólnego Zgromadzenia Parlamentarnego AKP-UE. Jest członkiem Komisji Kultury i Edukacji oraz pełni zastępstwo w Komisji Wolności Obywatelskich, Sprawiedliwości i Spraw Wewnętrznych.

W pracy naukowej i dydaktycznej zajmuje się zagadnieniami współczesnych systemów partyjnych. Ma na swoim koncie kilkanaście publikacji książkowych i kilkadziesiąt rozpraw naukowych.

10 czerwca 2011 roku został jednym z wiceprezesów ugrupowania Polska Jest Najważniejsza, w którego powstanie zaangażował się w listopadzie 2010 r.

Współtworzył powstanie partii Polska Razem Jarosława Gowina. Jest szefem struktur PR JG w województwie śląskim.

Dr Jan Olbrycht

Jaką sprawę załatwioną w PE uważa Pan za najważniejszą?

Parlament Europejski jest instytucją europejską, której głównym zadaniem jest tworzenie dobrego prawa. Bardzo często mamy do czynienia z różnymi stanowiskami Parlamentu, które, co prawda, są przegłosowane, ale nie są aktami prawnymi, lecz np. rezolucjami. To one są nagłaśniane przez media ze względu na swoją kontrowersyjność, gdy np. dotyczą kwestii etycznych.

Osobiście uważam, że największym osiągnięciem Parlamentu było doprowadzenie do zakończenia prac nad nowym okresem programowania, a więc przyjęcie perspektywy finansowej 2014-2020, popularnie zwanej wieloletnim budżetem UE i całego pakietu przepisów dotyczących wdrażania polityk, w tym polityki spójności i polityki rolnej.

W tych sprawach Parlament rzeczywiście wykorzystał swoje kompetencje wynikające z Traktatu i potrafił wpłynąć na stanowiska zajmowane przez poszczególne rządy.

To w dużym stopniu dzięki Parlamentowi negocjacje zakończyły się dla Polski pozytywnie.

Co uważa Pan za priorytetowe w następnej kadencji?

Relacje UE z Rosją w dużym stopniu będą rzutować na wszystkie zagadnienia, którymi będzie się zajmować zarówno Parlament, jak i inne instytucje europejskie.

To przede wszystkim będzie konieczność podjęcia decyzji co do docelowego kształtu Unii – czy ma być instytucjonalnie silniejsza, sprawniejsza i szybsza w podejmowaniu decyzji czy raczej będzie szła w kierunku systemu kooperacji niezależnych państw. To jeszcze niedawno dosyć teoretyczne pytanie nabrało dzisiaj nowego sensu i wymaga podjęcia decyzji. To, w konsekwencji, będzie wpływało na relacje strefa euro – pozostałe państwa, a więc także na wspólne polityki, w tym na politykę spójności (czyli m.in. fundusze dla Polski). Przed Parlamentem więc trudne zadanie wypracowania modelu Unii na następne lata, a równocześnie w drugiej części kadencji intensywna praca nad następnym okresem programowania.



Fot. Wiesław Przeczek

Jan Olbrycht – ur. 1952 r. w Rybniku. Doktor socjologii, nauczyciel akademicki, ekspert, polityk i działacz społeczny. 1990-1998 – burmistrz Cieszyńska, współzałożyciel Euroregionu Śląsk Cieszyński-Tesinske Szelsko.

1993-1998 – wiceprezes Związku Miast Polskich odpowiedzialny za kontakty z europejskimi organizacjami samorządowymi.

1995-2001 – wiceprzewodniczący Rady Gmin i Regionów Europy.

1998-2002 – Marszałek Województwa Śląskiego i inicjator Konwentu Marszałków.

2002-2004 – członek Zarządu Zgromadzenia Regionów Europy oraz Rady Polityki Regionalnej Państwa.

Od 1979 r. wykładowca na Uniwersytecie Śląskim, potem na Akademii Techniczno-Humanistycznej w Białym

sku-Białej, Akademii Ekonomicznej w Katowicach oraz Uniwersytecie Jagiellońskim.

Od 2004 r. poseł do Parlamentu Europejskiego z ramienia Platformy Obywatelskiej.

Jadwiga Wiśniewska

Jakimi sprawami powinien zająć się PE w najbliższej kadencji?

W pierwszej kolejności PE powinien zająć się polityką rodzinną. W Polsce rośnie problem biedy, 2 mln ludzi żyje w skrajnym ubóstwie, ponad 2 mln osób wyjechało z kraju za pracę. Dziś Polskę dotyka zapaść demograficzna – wskaźnik dzietności plasuje nasz kraj na niechlubnym 212. miejscu na 224 kraje świata. Negatywne tendencje demograficzne dotyczą także inne kraje Unii.

Rozszerzenie kompetencji UE o politykę rodzinną pokaże, że Unia jest zdolna do podejmowania wyzwań i realnej pomocy ludziom. Dlatego program zażegnania kryzysu demograficznego powinien być przedmiotem wspólnej troski i finansowania. Będę dążyć do przekazania unijnych środków na ten cel. Budżet Unii powinien służyć Europejczykom i wspierać ich rodziny, a środki z EFS-u należy w większym stopniu wykorzystać na wsparcie rodziny.

Proszę wskazać swój priorytet, z którym aspikuje Pani do PE?

Jestem eurorealistką i patrzę na Wspólnotę przez pryzmat polskich interesów. Polska musi pozostać silnym i suwerennym państwem w Europie, dlatego w PE będę zabiegała o bezpieczeństwo Polski – gospodarcze, społeczne i kulturowe.

Polska gospodarka opiera się na energii pozyskiwanej z węgla. W wyniku zaniechań negocjacyjnych mamy narzucone rygorystyczne limity emisji CO₂, trudne i kosztowne do spełnienia. Dlatego priorytetem mojej działalności będzie renowacja pakietu klimatyczno-energetycznego w kierunku ochrony interesów polskiego przemysłu. Polityka energetyczna UE musi być dostosowana do realiów każdego z państw członkowskich.

Należy też zadbać o niezależność w kwestiach światopoglądowych. Każde państwo w ramach wspólnoty musi zachować

prawo do kształtowania własnego modelu społecznego. Dziś w UE obserwujemy przeregulowanie, zanik wartości, egoizmy narodowe. Aby zachować polską tożsamość narodową, tradycję, kulturę, model życia trzeba powrócić do korzeni integracji – Unii solidarnych i suwerennych państw opartych na chrześcijańskich wartościach.



Jadwiga Wiśniewska – poseł V, VI, VII kadencji Sejmu RP. Pracuje w Komisji do Spraw Unii Europejskiej. Była wiceprzewodniczącą Komisji do Spraw Kontroli Państwowej i członkiem Komisji Edukacji, Nauki i Młodzieży. Członek Prezydium Klubu Parlamentarnego PiS. Wiceprezes Zarządu Okręgowego PiS w Częstochowie i członek Rady Politycznej PiS. Samorządowiec – była przewodniczącą samorządu mieszkańców gminy, członkiem Zarządu Stowarzyszenia na Rzecz Rozwoju Gminy, radną powiatową, przewodniczącą Komisji Oświaty i Kultury Rady Powiatu w Myszkowie.

Z wykształcenia pedagog z 20-letnim stażem, nauczyciel dyplomowany, dyrektor szkoły, ekspert MEN ds. awansu zawodowego nauczycieli. Publikowała w wydawnictwach oświatowych. Od 5 lat organizuje dla uczniów Wojewódzki Konkurs „Prawda i kłamstwo o Katyniu”.

Dr Halina Sobańska

Dlaczego jest Pani dobrym kandydatem do PE?

Sądzę, że jestem dobrze do tej roli przygotowana, zarówno od strony teoretycznej, jak i praktycznej. Doktorat z politologii i wiedza w obszarze „Instytucje i źródła prawa UE, samorząd terytorialny” pozwoliły mi dobrze poznać zasady funkcjonowania Unii Europejskiej, Parlamentu Europejskiego i Komisji Europejskiej. Na bieżąco zapoznawałam się z dokumentami, więc Unia nie ma przede mną tajemnic.

Bogata i wieloletnia działalność w trzecim sektorze organizacji pozarządowych – jestem założycielką i prezeską Stowarzyszenia Aktywne Kobiety – pozwoliła mi na praktyczne wykorzystanie możliwości, jakie daje nam przynależność do Unii Europejskiej poprzez dofinansowywanie programów społecznych, szkolenia, wolontariat europejski, uczestnictwo w międzynarodowych konferencjach, wymianę doświadczeń i obserwację, jak buduje się społeczeństwo obywatelskie w innych krajach.

Dotychczas Stowarzyszenie Aktywne Kobiety wysłało 22 osoby do różnych krajów Unii w ramach wolontariatu europejskiego, a w Sosnowcu od kilku miesięcy gościmy Montse Torné z Hiszpanii i Leilę Tevonian z Gruzji. Dziewczyny uczą się naszego języka, poznają kraj i pomagają nam w realizacji projektów, eventów itd. W ubiegłym roku na wolontariacie europejskim w naszym stowarzyszeniu były cztery wolontariuszki: dwie Gruzinki, Turczynka i Francuzka. W maju na wolontariat europejski seniorek wysyłamy dwie mieszkanki Sosnowca. Wyjadą do Rzymu na 5 tyg., gdzie będą pracować w organizacji pozarządowej. Z kolei do nas przyjadą dwie Włoszki i będą z nami działać na rzecz mieszkańców Sosnowca. To bardzo cenne doświadczenia dla obu stron, nie mówiąc o możliwości codziennego kształcenia języka angielskiego przez pracownice i współpracownice Stowarzyszenia.

Wzmoczona aktywność w obszarze seniorów wynika z faktu że Europa się starzeje. Polska jest w obszarze państw starzejących się. Dlatego konieczne jest podjęcie działań na rzecz seniorów, w tym ich aktywizacji społecznej. I o tę grupę poszerzyliśmy ostatnio działalność Stowarzyszenia. Osoby 60+ przygotowujemy i zachęcamy do działań na rzecz miasta, wyjazdów na wolontariat zagraniczny, świadczenia wspar-

cia w ramach wolontariatu krajowego, po prostu angażowania się. Jestem inicjatorką utworzenia w Sosnowcu Rady Seniorów i Seniorów.

Jakimi sprawami chciałaby Pani zająć się w Parlamencie Europejskim?

Konieczne jest wprowadzenie europejskich standardów w polskim życiu społecznym, bo – jak pokazują ostatnie badania – nadal pozostajemy na szarym końcu w przystosowaniu polskiego prawa do unijnych wytycznych. Do tej pory Polska nie ratyfikowała Konwencji Rady Europy w sprawie zapobiegania i zwalczania przemocy wobec kobiet i przemocy domowej. To musi się zmienić.

Szczególnej uwagi wymagają sprawy młodzieży – marginalizacja, zawężająca się strefa realizowania aspiracji w momencie pogłębiającego się bezrobocia, brak możliwości rozwoju to bardzo niepokojące zjawiska. Przyjęto ostatnio, dzięki eurodeputowanym z frakcji socjaldemokratycznej program „Gwarancja dla młodzieży”, którego celem jest pomoc osobom bezrobotnym w wieku do 25 lat w znalezieniu zatrudnienia, kontynuowaniu edukacji, rozpoczęciu stażu i praktyk. Wymaga on konsekwentnego wprowadzenia w życie i monitorowania efektów. Z całą pewnością włączę się we wszelkie działania PE dotyczące programu Erasmus.

Sama korzystałam z tego programu i wiem, jak doskonale efekty przynosi. Do tej pory przeznaczono 10% budżetu europejskiego na projekty edukacyjne dla młodzieży.

To jest właściwy kierunek i tego będę pilnować.

Oczywiście w kręgu moich zainteresowań będą nadal sprawy kobiet. Będę działała na rzecz przestrzegania zasady równości płci na wszystkich szczeblach i we wszystkich sektorach gospodarki. Ta sprawa dotyczy wielu krajów europejskich, nie tylko Polski. Musi się zwiększyć udział kobiet w zarządach dużych spółek, trzeba zintensyfikować działania wspierające kobiety do wejścia w życie polityczne. To ogromne zadanie.

Wszystko w funkcjonowaniu Unii Europejskiej możemy poprawić pod jednym warunkiem, że Europa będzie nadal stabilnym i spokojnym kontynentem, przestrzegającym praw człowieka. Dlatego zamierzam aktywnie angażować się w rozwiązywanie wszelkich konfliktów i napięć międzynarodowych, które mogłyby tę stabilizację naruszyć.



Halina Sobańska – doktor nauk humanistycznych, historyczka, politolożka, nauczycielka i wykładowczyni akademicka, działaczka społeczno-polityczna, radna Sosnowca, przewodnicząca Komisji Oświaty w Radzie Miejskiej. Członkini SLD, założycielka i prezeska Stowarzyszenia Aktywne Kobiety (od 2001). Organizatorka licznych akcji, marszów, happeningów na rzecz przeciwdziałania dyskryminacji kobiet w różnych obszarach życia. Wspiera networking kobiet – zainicjowała powołanie Śląskiej Przedwyborczej Koalicji Kobiety – grupy nieformalnej skupiającej kobiety z różnych opcji politycznych, zaangażowanych w politykę. Koordynatorka Śląskiego Klubu Kobiet w Polityce – przygotowująca kobiety do udziału w życiu politycznym, członkini Rady Działalności Pożytku Publicznego w Sosnowcu. Uczestniczka Światowego Marszu Kobiet w Istambule (2010). Wyróżnienia: „Diamentowa szczerbka” za działalność na rzecz docenienia nieodpłatnej pracy domowej kobiet (2008); jedna z 50 najbardziej wpływowych kobiet województwa śląskiego (2008, 2014.); laureatka Stalowego Goździka, statuetki przyznawanej przez Leszka Millera za działania na rzecz kobiet (2013). Zwycięzczyni plebiscytu TV Silesia Kobieta Sukcesu Śląska 2013. Na poziomie władzy lokalnej promuje demokrację partycypacyjną, budżet zorientowany na płeć, szerokie zaangażowanie obywateli w proces podejmowania decyzji i żeńskie końcówki dla funkcji i tytułów kobiet. Inicjatorka projektów społecznych na rzecz budowy społeczeństwa obywatelskiego, wspierania kobiet, przeciwdziałania przemocy wobec kobiet. Autorka publikacji na temat samorządu, obecności kobiet w polityce, mechanizmów wzmacniania partycypacji politycznej kobiet i portretu lidera lokalnego. Prywatnie – mama dorosłej córki, właścicielka dwóch znalezionych psów. Zdobywczyni najwyższego szczytu w Atlasie Wysokim – Dżabal Toubkal (4167m). Wielbicielka jazdy na rowerze i małych form poetyckich.

Rekordowe dofinansowanie dla Sławkowa



Fot. UM Sławków

We wtorek, 25 lutego 2014 r. w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Śląskiego w Katowicach podpisano bardzo ważną umowę na realizację przez miasto Sławków projektu pod nazwą „Rewitalizacja zabytkowego centrum miasta Sławków”. Całkowity koszt projektu to 21 160 630,56 zł, w tym 16 124 075,85 zł kwoty dofinansowania z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Śląskiego.

– Ten moment przejdzie do historii Sławkowa. Tak wysokiego – rekordowego dofinansowania unijnego i tak ważnego projektu, zarówno pod względem inwestycyjnym, ale przede wszystkim społecznym nasze miasto jeszcze nie realizowało – mówił podczas podpisywania umowy **Bronisław Goraj burmistrz Sławkowa**, który w imieniu naszego miasta umowę podpisywał razem z **Pawłem Kucem skarbnikiem miasta**.

– To bardzo duża szansa dla tego miasta, w którym miałem przyjemność być kilkakrotnie. Z punktu widzenia województwa śląskiego to również duży projekt, jeden z większych, które w ostatnich miesiącach podpisaliśmy jako Urząd Marszałkowski – mówił **Arkadiusz Chęciński członek Zarządu Województwa Śląskiego**, który również złożył swój podpis pod umową. To też moment symboliczny, kilka dni temu rozmawialiśmy o współpracy województwa małopolskiego i województwa śląskiego. Sławków jest takim miastem łączącym oba województwa i symbolem naszej dobrej współpracy – dodał.

– Podpisanie tej umowy kończy jeden etap naszej pracy nad aktualizacją dokumentacji, ale zaczyna się kolejny bardzo trudny okres realizacji rzeczowej projektu. Czasu mamy mało, ale jestem pewien, że w czerwcu 2015 r. Sławków będzie odmieniony – dodał burmistrz Goraj.

Głównym celem tego projektu jest rewitalizacja zabytkowego centrum miasta oraz podniesienie jego walorów turystycznych i rekreacyjnych. Projekt obejmuje nie tylko zadania dotyczące kompleksowego remontu sławkowskiej starówki oraz obiektów i miejsc zabytkowych związanych z wielowiekową kulturą Sławkowa. Władze miasta zadbały także o drogi, chodniki, miejsca wypoczynku oraz nowoczesną bazę sportową. Dzięki realizacji projektu „Rewitalizacja zabytkowego centrum miasta Sławków” z pewnością podniesie się jakość życia mieszkań-

ców poprzez zwiększenie dostępności do obiektów kulturalnych, które przejdą gruntowne remonty oraz sportowych i rekreacyjnych, poprzez budowę nowoczesnej infrastruktury przy Szkole Podstawowej im. Jana Baranowskiego oraz rewitalizację zespołu parkowo-zamkowego.

Zakres rzeczowy projektu, jak na warunki Sławkowa, jest imponujący. Przeprowadzone zostaną:

1) Rewitalizacja zespołu parkowo-zamkowego w pobliżu Szkoły Podstawowej im. Jana Baranowskiego, obejmująca między innymi remont parku, w tym budowę placu dla dzieci, małej architektury, nowych ścieżek i oświetlenia. Przy ruinach zamku biskupów krakowskich powstanie między innymi mini-scena oraz ścieżka biegnąca wokół ruin zamku.

2) Kompleksowe zagospodarowanie przestrzeni przy Szkole Podstawowej im. Jana Baranowskiego. Zgodnie z projektem powstanie nowy plac apelowy przed szkołą i duży kompleks sportowo – rekreacyjny z tyłu budynku, obejmujący między innymi budowę skateparku i boiska wielofunkcyjnego.

3) Przebudowa budynku przy ul. Młyńskiej 14 z przeznaczeniem na cele sportowe. W wyremontowanym budynku swoją siedzibę będą mieli między innymi piłkarze i klub Miejskiego Klubu Sportowego Sławków.

4) Kompleksowa przebudowa starówki, czyli ulic: Mały Rynek, Kościelnej i Staropocztowej. W ramach tego zadania powstaną nowe ulice z chodnikami i infrastrukturą techniczną oraz parking.

5) Rewitalizacja zabytkowego budynku przy ulicy Mały Rynek 9, który będzie służył działaniom społecznym i kulturalnym.

6) Modernizacja zabytkowego budynku przy ulicy Kościelnej 11, w którym będą realizowane między innymi zadania z zakresu opieki i pomocy społecznej.

7) Budowa systemu monitoringu miasta, który obejmie montaż 34 kamer oraz wyposażenie centrum monitoringu.

Projekt obejmuje również dwa inne zadania, a mianowicie zagospodarowanie płyty Rynku oraz przebudowę ulicy Młyńskiej, które zostały zrealizowane przez miasto w latach wcześniejszych.

UM Sławków (Artykuł sponsorowany)



Fot. UM Sławków

Izba Tradycji Komunikacji Miejskiej

Serdecznie zapraszamy do zapoznania się z ekspozycją Izby Tradycji Komunikacji Miejskiej przy Przedsiębiorstwie Komunikacji Miejskiej Sp. z o. o. w Sosnowcu.

Spółka własnymi i pracowników siłami zgromadziła eksponaty będące świadectwem przeszłości - umundurowanie, dokumenty, bilety, wyposażenie pomieszczeń warsztatowych, elementy konstrukcyjne autobusów, a wreszcie same zabytkowe pojazdy – Jelcz 043 RTO „ogórek”, Ikarus 260.04, Jelcz M11, pojazd pogotowia technicznego na podwoziu Ikarusa.

Mamy nadzieję na rozrośnięcie się tej kolekcji w przyszłości o kolejne eksponaty.



**ZAPRASZAMY DO ZWIEDZANIA! W czwartki w godzinach od 10:00 do 14:00,
po uprzednim umówieniu pod numerem 602 151 779.
Będzin ul. Promyka 30**



Ona i on

W szumie powstałym wokół filmu *Her* i w natłoku pozytywnych recenzji skupiających się na scenariuszu mało kto zwraca uwagę, że twórca zdjęć jest Hoyte Van Hoytema, bez którego film ten byłby zaledwie prostą historią bez polotu. W istocie, fabuła jest nieskomplikowana – człowiek zakochuje się w systemie operacyjnym. Mogłoby wydawać się to trywialne i banalne, ale właśnie przez estetykę oraz stylistykę obrazu zmienia się recepcja filmu.

Hoyte Van Hoytema twórca obrazów takich dzieł jak *Pozwól mi wejść* (Nagroda przyznana na Kodak Nordic Vision podczas Międzynarodowego Festiwalu Göteborg Film oraz Złoty Żuk przyznany przez Szwedzki Instytut Filmowy), *Dziewczynka* (nagroda Złotego Żuka), *Fighter*, *Szpieg* oraz *Call Girl* (Złoty Żuk po raz trzeci), ma styl, który wyróżnia go spośród innych – klimat jego obrazów jest perfekcyjnie dopasowany do tematyki poru-



szanej w filmie. Każdy jego film różni się pozostałych, ale mimo to można wychwycić pewne cechy charakterystyczne, takie jak precyzyjne kadry, praca ze światłem i kontrastem czy używanie szeroko otwartej przysłony. Te zastosowania mają swoje miejsce w filmie Spike'a Jonze'go – *Her*. Warto dodać, że Hoytema był studentem Łódzkiej Szkoły Filmowej, jednak z powodu pracy w Holandii z rezygnował ze szkoły po trzech latach nauki.

Intymne, refleksyjne, ciepłe – takie są obrazy w *Her*. Przyciągają, magnetyzują i skłaniają do zastanowienia. Jedną z inspiracji dla twórców były obrazy japońskiej fotograf Rinko Kawauchi, której zdjęcia są wykonane w wysokim kluczu oświetlenia, mają niską głębię ostrości oraz cechuje je pewna ulotność, zwiewność oraz próba „łapanie chwili”. Kawauchi stroni od wykorzystania niebieskiego odcienia, co miało znaczący wpływ na dzieło Jonze'go – barwa ta została całkowicie wyeliminowana z filmu. Pozwoliło to na stworzenie ciekawej aranżacji świata przyszłości, który zazwyczaj jest pokazywany w brawach zimnych, kojarzących się z czymś nieprzyjemnym, obcym, nieznanym. W kulturze kolor ten utożsamiany jest zazwyczaj z pierwiastkiem męskim, a kolory jasne, żółte są łączone z pierwiastkiem kobiecym. Idealnie odzwierciedla to ostatnie dzieło Hoytema, gdzie ciepłe barwy, które są podkreślone czerwonymi elementami dekoracji (kolor życia, kobiecej siły), sprawiają, że obraz nasycy się kobiecą lekkością i delikatnością stroniąc od męskiej siły i dominacji. Ciepłe barwy sprawiają, że historia w filmie jest odczytywana przez odbiorców jako bardziej prawdopodobna, wyłamując się przy-



tym z estetyki filmów s-f, do których jest już przyzwyczajona.

Nie tylko barwa ma wpływ na wygląd obrazu. Także użyte kamery i soczewki. Dzięki użyciu cyfrowej kamery Arri Alexa możliwe było kręcenie długich, nawet 20 minutowych ujęć bez przerwy. Umożliwiło to aktorom całkowite skupienie się, zyskując przy tym na autentyczności i intymności chwili. Ten rodzaj kamery ma również wpływ zarówno na kolor, jak i tekstury, czyniąc je bardziej miękkimi i wygładzonymi, co komponowało znakomicie się z całością obrazu. Wysoka czułość kamery pozwoliła na kręcenie w niedoświetlonych wnętrzach, przy zaledwie kilku lampkach ledowych. Jest to widocznie w scenie, kiedy przez okno jest pokazany nocny widok miasta. Wykorzystana została także soczewka z kamery Ingmara Bergmana z lat siedemdziesiątych. Między innymi użyta była w scenach kiedy Theodore – główny bohater, wspina się na wzgórze – światło rozprasa się w soczewce, tworząc słoneczne refleksy. Użyte są również szybkie kamery Zeiss, oraz soczewki bez osłony, pozwalające na uchwycenie rozbłysków oraz jasnych plam światła.

Wykorzystane środki, a także gra aktorska, kostiumy, dekoracja wnętrz sprawiają, że prosta historia nabiera zupełnie nowej jakości, staje się subiektywną wizją świata, z którą wrażliwi na otoczenie widzowie bez problemu się utożsamiają. Film bowiem gra z widzem zarówno na poziomie wizualnym, jak i emocjonalnym. Opowiada o każdym z osobna (wielu widzów zarzeka się, że film jest wyłącznie o nich), a także o ludzkości jako całości, kładąc główny nacisk na problem samotności człowieka, który szeroko poruszany był w kinie niemieckim lat 70... Ale to temat na inną okazję.

Miła Skomra



Rymy są*

Jeśli ktoś po książce zatytułowanej *Folklor polski* spodziewałby się atlasu ludowości polskiej, spisu wiejskich tradycji, pieśni, obrządków, jeśli spodziewałby się katalogu zabytków kultury ludowej, wykazu miejsc, gdzie można zjeść upieczony w sabatniku chleb, wysłuchać gry czy śpiewu ludowego twórcy – będzie zawiedziony. Najnowszy tomik poezji Jerzego Suchanka pt. *Folklor polski* prowokuje czytelników, oszukując ich dotychczasowe przyzwyczajenia. Skromna objętościowo książeczka zawiera zaledwie osiem – w większości wcześniej publikowanych w prasie – utworów, okraszonych rozbudżającymi wyobraźnię ilustracjami artysty malarza Marka Przybyły i ciekawym posłowiem poety Macieja Meleckiego, nad którym warto się zatrzymać, bo daje punkt oparcia dla poważnego spojrzenia na utwory Suchanka.

Rymowanie i swego rodzaju śpiewność wierszy, ale także klasyczne gatunki literackie, takie jak sonet, pieśń czy ballada zostały już dawno zdewaluowane przez – jak to określa Melecki – *amatorski, niedzielny urodek domorostłych poetów*. Jerzy Suchanek świadomie podejmuje ryzyko odnowienia formy i języka poetyckiego po latach hegemonii wiersza wolnego, ogłoszonego z rygorystycznych „zmór” teorii literatury... Do tej odważnej decyzji autor *Folkloru polskiego* dojrzał w kolejnych tomach: w *Pusto* (2007) eksperymentował poprzez konkret i minimalizm, w *Bębnach* (2007) rozlewną frazę budował dźwięki dudniącej Soły, obrazzy dzieciństwa i miłosne historie, w *Widzimi się* (2008) wystawiał na próbę czytelniczą cierpliwość mantrą powtórzeń, w *Ku* (2009) pytał: *Już wiesz, dlaczego długość / a nie krótkość, szerokość, a nie wąskość, / głębokość, a nie płytkość?* (wiersz *Pomiar*). Dla Suchanka pierwsze człony pytania stają się wyznacznikami wartości wiersza, by powiedzieć coś ważnego, trzeba mówić długo, gęsto i wieloznacznie.

W tytułowym i zarazem inicjującym tomie poemacie poeta tworzy niepozabawioną dosadności rozmowę ze zmarłym dziadkiem, w której rozliczana jest przeszłość (m. in. polityczna: *Oddaliśmy wam sny, a z was gównem wybuchło!* albo *gównem owijali w wolności obrusy*), pojawiają się także znane już z wcześniejszych książek topoty. Podmiot wiersza wciela się we współczesnego Konrada, któremu dziadek radzi: *O kobietach i pajęczynach nie pisz wiele / i nie gadaj wcale, także księdzu w kościele*. Interlokutorzy podnoszą problem poezji, co jak młoda kobieta nie stała i wiotka mami, by zgubić (*Weźmie du-*



sze, w zamian da duszności). *Folklor polski* staje się więc bardziej satyrą, Gombrowiczowskim zmaganiem z polskością, z romantycznymi mitami (Mickiewicz, Krasiński i Norwid) niż chwałą rodzimego kolorytu.

Układ tomu kieruje interpretacją kolejnych poematów. Po ironicznych wypowiedziach na temat poezji i stosunku do własnego kraju wymowny staje się utwór *Śmieszne zajęcia dla mężczyzn*. Zakochany starzec, budząc się ze snu kamienia, roił nadzieje i plany, a im dalej sięgał chmur, z tym większym hukiem spadał. Bohater Suchanka jeszcze raz planując zwykłe życie (mycie garnków, ostrzenie noży) rani się, kaleczy, doznaje zawodu – *Nie ma pociągów przy peronach. / Nie ma ciebie w moich ramionach*. Na pozór banalne te słowa, jak banalna niejedna historia miłości młodej i starego, nie każdy poeta spotka swoją Marię Bunin, która osłodzi ostatnie chwile, jak Marusia Kasprowiczowi. Dla Suchanka *czy co ważne, czy nie, słowa to banał*, aby pozbyć się tego poczucia banalności, trywialności – trzeba odrzucić się o niego, przejść po krawędzi słów oczywistych, wydobyć z nich mięsz dźwięku i dopiero uzyskać nową jakość.

W trzecim poemacie *Pająk wkuwa się w szyję*, tak jak gryzie mól zakryty z pieśni Jana Kochanowskiego (*Ale kogo gryzie mól zakryty, / Nie idzie mu w smak obiad obfity; / Żadna go pieśń, żaden głos nie ruszy, / Wszystko idzie na wiatr mimo uszy*). Grzesznik równa się z Bogiem – *Boże, ty też byłeś jedynakiem* albo – *I kładłś mnie na swoim brzuchu. / Jak Maria Jego wśród pastuchów*. Błuznierstwo z powodu utraconej miłości, w rozpacz musi być wybaczone, bo *Wiesz, jak poeci umierają? / Długo. Powoli ssie*

ich pająk. Pająk – zgryzota, niemoc i samotność – „wysysają” poetę, który swój ból topi w rakii: *Miał pisać list do ciebie, piję! Dzisiaj nie wino, dziś rakiję*. Alkohol używany w obrzędach zaślubin, zamiast być toastem po pająku, którego poeta zabija dopiero, gdy nastanie Chanuka. Zastanawiająca jest ta wielokulturowość, przywołanie obrządków z różnych tradycji religijnych, jakby Bóg był zlepkiem wyobrażeń, idei, jakby wiara rozmywała się w licznych Jego wyobrażeniach, ale przecież *polski folklor* zawsze wiązał się z obecnością różnych religii i obyczajów. W kolejnych poematach przez gąszcz dystychów przedzierają się obrazki z przeszłości, wojna, Auschwitz, kwestia żydowska z 1968 roku, ale i „polskie miesiące”: czerwiec 1956, grudzień 1970, czerwiec 1976, sierpień 1980, grudzień 1981. *Folklor polski* dopełniają migawki z życia rodzinnego, wujowie, ciotki, babcia, dziadek – dom, kraina młodości.

Nieco sentymentalne sformułowania mieszają się w poezji autora *Bębnów* z językiem współczesnym, ze zwrotami młodzieżowymi. Porusza to wielosłowie, rozdźwięk między tym, co wzniosłe, patetyczne a pospolite czy wręcz ordynarne. Na tym Suchanek buduje swoją strategię odnowy języka poetyckiego, by grzeszne i święte wyznaczało horyzont wiersza, by oczywiste i niedopowiedziane kłóciły się o pierwszeństwo. Kolejne dystychy spiętrzają przeciwieństwa, które pozwalają jednym się zachwycić, innych drażnić, tak jak – przywołując tytuł jednego z poematów – *Pępki dziewcząt na mrozie* jednych podniecają, innych bulwersują. To naturalne, gdy podejmuje się ryzykowne próby przełamania sztampy.

Edyta Antoniuk-Kiedos

*Tytuł recenzji nawiązuje do wiersza *Głosy* Zbigniewa Joachimiaka, który w mniej lub bardziej zawołany sposób obecny jest w najnowszej książce Jerzego Suchanka. *Głosy* i ich polifonia mają podobną wagę u obu poetów – reprezentantów jednego pokolenia. Jest to szczególnie istotne, gdy śledząc kolejne tomiki odnajdziemy tropy gdańskiego poety. W tomie *Pusto* Suchanek zamieszcza wiersz *Pusto i głosy* z dedykacją Zbyszkowi Joachimiakowi, pamiętając o jego wierszu *Głosy*; w *Bębnach* odnajdziemy cytat z tego wiersza w utworze *Noce*, a w *Folklorze polskim* w poemacie *Pająk wkuwa się w szyję* czytamy: *Głosy są, mówi Joachimiak*. Ta swoista gra nie może ująć uwadze czytelnika.

Jerzy Suchanek: *Folklor polski*. Instytut Mikołowski. Mikołów 2011.



Marta Palarz, ur. 11. grudnia 1973 r. w Sosnowcu. Absolwentka III LO im. Bolesława Prusa w Sosnowcu, Instytutu Politologii Wyższej Szkoły Pedagogicznej TWP w Warszawie i Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego. Pracowała w „Dzienniku Zachodnim” oraz w Gabinetie Rektora Uniwersytetu Śląskiego. Współpracowała z byłą senator dr Marią Łopatkową broniąc praw dzieci oraz z aktorką, poetką i tłumaczką Martą Klubowicz promując spektakle z jej udziałem. Interesuje się literaturą, muzyką i psychologią. Kocha teatr, wędrowki po górach, podróże bliskie i dalekie. Finalistka IV Ogólnopolskiego i Polonijnego Turnieju Poetyckiego o *Srebrne pióro* – Mielec 2008, zdobywczyni I nagrody w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim *Refleksy – Spadkobiercy Herberta* – Szczecin 2008 oraz laureatka głównej nagrody „*Srebrnego pióra*” – Mielec 2009. Publikowała w tomach pokonkursowych, dwumiesięczniku kulturalnym „Pogranicza”, w „Sosnarcie” i w „Dzienniku Zachodnim”. Autorka bajek dla dzieci drukowanych w „Mopsie”. Mieszka w Sosnowcu, w dzielnicy Pogoń.

Pasterz

zostawił niewinną owieczkę
bez dzwonka u szyi
sama musiała odnaleźć stado

przyglądała się mu z daleka
smutnymi oczami

nawet czarna owca była wewnątrz stada
nawet zły wilk podchodził bliżej

(2008)

Żona Lota

żona Lota
nosi moje imię
jestem nią
choć nigdy nie byłam żoną
ani nie opuściłam mojego miasta
wciąż w nim tkwię
otoczona murem obronnym
zastygłam
zanim się odwróciłam

(2008)

Paroles, paroles

wchodziły słowa do morza
ginęły słowa w morzu
ciężkie spadały na dno

wychodziły słowa z gór
wracały słowa do gór
frunęły i łapał je Bóg

nad morzem modlitwa ma charakter błagalny
wysoko w górach dziękczynny

(2008)

Nie kochaj mnie tak bardzo

„Kogo Bóg kocha, tego doświadcza”

nie kochaj mnie tak bardzo
na co dzień kochaj mnie trochę mniej
od święta miej do mnie stosunek obojętny
raz w życiu proszę byś mnie znienawidził

(2009)

Znaki życia

po dwukropku
wszystko się zaczyna
oddzielanie przecinkami
wyliczanie od myślników
wykrzykiwanie
wykropkowywanie
wyrzucanie poza nawias

po kolejnej pauzie
przychodzi czas
na znaki zapytania

potem Ktoś
postawi kropkę

(2009)

Schowana w muszli

(Beacie Matczak)

schowana w muszli
toczę życie
ślimacze

czas się ślimaczy
za mną wszystko
zaślimaczone

nie próbuj wyciągać
ślimaka bo
uślimaczysz palce

ślimak ślimak
pokaż rogi

dziękuję
nie lubię sera

(2011)

Anioł nieStróż

(Mojemu Aniołowi Stróżowi)

mój słodki anioł
chciał poczuć się lekko
pomyślał o odpuszczeniu

pomylił akt skruchy
z ludową imprezą

widziałam go potem miał
skrzydła z cukrowej waty
i aureolę z lukru
i nie mógł pofrunąć

Marta Palarz

Z rodzeństwem plastyków Aleksandrą i Piotrem Pietrzak, wystawiających swoje prace w Galerii Ładniej, rozmawia Aleksandra Zemła-Kotarba



A.Z.-K.: Od czego się zaczęła Wasza przygoda ze sztuką?

Piotr: Jesteśmy rodzeństwem, od zawsze jesteśmy związani z plastyką, od dzieciństwa, później nauka w liceum plastycznym w Dąbrowie Górniczej na kierunku grafiki warsztatowej „u Stacha”. Po liceum Ola wybrała ASP w Krakowie, wydział grafiki, gdzie zrobiła licencjat, a studia magisterskie skończyła w 2013 roku na ASP w Gdańsku wydział MINOS – animacje kultury.

Aleksandra: Piotr zaczął naukę na ASP w Krakowie na wydziale malarstwa, skąd po roku przeniósł się na ASP do Warszawy – wydział malarstwa. W tym samym czasie zdawał na dzienną grafikę, gdzie dostał się i był jedynym chyba w Polsce studentem studiującym na dwóch kierunkach dziennych na ASP. Następnie po roku studiów na wydziale malarstwa przeniósł się na wydział sztuki mediów i scenografii na specjalizację animacja, gdzie obronił tytuł licencjata dyplomem w formie filmu animacyjnego pt. „Aleaiactaest”. Obecnie jestem studentem 4 roku na wydziale grafiki.

A.Z.-K.: Dlaczego wybraliście plakat jako formę swojej sztuki?

Aleksandra i Piotr: Równie dobrze mogliśmy wystawić ma-

larstwo, rzeźbę czy grafikę.

Piotr: Generalnie chodzi o przekaz, jestem u prof. Majewskiego w pracowni, gdzie jest bardzo duże oddziaływanie tego artysty na studentów, był on przecież uczniem prof. Tomaszewskiego.

Aleksandra: Interesują mnie znaki, generalnie plakat to znaki, plakat to przekaz, który ma się rozpychać w mieście.

A.Z.-K.: Jaki więc przekaz mają Wasze prace?

Aleksandra i Piotr: Przekaz społeczny np. „Kryzys mija”, „Poland open”.

Ogólnie mamy pozytywny przekaz. Dzisiaj ludzie mają krytyczne nastawienie do świata, do sztuki, którą też uprawiają. My bawimy się sztuką.

A.Z.-K.: Gdzie planujecie następną wystawę?

Piotr: W Galerii Plakatu Polskiego BUF w Warszawie, później w Paryżu – stacja metra, prace z pracowni prof. Majewskiego grafiki edytorskiej, książka, ilustracja.





A.Z.-K.: Olu, na wystawie w Galerii "Ładniej" można zobaczyć projekty, które nazywasz „ekranami”, co to jest?

Aleksandra: Łączę cyfrowość i dłoń czyli warsztat, plastykę, wirtualność z rzeczywistością i wtedy po-

wstają takie właśnie projekty. Lubię bawić się kompozycją. Połączenie wydruku cyfrowego, gdzie jednym „narzędziem”, jednym kliknięciem powoduje się duże zmiany, z pracą dłoni, warsztatem, plastyką, gdzie trzeba się naprawdę napracować. Chcę pokazać połączenie tych dwóch rzeczy.



A.Z.-K.: Piotrze, ostatnim Twoim osiągnięciem było zwycięstwo w konkursie AMS „Jacy jesteśmy Polacy 1989-2014” w Warszawie?

Piotr: Tak, to ostatnie moje najważniejsze osiągnięcie. Nic nie wiedziałem, nikt mnie nie uprzedził, że mam jakieś szanse. Zaproponowano mi na wystawę i ogłoszenie wyników i okazało się, że zdobyłem 1 miejsce. Jak do tej pory brałem udział w różnych konkursach, ale ten uważam za najważniejszy „POLAND OPEN”.

A.Z.-K.: Dziękuję serdecznie za rozmowę i życzę wielu sukcesów.

Aleksandra i Piotr: Również dziękujemy.

Czy w polskiej gospodarce jest już wiosna?

Europejscy ekonomiści uważają, że kondycja partnerów handlowych naszego kraju powoli się poprawia. PKB Unii Europejskiej ma wzrosnąć w tym roku o 1,2%. Najszybciej według prognoz mają się rozwijać małe kraje: Łotwa, Estonia, Rumunia i Litwa. Wśród liderów wzrostu wymienia się również Wielką Brytanię i Polskę. Przewiduje się, iż nasz PKB będzie rósł w tempie 2,5%, a niektórzy ekonomiści twierdzą, iż pod koniec roku możemy odnotować nawet wzrost gospodarczy 2,8%. Dla Polski najważniejsze jest tempo wzrostu naszych największych partnerów gospodarczych. Niemiecki PKB ma wzrosnąć o 1,9%, Wielkiej Brytanii o 2,6%. To bardzo ważne dla naszej gospodarki, bowiem są to odpowiednio – pierwszy i drugi największy partner handlowy Polski. Wzrost gospodarczy oznacza ożywienie popytu wewnętrznego w tych krajach, co powoduje m.in. wzrost zapotrzebowania na import z Polski, co bardzo cieszy naszych eksporterów. Trzecim partnerem są Czesi, gdzie również spodziewany jest wzrost gospodarczy, a kolejnymi Francja i Rosja. We Francji niestety przewiduje się stagnację, a co do Rosji chyba nikt dzisiaj nie jest w stanie budować prognoz. Najprawdopodobniej sytuacja polityczna może wywołać poważną recesję gospodarczą.

Polscy eksporterzy mogą więc liczyć na Niemcy, Wielką Brytanię i Czechy. W 1989 roku, kiedy rozpoczynała się transformacja, nasz eksport na światowe rynki wynosił 9 mld dolarów plus 5 mld dolarów do krajów socjalistycznych czyli łącznie 14 mld. Dla porównania, w 2013 roku eksport wyniósł 203 mld dolarów, co dało nam 26 miejsce wśród największych eksporterów świata. Od wejścia do UE osiągamy rosnącą nadwyżkę w handlu z krajami wysokorozwiniętymi. Zmienia się również struktura eksportu. W 1989 roku eksportowaliśmy surowce (węgiel) i półprodukty, a obecnie produkty przemysłu motoryzacyjnego. I to jest pozytywne, tylko że większość polskiego eksportu odbywa się pod marką globalnych korporacji. Jak twierdzi profesor Witold M. Orłowski, jeżeli polski sukces eksportowy ma mieć stały charakter, to musimy przestać być tylko podwykonawcą globalnych koncernów i bezpośrednio docierać z naszymi towarami do najszybciej rozwijających się rynków świata.

Jakich innych symptomów wiosny możemy poszukać w naszej gospodarce. Może inwestycje? „Rzeczpospolita” sporządziła ranking inwestycji z ostatnich 25 lat. Na liście rankingowej

znajdują się tylko dwie inwestycje sfinansowane przez polskiego prywatnego właściciela. W zestawieniu tym najwięcej jest inwestycji infrastrukturalnych, w energetykę i motoryzację. Są one finansowane z publicznych albo europejskich środków. Wprawdzie profesor Jan Winiecki uważa, że jesteśmy już kapitalistyczną gospodarką rynkową i zmniejszyliśmy dystans do rozwiniętych krajów UE, ale jak twierdzą znawcy gospodarki rynkowej, to prywatny kapitał decyduje o wzroście i efektywności gospodarki. Budowa dróg i modernizacja kolei jeszcze przez wiele lat będzie ważnym zadaniem w naszej gospodarce. Na obecnym etapie rozwoju gospodarki świata i Europy najważniejsza jest innowacyjność i nowoczesność. Najszybciej rozwijającym się sektorem gospodarki są dzisiaj nowoczesne usługi dla biznesu i to ten sektor daje nowe miejsca pracy. Tym bardziej, że zagraniczne firmy, chcąc obniżyć koszty, przenoszą oddziały do krajów z niższymi kosztami pracy, a u nas chociaż przedsiębiorcy wiedzą swoje i uważają, że są wysokie, to w porównaniu z innymi lokalizacjami są jednak niskie. Świadczy o tym fakt, iż liczba miejsc pracy w centrach usług w Polsce z zagranicznym kapitałem wynosi 120 tysięcy i ciągle rośnie.

Czy same centra usług, rozkwitające jak kwiaty na wiosnę, sprostają wyzwaniu walki z bezrobociem i zatrzymają emigrację zarobkową Polaków? Myślę, że nie, ale od czegoś trzeba zacząć i sądzę, że rosnący eksport, kapitał zagraniczny inwestujący w nowoczesne usługi, wzrost inwestycji nawet za publiczne i europejskie pieniądze, to takie jaskółki, które wpłyną na wiosnę, a ta na dłużej zagości w naszej gospodarce.

Przecież nie po to zbudowaliśmy gospodarkę rynkową, by dwa miliony Polaków opuściło nasz kraj, a ośmiu na dziesięciu myślało o wyjeździe z kraju w poszukiwaniu pracy. Fala emigracji zaczęła się zaraz po wejściu Polski do Unii Europejskiej, potem trochę opadła, a obecnie mamy nową falę. GUS informuje, że pod koniec 2013 roku za granicą mieszkało 2,1 miliona Polaków. Najgorzej, że większość przebywających za granicą zaczyna się tam osiedlać na stałe. Polacy wyjeżdżają nie tylko za pieniędzmi, ale za stabilizacją i wyższą kulturą pracy.

Profesor Krystyna Iglicka-Okólska, demograf i ekonomista, twierdzi, iż emigracja to strata siły roboczej, wykształconej kadry i PKB. I wypada się zgodzić z Panią Profesor. To również strata publicznych pieniędzy wydanych na studia tych, którzy już do Polski nie wrócą. Wprawdzie mamy Wspólną Europę i każdy ma prawo pracować w kraju, który mu odpowiada do życia i pracy, ale, ponieważ zbliżam się do emerytury, to jednak chciałabym, aby pracował w Pol-



sce. By w naszym kraju znalazł dobrze płatną, satysfakcjonującą, pozwalającą się rozwijać pracę w firmie czy instytucji z wysoką kulturą pracy.

Czego wszystkim poszukującym pracy w Polsce serdecznie życzę.

P.S. Stopa bezrobocia według GUS spadła do 13,9% na koniec lutego 2014, w porównaniu z 14,4% w lutym 2013 r. Wiem, jedna jaskółka wiosny nie czyni... ale może?

Jadwiga Gierczycka

Stadion nie dla każdego

Coraz trudniej wejść na stadion, aby obejrzeć mecz piłkarski. Nie dlatego, że tylu jest chętnych do jego obejrzenia i nie można kupić biletu, lecz z powodu zapisów w ustawie o bezpieczeństwie na obiektach sportowych. W skrócie sprowadzają się one do tego, że nie tak łatwo kupić wejściówkę. Nie wystarczy ileś tam złotych, trzeba mieć jeszcze kartę kibica, a często sprawdzany jest i dowód osobisty. Wszystko po to, żeby można było po ewentualnych rozróżkach na trybunach szybko zidentyfikować winowajców. Problem w tym, że kibice doskonale radzą sobie z tymi obostrzeniami i gdy tylko przyjdzie im ochota, to: rzucają petardami, rozwieszają transparenty z „nieprawomysłnymi” hasłami, wykrzykują obraźliwe hasła, a nawet atakują fanów przeciwnej drużyny. I wcale nie są to rzadkie przypadki, o czym donoszą sprawozdania z ligowych spotkań w niemal każdej kolejce. Przy czym do niedawna dotyczyło to ekstraklasy i I ligi.

Bez karty ani rusz!

Od tego roku karta obowiązuje również w II lidze i dlatego na przykład kibice Zagłębia Sosnowiec musieli: raz – wyśpułać 10 złotych na kartę kibica, dwa – stanąć w długiej kolejce, żeby ją wyrobić. I nie da się ukryć, że musiało to wpłynąć na frekwencję na Ludowym, co na pewno nie ucieszyło ludzi z Zagłębia, liczących każdy grosz, również z wpływów ze sprzedaży biletów. A na pewno było sporo osób, które albo zapomniały, że trzeba mieć specjalny glejt, by bilet kupić, albo zwyczajnie uznały, że nie będą dodatkowo płaciły 10 złotych, choć to tylko jednorazowa opłata. I dlatego wiosenne mecze Zagłębia przy Kresowej ogląda niewiele ponad tysiąc osób, mimo że sosnowieccy piłkarze mają realne szanse na awans do I ligi. Jednak pisałem te słowa jeszcze przed meczem z Bytovią, więc być może coś się zmieniło...

Rekord nie do pobicia

Tak jest teraz. Warto jednak przypomnieć sobie, jak było kiedyś. Czy wiecie, Drodzy Czytelnicy, ile wynosi rekord frekwencji na Stadionie Ludowym? 40 tysięcy! Było to 21 października 1956 roku, kiedy otwierano ten jeden z nowocześniejszych stadionów w Polsce. Na inaugurację rozegrano spotkanie ekstraklasy pomiędzy sosnowiczanie, występującymi wówczas jeszcze pod nazwą Stal, a Gwardią Bydgoszcz, które zakończyło się remisem 1:1. Podobno było trochę gwizdów – jakże musiały być głośne w wykonaniu takiej rzeszy ludzi – gdyż spodziewano się efektownego zwycięstwa, było nie było, aktualnego wicemistrza Polski.

I przez długie lata na Ludowym mecze oglądały dziesiątki tysięcy kibiców, a takie spotkania jak z Górnikiem Zabrze, Ruchem Chorzów, Polonią Bytom czy Legią Warszawa ściągały ponad 30 tysięcy ludzi. Aby kupić bilet i zająć dobre miejsce, aczkolwiek na zwykłych drewnianych ławach, trzeba było stanąć przed kasą nawet dwie godziny przed pierwszym gwizdkiem. Co niektórzy wybierali bardziej ekstremalny sposób wejścia, skacząc przez wysoki płot. Prezes Zagłębia, Marcin Jaroszewski, jako młody człowiek nie pamiętający tych czasów, byłby przeszczeniwy mając tylu ludzi na trybunach. Prze-

cież z samej sprzedaży biletów miałby budżet pozwalający na... No, na pewno na znacznie więcej niż dziś.

Czy możliwe jest, żeby na Ludowy znów chodziły takie tłumy? Niemożliwe z podstawowego powodu, że miejsc (zresztą w postaci wygodnych plastikowych siedzisk) na nim jest obecnie bodajże około 6 tysięcy. Być może niemożliwe i z tego powodu, że stadiony stały się miejscem... nie dla każdego. Bo – o czym była mowa na początku – człowiek z ulicy na mecz nie wejdzie, jeżeli nie kupi karty kibica; nie podda się procedurze identyfikacji na wejściu i tak dalej...

Pożegnanie „Prezesa”

Trudno więc marzyć o 40 tysiącach kibiców na Ludowym. A nawet, jak stare trybuny zostaną zburzone i powstałby nowy obiekt – o czym mówi się od lat – to też projekty, które dotąd przedstawiano, przewidują pojemność góra na 20 tysięcy miejsc. Piłkarskie gwiazdy sprzed lat, byli zawodnicy Zagłębia, przychodząc dziś na mecze swojego klubu nie mogą uwierzyć, że ludzie nie chcą oglądać meczów. I wspominają dawne lata, kiedy to ryk z trybun Ludowego – słyszany niemal w całym

Czesław Uznański urodził się 7 grudnia 1930 roku w Sosnowcu.

Piłkarskie treningi zaczął w Czarnych Sosnowiec, skąd trafił do Stali Sosnowiec. Podczas służby wojskowej występował w OWKS Wawel Kraków.

Z Zagłębiem Sosnowiec dwa razy został wicemistrzem kraju (1955, 1963/64) oraz dwukrotnie zdobył Puchar Polski (1961/62, 1962/63). W Wawelu Kraków również zdobył wicemistrzostwo kraju (1953). W ekstraklasie Czesław Uznański wystąpił w ponad dwustu meczach w barwach Wawelu (1952-1953, 29 meczów i dziewięć goli) oraz Zagłębia Sosnowiec (1955-1964/65, 189 meczów i 42 bramki). W reprezentacji Polski rozegrał trzy spotkania w 1956 roku. 15 lipca z Węgrami 4:1 w Budapeszcie, 22 lipca z NRD 0:2 w Chorzowie (otwarcie Stadionu Śląskiego) i 28 października z Norwegią 5:3 w Warszawie.

Po zakończeniu kariery był trenerem. Przy nim zaczynał w Zagłębiu jeden z najlepszych sosnowieckich napastników, Andrzej Jarosik.



Sosnowcu – nie raz, nie dwa niósł ich do zwycięstw.

Wspominał to i Czesław Uznański, którego – niestety – nie ma już wśród nas. Słynny „Prezes” zmarł w marcu tego roku, mając 83 lata.

I warto poświęcić jego osobie kilka zdań, bo był to wielki Piłkarz i Człowiek. Z nim zresztą związana jest pamięć o rekordowej frekwencji na Stadionie Ludowym. Te 40 tysięcy widzów wiwatowało bowiem po strzeleniu przez niego bramki w remisowym meczu z Gwardią Bydgoszcz. „To było niesamowite wrażenie – mówił Pan Czesław, sięgając pamięcią do dnia 21 października 1956 roku. – Wcześniej graliśmy na kameralnym stadionie przy Alei Mireckiego (obecny obiekt Czarnych – AW). Tam dopingowało nas i ponad 10 tysięcy ludzi, których oddech niemal się czuło, bo stali i siedzieli z metr od linii bocznej. Jednak gdy pierwszy raz wbiegliśmy na boisko Ludowego i zobaczyliśmy to morze głów, to dosłownie nogi nam zadrżały. Gdy strzeliłem bramkę i usłyszałem ryk radości, to jakbym pod niebo wleciał... A jacy byliśmy wściekli, gdy jednak nam się nie udało wygrać dla tych kibiców!”

Rok wcześniej Czesław Uznański był strzelcem innego ważnego gola. W listopadzie 1955 roku Stal Sosnowiec na Mireckiego podejmowała CWKS Warszawa. Ten mecz decydował o mistrzostwie Polski i chciało go podobno obejrzeć 100 tysięcy ludzi, bo tylu ponoć chciało kupić bilety. I nikt nie wie, ilu naprawdę go obejrzało, niektórzy twierdzą, że nawet 20 tysięcy, co trudno sobie dziś wyobrazić. Trudno też sobie wyobrazić radość tych ludzi, gdy już w pierwszej minucie „Prezes” strzelił gola, który oznaczał mistrzostwo Polski dla Stali. Radość trwała jednak niecały kwadrans, bo Lucjan Brychczy wyrównał. A remis, jakim ten mecz się skończył, oznaczał, że mistrzem zostali warszawianie...

Andrzej Wasik

Pan i pani – czyli o empatii

Pani weszła do apartamentu w stanie najwyższego wzburzenia. Była tak zdenerwowana, że trzasnęła drzwiami, zamiast je elegancko zamknąć i zapomniała o przekręceniu zamka. Zawsze o to dbała z najwyższą starannością, bo przecież mógłby wejść ktoś nieproszony, a nawet złodziej. Co więcej, nie spojrzała w lustro, które zajmowało całą ścianę drzwi do garderoby, by sprawdzić czy w drodze z galerii jakiś niesfor ny wietrzyk nie zwichrzył jej nienagannie uczesanej koafiury, lub, nie daj Panie Boże, makijaż się aby nie rozmył. Och, cóżby to była za tragedia! Kiedyś wracając, zauważyła, że szminka zabarwiła jej perłowobiałą trójkę na czerwono i wyglądało to, jakby wgryzła się w świeże mięso. Plakała ponad godzinę, przerażona, że mógł to ktoś dostrzec.

– Co się stało, najmilsza? – pan wstrzymując oddech spytał pełen przerażenia.

Pani spojrzała na niego z najwyższą pogardą, ominęła go niczym zapowietrzonego, rzuciła torbkę na komodę z mahoni, w której przepastnych szufladach ukrywały się jakieś niezwykle tajemnice, których pan nawet nie próbował zgłębiać. Rachunki, decyzje, poświadczenia, jakieś monity. Nad wszystkim pieczę sprawowała pani, on nie miał do tego wglądu, a jedynym śladem w podświadomości były powtarzające się utyskiwania pani na kłopoty związane z wywiązywaniem się z płatności, spowodowane na ogół zbyt niskimi poborami pana. Starał się czasem odszczekiwać, że robi, co może i zarabia, ile może, ale brzmiało to raczej jak skomlenie, a nie brysie ujadanie.

Pani wyciągnęła smukłą, wypiełgnowaną dłoń po kawę, którą podał w milczeniu pełnym oczekiwania i rzekła:

– Zostałam napadnięta!

Pan zsiniał ze złości i przejęcia – jakże to, jak to to? A gdzie to to? A kto to to?

– Nie gdać – pani spojrzała na pana z wyrzutem, jakby on we własnej swojej najniewinniejszej osobie był sprawcą zamachu na jej majestat.

Pan zamilkł tak głęboko, że głos zapadł się w niego na wiele, wiele mil, w przepaść jeststwa zawstydzonego swoją niemocą, która nie była w gotowości do obronienia pani wówczas, gdy czas był po temu.

– Wracam otóż z galerii – westchnęła raczej, niż przemówiła pani – gdzie udałam się byłam w celu dokonania zakupu niezbędnych produktów do życia powszedniego, gdy nagle wyłonił się inwalida. Brakowało mu czegoś, ręki lub nogi, nie dostrzegłam, bo nie przywiązuję uwagi do szczegółów. I otóż – pani powtórzyła partykułę w tak bliskim sąsiedztwie, że pan aż zdrżał z obawy o zdrowie psychiczne pani, która w najwyższym stopniu dbała o poprawność stylistyczną konstruowanych pieczołowicie zdań.

I otóż – po raz trzeci zabrzmiało, jak dzwonił na alarm – wcale nie poprosił o pomoc, lecz, wyobraź sobie – zażądał. Krzyknął na mnie, że jestem kłamcą i zgola podlecem, bowiem jemu jest ciężko, a ja chodzę na zakupy. On jest inwalidą pierwszej grupy i dostaje zaledwie marny zasiłek, a ja mam czelność kupować to, na co mnie stać. Powinam więc, obowiązkowo i bezdyskusyjnie, oddać swoje dochody jemu, bo jest w ciężkiej sytuacji. Poczulałam się doprawdy zdruzgotana tym, że mam męża, który zarabia, niewielkie, co prawda, lecz przecież jakieś tam



pieniądze i oddaje mi je, bym swoją zdrową od kontuzji, urazów i dolegliwości (pomijając dolegliwości comiesięczne i inne) dość inteligentną głową, tak kalkulowała, żeby wystarczało od pierwszego do pierwszego. Poczulałam się podłe, że nie potrzebuję wydawać pieniędzy na doktorów, lekarstwa, rehabilitantów, pampersy, okłady, maści, spirytusy. Że jestem zdrowa i jeszcze młoda. Że mam męża, który mnie nie zostawił i dzieci, które usamodzielnili się i nie wymagają specjalnej troski.

Z tego wszystkiego nie odważyłam się wręczyć potrzebującemu kilku złotych, bo pewnie by się obraził, lecz uciekłam co sił w nogach do ciebie.

I spojrzała na pana z bezgranicznym obrzydzeniem, bo przecież on był winien temu, że nie była upośledzona, jak inni.

Zbigniew Adamczyk

Kapitał społeczny

Wiele się mówi współcześnie o potrzebie budowy kapitału społecznego. Zdolność do wykorzystywania szans rozwoju tkwi właśnie w kapitale społecznym. Warto postawić na wstępie kilka podstawowych pytań. Co to jest kapitał społeczny? Jakie są różnice pomiędzy kapitałem ludzkim a kapitałem społecznym? Czy mierzony jest tylko aktywnością obywatelską i współdziałaniem? W jaki sposób wypełnia przestrzeń społeczną? Jaki ma związek z sieciami powiązań i zależnościami, a jaki ze zbiorem norm i wartości takimi jak uczciwość, zasada odwzajemniania, zaufanie?

Ludzie umieją nawiązywać ze sobą różnorodne relacje i budować na tej ba-

zie współdziałanie. Oczywiście jest, że społeczeństwo, które umie się zorganizować, może osiągnąć więcej. We współpracy mieszkańcy starożytnego Egiptu byli w stanie wybudować piramidy. Także współcześni ludzie zdolni do działań zespołowych są bardziej kreatywni, wydajniej pracują, razem mogą osiągnąć więcej. Według socjologów: „Kapitał społeczny swoje źródło ma w interakcjach, dzięki którym powiązania i sieci są oparte na zdrowych fundamentach współdziałania. Jest spoiwem zarówno przedsiębiorstwa w nowej ekonomii, jak i społeczeństwa obywatelskiego. Często łączony ze zorientowaniem zbioru zdolności i umiejętności, które umożliwia-

ją współpracę między ludźmi w ramach grup i organizacji na osiągnięcie wspólnego dobra i zrealizowania wspólnych celów. W procesie tym osobista kompetencja do tworzenia grupy i bycia częścią grupy oraz działania wewnątrz niej stanowią znaczną część kapitału społecznego”.

Życie to pasmo przeróżnych wpływów, którym ulegamy i które sami wywieramy. Wpływy bywają niejednokrotnie niszczące, często byle jakie, ale są także jasne, znaczące, wzbogacające życie, dające iskrę dobrym decyzjom, postawom. Bywają kontakty międzyludzkie, o których lepiej od razu zapomnieć. Są też spotkania trwające zaledwie chwilę, a pozostawiające piękn-

ne, ważne, wyraźne ślady. Decydujący, pozytywny wpływ na innych, na otoczenie mają liderzy.

Kim jest lider? Można nim być dla innych w rodzinie, w działalności zawodowej, w życiu społecznym. Na szczególną uwagę zasługują wpływy liderów NGO, których wspaniała postawa stała się już znakiem rozwoju i jakości społeczeństwa obywatelskiego. Bycie liderem to niekoniecznie piastowanie formalnych funkcji, stanowisk, ale niewątpliwie zdolność zjednywania sobie przyjaciół, pociągania za sobą zwolenników, tworzenia prężnych zespołów, kreowanie pozytywnej zmiany.

Z drugiej strony znajdują się tzw. „przewodcy tytularni” osiągający wpływy dzięki nominacjom, mający szczególne trudności w pracy z ludźmi o wysokich kwalifikacjach znających swoją wartość, nie podających się żadnym formom dyktatury, w szczególności ze społecznikami, na których symbole nie robią wrażenia, gdyż jak nikt inny wiedzą, co to autentyczna pra-

ca i wartość. Podobnie jest z młodzieżą, która z natury skłonna jest do odrzucania sztucznych autorytetów, będących wytworem propagandy, sztabów public relations.

Działania w organizacjach non profit dają możliwości dzielenia się sobą, dawania. Oczywiście także możliwości rozwoju. Organizacje pozarządowe (NGO) skupiają ludzi pełnych entuzjazmu, determinacji, optymizmu, odwagi, wiary. Przyciągają ludzi szlachetnych, odpowiedzialnych, zaangażowanych, o dużej wrażliwości społecznej, często dyskredytowanych pośród konformizmu, zakłamania i tam, gdzie przedkłada się cele partykularne ponad interesy zawodowe i społeczne. NGO przyciągają oczywiście także młodych, którzy chcą tworzyć, mieć wpływy, brać życie w swoje ręce oraz dotykać autorytetów, by kiedyś też nimi być.

Wyzwaniem dla liderów NGO, poza obszarami pracy wzbogacającej środowisko, jest pomaganie innym w ich osobistym rozwoju, długofalowym wzroście.

Potrafia oni przyjmować słuszne założenia na temat ludzi, patrzeć ich oczyma, znajdować ich nadzieje i marzenia, doceniać, motywować, dawać szacunek i uznanie, edyfikować, tworzyć solidne normy i więzi. Potrafia też uwalniać potencjał członków zwycięskiego zespołu, kształtować kolejnych liderów, duplikować, uruchamiać kapitał społeczny.

Chińskie przysłowie mówi: „Jeśli planujesz na rok, uprawiaj ryż. Jeśli planujesz na dwadzieścia lat, posadź drzewa. Jeśli planujesz na stulecia, kształtuj ludzi”. Myślę, że możemy tu iść jeszcze dalej. Pięknie żyć, kochać ludzi i im nie przewodzić to przewilej wolności, różnorodności, świata. Ale czy można przewodzić, kształtować ludzi – ich nie kochając?

Halina Rybak-Gredka

Założyciel i prezes OPP – Stowarzyszenia Dzieciom Będzina (obecnie Stowarzyszenie „Dobre ręce”)



A PRAWO, PRAWO MIAŁO ZNACZYĆ?

Zastanawiam się, czy nie zmienić tytułu moich felietonów a zarazem i tematyki w nich poruszanej. Refleksja mnie naszała wraz z docierającymi do mnie głosami czytelników identyfikujących się z treściami dotychczasowych felietonów publikowanych na łamach „Nowego Zagłębia”. A przecież ja nie zajmuję się nauczaniem Państwa litery prawa. Nie przytaczam kodeksów, numerów ustaw, paragrafów czy Dzienników Ustaw. Tym się zajmuje ktoś inny. Ja przyjmuję, że te wszystkie dokumenty są uchwalone i publikowane wyłącznie dla naszego dobra, aby nam się żyło spokojniej, wygodniej, dostatnio i sprawiedliwie. A jak jest? Tym właśnie się zajmuję i opisuję w swoich felietonach. Ja piszę o życiu, idiotyzmach i wszystkich złych zjawiskach, z którymi spotykamy się w naszym codziennym życiu. Piszę o tym,

co „fundują” nam ludzie władzy różnego szczebla i życie, a nie co mówi na ten temat litera prawa publikowana w jakimś paragrafie. Opisuję codzienne życie ludzi i sytuacje, z jakimi się spotykają na co dzień i co należałoby zmienić w tym ich życiu, lub po prostu przypominam, by przestrzegać obowiązujących przepisów.

Moje felietony mają więcej do czynienia z codziennym życiem i napotkanymi w tym naszym życiu problemami niż z publikacją litery prawa, która prawdopodobnie w opisywanych przypadkach przestrzegana nie jest. Może się mylę, może jest inaczej, ale wiem, że są ludzie, którzy mój punkt widzenia opisywanych problemów akceptują i identyfikują się z publikowanymi w felietonach sprawami.

Czy zauważyliście, Drodzy Państwo, jak znowu nas uszczęśliwiono przez odbiór przesyłek sądowych? Jakież to nowoczesne rozwiązanie? Firma „InPost” wygrała przetarg na doręczanie przesyłek sądowych ogłoszony przez Ministerstwo Sprawiedliwości. Jak podają media – wygrali przetarg, bo byli tańsi od Poczty Polskiej. Czyli od przedsiębiorstwa, które technicznie jest przygotowane do świadczenia usług doręczania korespondencji, posiada odpowiednią bazę techniczną i infrastrukturę. Ale przetarg wygrała

inna firma. I CO? I NIC!!

Mieliśmy pełną dostępność do odbioru naszej korespondencji z przestrzeganiem ustawy o ochronie danych osobowych, ale wybrano nam innego świadczeniodawcę, oczywiście w trosce o nasze lepsze codzienne życie i lepszą organizacyjnie usługę. A jak to wygląda w życiu? Mam budynek Poczty Polskiej koło domu, to teraz odbierając korespondencję z sądu idę na drugi koniec dzielnicy do kiosku „RUCHU”!!! Tam pani, która jest pracownikiem „RUCHU”, wydaje korespondencję w obecności denerwujących się osób stojących w ciasnej kolejce po: zapalki, mydło, pastę do zębów czy podpaski higieniczne, legitymując mnie w obecności osób postronnych z Dowodu Osobistego, głośno pytając o imię i nazwisko. Wszyscy stojący w kolejce dowiadują się do kogo przyszło pismo z sądu i wyciągają wnioski o danej osobie na zasadzie „nie wiadomo, czy on ukradł rower, czy jemu ukradli rower, ale coś tam było i należy na niego uważać”. Pomijam już fakt, że otrzymuję podwójne awiza na odebraną wcześniej korespondencję i muszę chodzić po jej odbiór, a takiej przesyłki nie ma. Tracę czas, energię i jeszcze podpadam u sąsiadów w dzielnicy, bo nie jestem w stanie wszystkim wytłumaczyć, że jestem prawnikiem i korespondencję z sądu mu-

szę odbierać ze względu na sprawy, którymi się zajmuję.

Czy myślicie Państwo, że ktoś to zmieni i powróci do normalności? Słyszałem o przypadku, że człowiek, aby odebrać korespondencję z sądu, musiał szukać sklepu spożywczego – wyznaczonego do jej odbioru w miejscowości oddalonej od jego miejsca zamieszkania o 7 km. I CO? I NIC!!!

Takich przypadków jest więcej, ale co ma zrobić przeciętny obywatel na taką dawkę szczęśliwości, jaką mu zafundowało Ministerstwo Sprawiedliwości? Czy ktoś sprawdził przed rozstrzygnięciem tego przetargu możliwości techniczno-organizacyjne firmy, która wygrała ten przetarg? Myślę, że nie było takiego zapisu w regulaminie przetargu, a osoby zasiadające w Kom-

sji Konkursowej nie mieli zapisanej logiki w rozumach, bo stało się kolejne coś, co do logicznego porządku nie należy.

Czasami zastanawiam się, komu zależy na umęczeniu narodu. O co chodzi? Wszyscy chcą dobrze – tak mówią w mediach, a wychodzi jak zwykle. I CO? I NIC!!!

Michał Kręcisza

Replika na felieton Michała Kręcisz: A PRAWO, PRAWO MIAŁO ZNACZYĆ? (Nowe Zagłębienie nr 6 listopad-grudzień 2013)

Podczas lektury kolejnego numeru „Nowego Zagłębienia”, wydania szczególnego, bo nawiązującego zarówno do rocznicy pięćciolecia istnienia tego ważnego dla Regionu czasopisma społeczno-kulturalnego, jak i do jubileuszu 20 lat Związku Zagłębiewskiego, wydającego owo czasopismo, natknąłem się oto na felieton: A PRAWO, PRAWO MIAŁO ZNACZYĆ?, autorstwa Michała Kręcisz. Felieton ów przeczytałem z uwagą i z nadzieją, bo już sam tytuł, nawiązujący do niebanalnej literatury i rodzaj użytej w nim czcionki wskazywały na to, że tym razem na celowniku Michała Kręcisz znalazło się Prawo. A przecież to zagadnienie nie byle jakie, z którym są związane liczne problemy, w tym – definicyjne, konstrukcyjne, kodyfikacyjne, kwestie stosowania prawa czy jego nauczania. W rzeczywistości uwaga Autora skoncentrowała się na ocenie in genere sędziów. Chwała Autorowi za to, że dostrzegł i poruszył problematykę sędziego, jako przedstawiciela władzy sądowniczej, od wieków wymierzającego sprawiedliwość. W istocie zawód sędziego jest najstarszym zawodem prawniczym, o niebagatelnej historii, ale i trudnych do przecenienia zasługach dla społeczeństwa. Za to jednak, w jaki sposób problematykę tę przedstawił P.T. Czytelnikom, nie mogę Michałowi Kręciszowi szczędzić słów krytyki. Bo jakże można nie replikować Autorowi, który wprowadza oczywiście w błąd P.T. Czytelników, bez względu na jego pobudki.

Nie chodzi przy tym o lapsusy, które Autor popełnił, a które mogą przydarzyć się każdemu piszącemu i pojawić się w każdej formie pisarskiej, tym bardziej w tekście nieprofesjonalnym. Należałoby w tym

miejsu jedynie zwrócić Autorowi uwagę na to, że nie można pisać jakoby istniały wyroki „uniewinniające... pozwanych”, tak jak i nie „można się odwołać w toku instancyjnej drogi sądowej od decyzji”, z tej choćby tylko przyczyny, że w sensie prawnym decyzje wydaje organ administracji, natomiast działalność orzecznicza sądów, będąca właśnie przedmiotem uwagi Michała Kręcisz, polega na wydawaniu wyroków, postanowień, czy zarządzeń. Sądy decydują jedynie w funkcjonalnym znaczeniu tego określenia, a nie prawnym, natomiast decyzje, jako takie mogą wydawać jedynie organy sądu w trybie administracyjnym, w żadnym zaś razie nie w trybie procesowym. Z kolei stwierdzenie Autora jakoby sędziowie byli ludźmi, którzy dla osób świeckich zastępują wyrocznię a dla wierzących, „Pana Boga” jest sofizmatem, pozbawionym głębszego sensu. Nie wdając się w rozważania aksjologiczne, wypada przypomnieć Autorowi jedynie to, że wyrocznia nie jest, nawet potocznie, najwyższym autorytetem moralnym dla niewierzących i historycznie rzecz ujmując – ma ona wyraźnie religijne konotacje. Z kolei dla osób wierzących, „Pana Boga” nie może zastępować na ziemi w żadnym razie sędzia, a jeśli już, to – zgodnie z dogmatami wiary – tylko papież. Autor nie ustrzegł się również błędów logicznych, usiłując przykładowo porównywać immunitet dyplomatyczny z nieusuwalnością sędziego z urzędu, a nie z immunitetem sędziowskim, chociaż są to odmienne konstrukcje prawne. To jeszcze można Autorowi darować. Pojawiają się jednak w tekście felietonu Michała Kręcisz stwierdzenia i sformułowania, których pominąć, a tym bardziej wybaczyć nie sposób. W pewnym sensie mogą one wynikać z niezrozumienia, czy też z błędnego pojmowania roli sędziego w demokratycznym państwie prawa i w wymiarze sprawiedliwości, których jest jednym z filarów. Dostrzegalny jest jednak wyraźnie

brak merytorycznej argumentacji stawianych sędziom zarzutów zastąpiony w felietonie krzykliwie stawianym aż czterokrotnie pytaniem: I CO?, na które niezwłocznie Autor udziela sam sobie trafnej odpowiedzi: I NIC!!! Bo należy wszak zastanowić się, jak miałyby wyglądać sądownictwo polskie według Michała Kręcisz.

Przed wszystkim przysłowiową solą w oku jest dla Autora niezawisłość sędziowska, czyli w uprawniony sposób należy przyjąć, że w świetle Jego poglądów sądy powinny być zawisłe. Co więcej, na ostrzu krytyki Felietonisty znalazła się również zasada nieusuwalności sędziego z urzędu, a proponowana reforma istniejącego stanu rzeczy polegać by miała na poddawaniu sędziów okresowym badaniom psychiatrycznym i kadencyjności sprawowania urzędu przez sędziego. Jaki zatem obraz przyszłego sądownictwa wyłania się z treści postulowanych w felietonie zmian? Oto więc sędzia przestanie być bezkarny, utraci bowiem nabytą przez tę grupę zawodową w procesie historycznej ewolucji niezawisłość i niezależność, jego status zostanie zrównany z innymi grupami zawodowymi, zatrudniany będzie okresowo, jako urzędnik sądowy (obojętnie jakiej dziedziny)... Nawet Autorowi tak sformułowanych postulatów nie życzyłbym żyć w państwie, które wprowadziłoby choćby zbliżony ustrój sądów. Nie chciałbym czynić w tym miejscu żadnych analogii, ale nie sposób zapomnieć o niechlubnych zasługach pewnych dwudziestowiecznych systemów polityczno-ustrojowych, które realizowały niektóre tylko postulaty reformy sądownictwa pióra Michała Kręcisz. I ośmielam się pogratulować Autorowi, że nie przyszło mu żyć i uczestniczyć w charakterze strony, oskarżonego etc. w toczących się w owych czasach postępowaniach sądowych!

A zatem Szanowny Autorze, krytykując pryncypia ustrojowe, ukształtowaną przynajmniej od czasów rzymskich organiza-

cję fundamentalnego dla społeczeństwa sądownictwa, należy to czynić w poczuciu odpowiedzialności za słowo i dysponując głęboką wiedzą profesjonalną. Wówczas tylko uniknie się igrania z ustrojem państwa praworządnego, stanowiącego dorobek współczesnej cywilizacji, jak również błędów merytorycznych, od których gęsto w felietonie. Dowiadujemy się z niego np. to, że sędziowie są ponad wszystkim, a to nieprawda. *Expressis verbis* sędziowie w Polsce i innych państwach demokratycznych podlegają konstytucji i ustawom. A to jest zależność bardzo silna. W praktyce oznacza ona ten skutek, że orzekający sędzia kieruje się przepisami prawa materialnego i procesowego oraz własną wiedzą, doświadczeniem życiowym i przekonaniem wewnętrznym, a wszelkie dowody ocenia swobodnie, nie podlegając żadnej władzy zewnętrznej. Chybiona jest zatem ocena przez Autora zachowania sędziego w przytoczonym w felietonie kazusie, bo w świetle obowiązującego prawa była ona profesjonalna. Rzeczywiście w tym przypadku Michał Kręciszczyk pozostawał w błędzie, gdyż sędzia w procesie sądowym może nie dać wiary ujawnionym dowodom, nawet gdy są to dokumenty wydane przez urzędy, o ile nie jest to sprzeczne z ustawą. W tym m.in. przejawia się uprawnienie sędziego do etatyzowania stosunków społecznych, w sytuacji istnienia np. luki w prawie, kolizji przepisów itp. Można zrozumieć rozgoryczenie Autora, który niezadowolony z wyroku i jego uzasadnienia przez sędziego, a – jak sam stwierdza – miał okazję zapoznania się z nimi, sięgnął po pióro, by dać upust negatywnym emocjom. W procesie są jednak zawsze dwie strony i adwersarz Autora, zapytany o ocenę pracy sędziego w tym konkretnie procesie, miałby zapewne odmienne zdanie. Tak to wygląda z bliska, Szanowny Autorze! Partykularyzmy w tym przypadku wzięły górę i wylały przy okazji swe żale na wszystkich sędziów, rozpędzonym ostrzem krytyki tnąc niezawisłość i niezależność sędziowską, którą utożsamiasz li tylko z bezkarnością. Zastanówmy się jednak, czy słusznie. Atrybut niezawisłości jest nieodzowny do prawidłowego realizowania przez sędziego wymiaru sprawiedliwości, w sposób wolny od nacisków administracyjnych. Jego brak skutkowałby labilnością orzecznictwem i atropią władzy sądowniczej, dlatego też chroni go system gwarancji, do których moż-

na rzeczywiście zaliczyć niezależność, ale także nieusuwalność i immunitet formalno-materiałny. Czy to jednak oznacza bezkarności sędziego? Otóż nie – Szanowny Autorze! W obowiązującym stanie prawnym, za wykroczenia, za przewinienia dyscyplinarne, w tym za oczywistą i rażącą obrażę przepisów prawa i uchybienie godności sprawowanego urzędu, sędzia odpowiada dyscyplinarnie. Z kolei jedną z przewidzianych przez ustawodawcę kar dyscyplinarnych jest złożenie sędziego z urzędu. Za zgodą właściwego sądu dyscyplinarnego sędziemu może zostać uchylony immunitet w konkretnej sprawie, może sędzia być pociągnięty do odpowiedzialności i pozbawiony wolności, a w przypadku przewidzianym w ustawie zatrzymany i aresztowany. Gdzie wobec tego bezkarności sędziów, o której mowa w felietonie? I CO? I NIC?

A co w takim razie z nieusuwalnością sędziego? To także jest zasada doznaną szeregu wyjątków. Poza innymi rygorami kwalifikacyjnymi, sędzią zostać może osoba nieskazitelnego charakteru, która jest zdolna, ze względu na stan zdrowia, do pełnienia obowiązków sędziego. Zawarty w felietonie postulat okresowych badań sędziów stanowi zatem sposób wyważenia otwartych drzwi, a porównywanie sędziego z funkcjonariuszami policji, służb bezpieczeństwa czy strażnikami więziennymi, którzy mogą stosować wobec obywateli środki przymusu bezpośredniego, należy uznać za chybione. Z kolei wiedza sędziego i umiejętność kojarzenia, czy logicznego myślenia jest wystarczająco weryfikowana w toku wieloletnich studiów prawniczych, aplikacji i egzaminu oraz praktyki zawodowej poprzedzającej objęcie urzędu. Kandydata spełniającego kryteria kwalifikacyjne powołuje na urząd sędziego – a nie mianuje, jak to wynika z felietonu – Prezydent RP, co umacnia niezawisłość sędziowską, która byłaby iluzją w przypadku zatrudniania sędziego na podstawie umowy, postulowanej przez Autora felietonu. Z kim zawierałby zresztą sędzia taką umowę? Czy z Prezydentem RP? A jeśli nie – to oczywiście następowałaby deprecjacja urzędu i jego podporządkowanie organom władzy wykonawczej. W toku sprawowania urzędu złożenie sędziego z urzędu, zawieszenie go w pełnieniu obowiązków, przeniesienie do innej siedziby lub na inne stanowisko wbrew jego woli, jest

też możliwe w przypadkach określonych w ustawie i z mocy orzeczenia sądu. Sędzia, który na skutek choroby lub utraty sił został uznany przez lekarza orzecznika ZUS za trwale niezdolnego do pełnienia obowiązków albo z powodu choroby lub urlopu dla poratowania zdrowia nie pełnił obowiązków przez okres roku, może zostać przeniesiony w stan spoczynku. Sędzia przechodzi także w stan spoczynku po osiągnięciu ustawowo określonego wieku. Wówczas jednak – wbrew sugestiom Autora – sędzia nie pełni urzędu, ale posiada status sędziego w stanie spoczynku.

Zatem, czy rzeczywiście, tak jak widzi to Michał Kręciszczyk, bezkarnemu, raz mianowanemu sędziemu, dozgonnie nie można odebrać stanowiska sędziego? Czy prawdziwe jest również stwierdzenie Autora, że sędziowie są to jedyni, którzy mają rację, przypisując im arbitralność i brak kontroli rozstrzygnięć? A przecież istnieje kontrola prawidłowości pracy sędziów w trybie nadzoru ze strony prezesa sądu (np. w trybie rozporządzenia Ministra Sprawiedliwości z dnia 20 grudnia 2012 r. – w sprawie oceny pracy i opracowania indywidualnego planu rozwoju zawodowego sędziego – Dz. U. z 2012 r., poz. 1455), jak również merytoryczna kontrola orzeczeń w toku badania instancyjnego, którą Autor wprawdzie dostrzega, ale której rolę próbuje zminimalizować, stawiając retoryczne pytanie: kogo na to stać. Pomija przy tym zupełnie takie przyjęte i stosowane powszechnie rozwiązania, jak obrońca z urzędu, czy instytucja zwolnienia od kosztów sądowych osoby, która wykaże, że nie może ich ponieść.

Wreszcie Autor felietonu usiłuje pograć sędziów, zadając im cios najsilniejszy.

– To nie tak – pisze. – Ci ludzie kryją się za instytucjami, w których pracują. Boją się ujawnić społeczeństwu... Czego się wstydzą? Błędów popełnionych w trakcie prowadzonych procesów – odpowiada na tak postawioną kwestię Autor i jako przeciwwagę oraz pozytywny przykład przytacza swój felieton, który podpisał imieniem i nazwiskiem a przecież mógł jedynie użyć inicjałów bądź nawet sygnować: „Redakcja”.

Nie, Szanowny Autorze! Zarówno Twoja wizja obowiązującego w omawianym zakresie reżimu prawa, jak i propozycja jego naprawy są całkowicie chybione. Zarzuty te byłyby zasadne, ale tylko w aspekcie

historycznym, bo odnoszą się one np. do zasad dawno minionego procesu inkwizycyjnego. Byłes łaskaw pominąć tę fundamentalną zasadę nowożytnego procesu, jaką zagwarantowano w art. 6 ust. 1 Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności, a powtórzoną w art. 45 ust. 1 Konstytucji RP, że postępowanie przed sądem jest jawne. Zasada ta została potwierdzona nie tylko w ustawie zasadniczej, ale też w licznych ustawach polskich, jak choćby art. 355 i n. Kpk, w art. 9, 152 i 153 Kpc, czy też art. 42 ust. 2 Prawa o ustroju sądów powszechnych (tj. Dz. U. z 2013 r., poz. 427, z późno zm.), stanowiących, że sądy rozpoznają i rozstrzygają spory w postępowaniu jawnym. Obowiązująca w polskim systemie prawa procesowego zasada jawności przejawia się tak w jawności wewnętrznej postępowania w stosunku do jego stron i uczestników, jak w jawności zewnętrznej, oznaczającej jawność rozpoznawanych spraw dla publiczności (np. Uchwała SN, sygn. akt I KZP 26/1 1). Gdzież więc w tych warunkach procesowych może ukryć się sędzia? Jawność stanowi gwarancję kontroli społecznej i osób zainteresowanych Wynikiem postępowania nad prawidłowym przebiegiem postępowania sądowego oraz rzetelnością, bezstronnością czy sprawiedliwym rozstrzygnięciem sędziego w sprawie.

Realizację jawności zapewniają wokandy sądowe, pełniące funkcje informacyjną dla stron, uczestników etc. i dla publiczności. Wokandy zostały szczegółowo określone w zarządzeniu Ministra Sprawiedliwości z 12 grudnia 2003 r. w sprawie organizacji i zakresu działania sekretariatów sądowych oraz innych działów administracji sądowej (Dz. Urz. MS Nr 5, poz. 22, z późn. zm.). Zgodnie z przepisem par. 24 ust. 2 powołanego zarządzenia, jeden egzemplarz wokandy wywiesza się przed salą, w której odbywa się wyznaczone posiedzenie, natomiast zawartość wokandy określona została w par. 23 tego zarządzenia. Wokanda zawiera m.in. imiona i nazwiska sędziów i ławników orzekających w konkretnych sprawach. Autor przyznaje sam, że miał okazję zapoznać się z uzasadnieniem pewnego wyroku, a zatem zapewne i z samym wyrokiem. Jeśli tak, to nie jest mu obca wiedza na temat budowy wyroków wydawanych przez polskie sądy. Wyroki te składają się natomiast z sentencji i uzasadnienia, przy czym w senten-

cji odróżnia się część stałą, czyli rubrum (komparycję) oraz część zmienną wyroku (tenor). A w rubrum wyroku, poza sygnaturą akt, datą i miejscem wydania wyroku, oznaczeniem sądu oraz wydziału i innymi prawem określonymi informacjami, obligatoryjnie wymienieni są imiennie: protokolant oraz członkowie składu orzekającego – czyli głównie SĘDZIOWIE. Poza tym notyfikacja wyroku następuje po jego podpisaniu przez wszystkich sędziów składu orzekającego i w odróżnieniu od przytoczonego felietonu Michała Kręcisz, który mógłby zostać opublikowany nawet bez podpisu Autora, wyrok bez podpisu sędziego nie może istnieć w obrocie prawnym. Podobnie zresztą nietrafiony jest zarzut anonimowości działania komorników sądowych. Wbrew twierdzeniom Felietonisty, od wielu już lat wymieniony organ egzekucyjny używa tytułu: Komornik Sądowy przy Sądzie Rejonowym w XY Jan Kowalski, określając się imieniem. I CO – z tą anonimowością ukrywających się przed społeczeństwem sędziów, komorników? I NIC!!!

Chociaż niezupełnie NIC, bo założenie o anonimowości polskich sędziów posłużyło Autorowi do uzasadnienia kolejnego pomysłu nowatorskiej reformy sądownictwa. Tym razem wypowiedział On wojnę wydawaniu wyroków w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej. Tak jest zresztą w istocie, a w nagłówku rubrum, oprócz godła zamieszczana jest inwokacja: W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej. Stanowi to werbalne potwierdzenie działania sędziego w imieniu społeczeństwa, które legitymowało go do sprawowania urzędu. I ten stan rzeczy chce zmienić Michał Kręcisz postulując, że sędzia o statusie urzędnika sądowego powinien występować w imieniu własnym, a nie kryć się za nazwą instytucji. Co za tym idzie rozpoznawanie i rozstrzyganie spraw nie odbywałoby się w imieniu RP czy chociaż Państwa, Społeczeństwa, czy też Narodu jak miało to np. miejsce w okresie II wojny i nie czyniłby tego sprawujący urząd Sędzia Sądu etc., ale orzekałby Jan Kowalski, Józef Nowak albo piszący te słowa bądź Autor felietonu. Nie! Tego komentować nie będę i pozostawiam osądowi P.T. Czytelników. Przypomnę jednak Autorowi, że konstrukcja prywatnego sędziego – arbitra występowała już w okresie archaicznego prawa i wraz z rozwojem państwowości natural-

nie była zastępowana powierzaniem funkcji wymierzania sprawiedliwości sędziemu zawodowemu. Jest to więc propozycja powrotu do pierwotnych konstrukcji prawnoustrojowych, bez refleksji nad współczesnymi tego konsekwencjami.

Erudycja historyczna Autora bierze zresztą wyraźnie górę nad współczesnymi realiami wymiaru sprawiedliwości, płatając przy tym figle. Z niedowierzaniem czytałem oto cięte zarzuty wymierzone przeciwko panoszącym się w polskich sądach asesorum. W świetle zaproponowanej przez Michała Kręcisz definicji asesora to sędzia, który nie został mianowany przez Prezydenta RP, ale posiada uprawnienia do prowadzenia określonych postępowań sądowych. Ciekawe!... A to z tej przyczyny, że instytucja asesora sądowego została w Polsce zniesiona przed kilku laty. Model asesury sądowej przestał istnieć w wyniku wydania przez Trybunał Konstytucyjny wyroku z 27 października 2007 r. W sprawie sygn. akt SK 7/06 (sentencja ogłoszona została 5 listopada 2007 L) uznającego niezgodność działalności asesorów z art. 45 ust. Konstytucji RP i znoszący faktycznie tę instytucję z upływem 18 miesięcy od ogłoszenia tego wyroku. I CO? I NIC!!!

A szkoda, bo i temat podjętych przez Autora rozważań jest ciekawy i niesie ze sobą długi szereg problemów o fundamentalnym znaczeniu tak dla ochrony praw i wolności jednostki, jak i gwarancji dobra powszechnego współcześnie oraz kształtowania pieczy nad nim w przyszłości. Wymagają one podjęcia dyskusji, badań czy analiz na wielu płaszczyznach, w wielu kontekstach i aspektach, w ujęciu i teoretycznym, i praktycznym. Nie można jednak kierować się przy tym głównie emocjami, uogólnieniami przypadków jednostkowych lub własnych negatywnych przeżyć i doświadczeń, jak czyni to Autor. Nie można też dowodzić swych arbitralnie stawianych tez zwulgaryzowanymi argumentami, zmierzając od wniosków do przesłanek, jak to też czyni Autor. Rozważań nad prawem i zawodami prawniczymi nie można sprowadzać ad absurdum, a zwłaszcza bezkarnie uwłaczać godności urzędu sędziego i negować podstawy funkcjonowania demokratycznego państwa ... I CO? I NIC? I ja pozostawię to do oceny i własnych przemyśleń P.T. Czytelnikom oraz Autorowi felietonu.

Andrzej Huras

W 75. rocznicę urodzin Stanisława Krawczyka – Poety Śląska i Zagłębia

Podczas konferencji naukowej (7 lutego, Centrum Kulturalno-Edukacyjne w Czerwionce-Leszczynach) związanej z 75. rocznicą urodzin poety Stanisława Krawczyka swoje wystąpienia zaprezentowali literaturoznawcy z Uniwersytetu Śląskiego: dr Magdalena Boczkowska, prof. dr hab. Elżbieta Dutka, prof. dr hab. Zbigniew Kadłubek, dr hab. Paweł Majerski, dr hab. Grażyna Maroszczyk, dr Paweł Sarna, mgr Katarzyna Niesporek. Konferencję prowadził prof. dr hab. Marian Kisiel. W numerze prezentujemy dwa spośród wygłoszonych tekstów referatów.



Od prawej Paweł Sarna, Zbigniew Kadłubek, Elżbieta Dutka, Grażyna Maroszczyk, Magdalena Boczkowska, Katarzyna Niesporek. Fot. M. Bobrzyk



Fot. Maria Śliwa

„Kupa kamieni pustych i ziem płonnych” w poezji Stanisława Krawczyka

Hałda to jeden z najbardziej charakterystycznych symboli śląskiej przestrzeni pojawiający się w poezji Stanisława Krawczyka. Jest ona o tyle ważnym elementem tej twórczości, że podobnie jak znamienny most z utworu *Nad Brynicą*, łączący dwie, z pozoru odmienne i odległe, przestrzenie istnienia „ja” poety stanowi część krajobrazu, która jest wspólna zarówno dla śląskiej i zagłębiowskiej rzeczywistości. Włodzimierz Wójcik pisze:

Pejzaż hałd i szybów kopalnianych dla wielu „hanysów”, a i zagłębiowskich „goroli”, jest symbolem swojskości, rodzimości, „tutejszości”. Dostojne zarysy wzniesień o kształcie stożka, czy też monumentalnej skarpy miały coś urzekającego, tajemniczego, pociągającego. Były czymś tak naturalnym i niemal odwiecznym, jak starożytne piramidy dla Egipcjan. W wielu filmach, na wielu ilustracjach pojawiają się postacie „starzyków”, siedzących na ławeczkach przed „familokami”, pykających fajeczki i spoglądających na rodzinny horyzont i na przykopalniane hałdy.

(W. Wójcik: *Hałdy i ludzie*. W: *Hałda*. Materiały IV sesji śląskoznawczej Pracowników

Naukowych, Studentów i Gości Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego. Katowice 1999, s. 35.)

Zagłębiowsko-śląska panorama, w której wznosi się hałda, jest głęboko zakorzeniona w pamięci autora *Tajemnicy twarzy*. Owa hałda składa się na najbliższe otoczenie poety, stanowi istotną część jego codzienności. Marian Kisiel stwierdza:

Dotąd nie spotkałem w poezji polskiej tak intensywnie doświadczoną interioryzacji hałdy jako przestrzeni miejsca rodzinnego. [...] Hałda jako znak najbliższej okolicy, ale także znak tożsamości. Zrośnięcie z przestrzenią jest tutaj utożsamieniem się ze wszystkim, co ta przestrzeń uosabia. Jest to przestrzeń (dla) człowieka.

(M. Kisiel: Przedmowa. W: S. Krawczyk: *Zrosty*. Wybór wierszy. Czerwionka-Leszczyny 2012, s. 8.)

Nade wszystko odnoszę wrażenie, że rozpoznawalny element małej ojczyzny Krawczyka, oprócz wspomnianego znaku tożsamości, wzniosłej formy pejzażu w cieniu, którego rozgrywa się codzienność „ja”, to

jeszcze coś więcej. Mam na myśli hałdę, która chociaż jest nieużytkiem, usypiskiem resztek, miejscem gromadzenia pokopalnianych odpadów, stanowi także przestrzeń, w której nieraz rodzi się silna wola przetrwania. Zupełnie bowiem nieoczekiwanie z „kupy kamieni pustych i ziem płonnych”, bez ingerencji człowieka w górniczą materię samoistnie wdziera się życie. Właśnie w tajemnicę cudu powstawania bios na hałdzie próbuje wniknąć Krawczyk w jednym ze swoich utworów:

*Wyjść wargami liści
nad chmurę pyłów
Korzeniami przez ogień
do kropli pokarmu
Iść pod górę
kamień po kamieniu
ścielić żywność*

Taka jest cena trwania

(S. Krawczyk: *Brzozy na hałdach*. W: Tegoż: *Zrosty*. Wybór wierszy. Czerwionka-Leszczyny 2012, s. 15)

Poeta w znakomity sposób opisuje za-

chowanie brzozy, jej podążanie w stronę życia. Brzoza niezłomnością swojego charakteru pokonuje wszystkie napotkane niedogodności. Krzew walczy najpierw o przetrwanie, przebijając się swoimi liśćmi przez toksyny, szukając świeżego powietrza; następnie zмага się z brakiem wody, która jeżeli pojawia się jako zjawisko atmosferyczne od razu spływa w dół, zatrzymując się u podnóża hałdy, jest trudno dostępna korzeniom brzozy.

Ogromne nieudogodnienie stanowi także wysoka temperatura wnętrza nieużytku, powodująca zaburzenia w procesie fotosyntezy przedzierającego się do życia drzewa. Mimo tych wszystkich niekorzyści, czynników niesprzyjających trwaniu i rozwojowi jakiegokolwiek istnienia, na hałdzie rodzi się bios – jak pisze Marian Kisiel – życie trwa w najlepsze, a ceną trwania w tym wierszu jest cud natury (M. Kisiel: *Przedmowa*. W: S. Krawczyk: *Zrosty. Wybór wierszy*. Czerwionka-Leszczyń 2012.). Autor *Morza ciepłego* doskonale uchwycił proces biologiczny dokonujący się na usypisku. Poprzez obraz brzozy zakorzenionej na hałdzie przebiega nadzieja, że niekoniecznie to, co nieużyteczne musi owym nieużytkiem pozostać, a z resztki – jak słusznie zauważa Aleksander Nawarecki – da się jeszcze coś wyciągnąć – może okazać się ona bowiem nie tylko użyteczna, ale – jak się za chwilę przekonamy – również drogocenna (Por. A. Nawarecki: *Hałda – fenomenologia resztek*. W: *Hałda. Materiały IV sesji śląskoznawczej Pracowników Naukowych, Studentów i Gości Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego*. Katowice 1999, s. 28).

Mimo wszystko jednak trudno być brzożami na hałdzie podobnie jak nie jest łatwo człowiekowi zmagać się z własną egzystencją. Chociaż to nieco emfaticzne stwierdzenie, to sądzę, że wpisuje się w omawiany utwór. W tym kontekście wiersz przybiera wymiar metafizyczny. „*Iść pod górę / kamień po kamieniu / ścielić żyźność*” – wyłania się z tego obrazu jeden z najstarszych motywów w literaturze – życia jako wędrówki. Owa wędrówka to wyczyn, wymaga zaangażowania sił, jest bowiem ścieleniem żyźności na kamieniu – materii twardej, nieustępliwej, milczącej oraz odwróconej do człowieka zawsze powierzchnią. Wolą przetrwania i niezłomnym charakterem istoty ludzkiej w ów kamień zostaje tchnięte życie. Płonna skała przeistacza się w kamień użyźniony. Kamień użyźniony świadczy zaś o człowieku, to lepsza resztką, która po nim pozostaje, która sprawia, że nie cały umiera. Ale i na hałdzie wszystko w końcu sprowadza się do jednego punktu. Tam, gdzie rodzi się życie musi pojawić się śmierć – oto cel przywołanej wędrówki. Hałda zresztą pod powłoką zieleni brzoż jest czarna i pomimo rodzącego się na niej bios, powstającego cudu natury, owych pozostających w niej wartościowych resztek, zawsze czarną pozostanie. Czerń zaś niepokoi spoglądającego codziennie na hałdę.

Krawczyk, który zwraca uwagę na aspekt użytecznego powstającego na nieużytku, żyjącego rodzącego się na martwym, czyni hałdę miejscem w jakiś sposób wyjątkowym. Poeta nie dostrzega w niej bowiem tylko zwału nieużytecznej skały. Kontemplując hałdę, szukając ukrytej niezwykłości w porzuconych kruszywach, czyni ją przestrzenią, którą się odkrywa, której wewnątrz mieści coś niezwykłego. Hałda dlatego też staje się przedmiotem dociekania podmiotu:

*Hałda wciąż rośnie garb kopczący w koło
myśl się rozpada popiół pod stopami
spalone bryły lecą w klepisko stodoły
opuszczonej przez ludzi rozdartej wiatrami*

*biedak w niej szuka pominiętych rzeczy
zając zbuduje ciepłą kępę trawy
w barchanach dymu brzoza w niebo wierzy
na rdzy żelaza spokój rudej żaby*

*pod rdzą dzień po dniu powoli przemija
łupek się sypie gdy go dotknie ręka
czyja to ziemia? nikt nie chce pamiętać*

(S. Krawczyk: *Hałda*. W: Tegoż: *Zrosty. Wybór wierszy...*, s. 90.)

Śląski zwał przybiera na rozmiarach, wzrasta i dojrzewa wraz z człowiekiem, ogniskuje ludzkie cechy, aby stać się przestrzenią bliższą – rozpad myśli, popiół pod stopami, samotność i opuszczenie dotyczą przede wszystkim ludzkiego bytu. Hałda jest tutaj obserwatorem życia, jego uczestnikiem, najwierniejszą towarzyszką powszedniości człowieka. W cyklu *Pieśni śląskich* w wierszu *Pieśń o matce* Krawczyk zresztą pisze:

*Między hałdami
na zielonych parcelach
w głębi ksiąg wieczystych
nasze matki pod oknami
odmawiają różaniec ojcowizny*

(S. Krawczyk: *Pieśń o matkach*. W: Tegoż: *Zrosty. Wybór wierszy...*, s. 96.)

Dynamiczny obraz usypiska, który konstruuje autor *Drogi* w swoich utworach jest nasycony istnieniem. Krawczyk pokazuje, że hałda nie jest tylko ziemią płonną – kamienie bowiem kopczą się, są gorące, żarliwe, dają w ten sposób o sobie znać – same więc w sobie w jakiś sposób tętnią życiem. I również życie toczy się wokół nich. Pod hałdą bowiem – jak w przytoczonym wierszu – można spotkać biedaka (hałdziarza), szukającego kamieni węgielnych – nieużyteczny zwał staje się tutaj podstawą materialnego bytu człowieka, od drogocennych resztek w nim ukrytych wręcz zależy ludzkie istnienie. Pokopalniane resztki są tutaj darem dla człowieka. Podobnie przyroda pod zwałem odnajduje swoje schronienie i znamienny spokój. Autor *Brzegów płomienia* po raz kolejny przywołuje charakterystyczną brzożę, która z determinacją przebiega ku trwaniu, w niebo wierzy. Życie rodzi się w miejscu, zagrażającym środowisku naturalnemu i dotyczy już nie tylko roślinności, ale także zwierząt – hałda w ten sposób zadziwia, pokazuje, że nie jest tylko nieużytkiem, może być także górą życia.

Ważny jednak wydaje się ostatni wers utworu *Hałda*, kiedy podmiot pyta i stwierdza z niemalą rozpaczą: *czyja to ziemia? nikt nie chce pamiętać*. Dochodzi więc tutaj aspekt zapomnienia o tradycyjnej, śląskiej przestrzeni. Hałda stała się bowiem ziemią przez wielu porzuconą. Śląski krajobraz, który wzrastał wraz z człowiekiem, coraz częściej jest poddawany przeobrażeniom, dekomponowany w taki sposób, aby mógł wpisać się w nowoczesną przestrzeń.

Niezwykłości hałdy poeta nie odnajduje jednak w aspektach estetycznych. Pokopalniany pejzaż zostaje opisany tak jak rzeczywiście jawi się przed oczyma autora – garb kopczący, popiół, spalone bryły, barchany dymu. W rzeczywistości to mało zachwycająca przestrzeń. Krawczyk nie idealizuje, nie poddaje mityzacji śląskiego obrazu, ale

sięga pod jego powierzchnię, uderza w jego same wnętrze, w krajobrazie co najwyżej pospolitym próbuje widzieć więcej. Z hałdą zresztą chyba tak należy, wyrasta ona bowiem – jak trafnie pisze Aleksander Nawarecki – z pragnienia skierowanego w głąb ziemi (Por. A. Nawarecki: *Hałda – fenomenologia resztek...*, s. 33). Poeta w tym patrzeniu wewnątrz wyraża także swoje przywiązanie do krajobrazu, w którą wrosła hałda.

W wierszach Stanisława Krawczyka temat hałdy pojawia się także w odniesieniu do sfery sacrum. Mam tutaj na myśli wiersze z tomu poetyckiego *Droga*, które zostały napisane w oparciu o poszczególne stacje Drogi Krzyżowej:

[...]

*Na hałdę czaszek dla władcy formuje się wyprawa;
czas wszystko wyjaśni, lecz czemu nie było obrony?*

(S. Krawczyk: *Prolog*. W: Tegoż: *Zrosty. Wybór wierszy...*, s. 101.)

[...]

*Do hałdy czaszek dotrzeć, jak do własnej czaszki,
w przechyle dnia pokazać światu własne oblicze
i patrzeć, jak przed Panem spadają z twarzy maski.*

(S. Krawczyk: *IX*. W: Tegoż: *Zrosty. Wybór wierszy...*, s. 110.)

Hałda czaszek to bezpośrednie nawiązanie do miejsca unicestwienia Chrystusa. U ewangelistów czytamy: *A On sam dźwigając krzyż wyszedł na miejsce zwane Miejsce Czaszki, które po hebrajsku nazywa się Golgota* (J 19, 17); *Przyprowadzili Go na miejsce Golgota, to znaczy miejsce Czaszki* (Mt 15, 22) czy *Gdy przyszedli na miejsce, zwane „Czaszką”, ukrzyżowali tam Jego i złoczyńców, jednego po prawej, drugiego po lewej Jego stronie* (Łk 23, 33).

Wyrażenie „Hałda czaszek” użyte przez autora *Ksiąg wieczystych* zarówno w *Prologu* i części dziewiątej *Drogi* w odniesieniu do nowotestamentowych wydarzeń, wydaje się uzasadnione. Golgota była wzgórzem położonym poza miastem – ewangelisci piszą, że Jezusa wyprowadzono, aby go ukrzyżować (Mk 15, 20). Hałda z kolei to

także przestrzeń oddalona od miejsca zamieszkania. Ze względu na emanujące z kamieni zanieczyszczenia, może zostać usypana jedynie na specjalnie wyznaczonym terytorium. Ponadto Golgota była ówczesnie wysypiskiem śmieci, miejscem przechowywania gruzu – podobnie jak hałda jest składowiskiem zużytej skały, „kupą kamieni pustych”. Elżbieta Dutka zwraca uwagę na jeszcze inny aspekt użycia przez Krawczyka w *Drodze* sformułowania „hałda czaszek”:

Znamienne jest nazwanie w Prologu miejsca ukrzyżowania „hałdą czaszek”. Hałda pojawia się także w [...] fragmencie dziewiątym, ukazującym trzeci upadek pod krzyżem. W Drodze użyte zostało brzmienie tego słowa, znane z języka ogólnego, a nie jego gwarowej odmiany, która brzmiałaby „hołda”, jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że przywołany został w ten sposób jeden z najbardziej rozpoznawalnych znaków Śląska (obok familoka i kopalnianego szybu), istotny element śląskiej mitologii, tak często sakralizowany w sztuce. Wydaje się, że do takiego przypuszczenia uprawnia lektura późniejszych Zapisków na prowincji, w których poeta pisze o hałdzie jako o swe go rodzaju Golgocie.

(E. Dutka: *O Drodze i „drogach poetyckich” Stanisława Krawczyka*. W: Tejże: *Zapisywanie miejsca. Szkice o Śląsku w literaturze przełomu wieków XX i XXI*. Katowice 2011, s. 167–168.)

W Ewangelii św. Mateusza przy opisie śmierci Chrystusa czytamy jeszcze: [...] *ziemia zadrżała i skały zaczęły pękać* (Mt 27, 51) – jakże obraz ten jest bliski górniczej rzeczywistości. Owe drżenie przypomina kopalniane, podziemne wstrząsy, a pęknięcia skał powstające po nich, charakterystyczne uszkodzenia – słynne szkody górnicze.

Golgota ma zatem wiele wspólnego ze śląską hałdą. Hałda zresztą w tym kontekście to także symbol ludzkiego trudu. Górnicy wydobywający z podziemia węgiel wyciągają na wierzch także nieużyteczne kamienie – usypują sobie pomnik w postaci hałdy, swoją własną Golgotę. Chrystusowa Golgota ostatecznie jednak zostaje podniesiona do sfery sacrum, staje się górą świętą, hałda zaś nieprzerwanie stanowi tylko miejsce czaszek, resztek, nieużytecznych skał, w które próbuje wdrzeć się życie, ale o których *nikt nie chce pamiętać*, z wyjątkiem oczywiście poety.

Katarzyna Niesporek

Przygotowanie do wyboru wierszy

1

W trzecim numerze „Nowego Zagłębia” z 2013 roku ukazały się trzy wiersze Stanisława Krawczyka (*Po latach, Nad Brynicą, Nad Jordankiem*), a wraz nimi recenzja Edyty Antoniak-Kiedos ze zbioru *Zrosty* (2012). Miałem przyjemność poprosić poetę w imieniu redakcji o przesłanie utworów z najnowszej książki. W e-mailu poza informacją, że mam wolną rękę w wyborze wierszy, otrzymałem też prezent w załączniku – e-booka składającego się w zasadzie z dwóch osobnych rzeczy – tomiku *Zamykając powiekę* oraz jednoaktówki *W pamięci lustra*. W wyborze wierszy do prezentacji w czasopiśmie przesyłka, jak się okazało, miała mi bardzo pomóc. Ostatecznie, idąc tropem niewypowiedzianej, ale chyba czytelnej sugestii autora, sięgnąłem przede wszystkim do tomu *Zamykając powiekę*.

Wiersz *Budowanie* w moim wyborze trzech utworów się nie znalazł, nie chciałem dosłownie ponawiać gestu poety. Z tym większą przyjemnością przytaczam go w całości:

*Najlepiej nocą
z gryzących się myśli
wyprowadzić obraz
ujmować marzeń
dodawać kamieni
ćwiczyć się w rachowaniu
do połówki cegły
pamiętać
o ogniu
wodzie
o ptakach
listonoszach nieba*

2

Przytoczony wiersz pochodzi z tomu *Brzezi płomienia* (1986). Znalazł się w piątej części zbioru *Zamykając powiekę, czyli Wpasowanie w codzienność*, pomiędzy przywołanymi na wstępie utworami *Nad Brynicą* (z *Ksiąg wieczystych*, 1991) i *Nad Jordankiem* (z tomu *Szepty*, 1997). Warto zwrócić uwagę na miejsce utworu wśród innych. Ważne jest nie tylko to, co zbudowano i jak to zrobiono. Pytamy jeszcze, w jaki sposób wiersze oświetlają się nawzajem, czy napotykamy łagodne, czy raczej kontrastowe przejścia. Każdy, kto buduje, wie, jak ważne jest dobre sąsiedztwo.

Przywołana e-książka jest autorskim wyborem – jak zresztą wskazuje podtytuł – na który składają się „wiersze dawne i nowe”. Zderzenie i dopełnianie się dwóch perspektyw, teraźniejszości i przeszłości, jest pierwszą z zasad organi-

zujących ów zbiorów. Pytanie, w jakim celu nie-
dlugo przed obszernym wyborem pojawia się
publikacja mająca również cechy autoantolo-
gii, nie wydaje się bezzasadne. Warto podążyć
za słowami Mariana Kisiele z *Przedmowy Zro-
stów*: *Myli się ten, kto sądzi, że wybór wierszy jest
przebieganiem, że kartkując tomiki i tasując wiersze
poeta wybredza, dziwi się swoim dawnym de-
cyzjom i stara nadać w obecnym układzie inną
wartość utworom już dobrze okrzepłym w sen-
sy. Tak naprawdę, konstruowanie autoantologii
ma zawsze ten sam cel: jest próbą odkrycia zna-
czenia w tym, co już się wypełniło. Oto dokonał
się w czasie poetycki świat* (M. Kisiel: *Przedmo-
wa*. W: S. Krawczyk: *Zrosty*. Wyboru dokonała
i posłowie napisała M. Boczkowska. Agencja
Reklamowo-Wydawnicza „Vectra”, Czerwion-
ka-Leszczyny 2012, s. 5).

Czy zatem i w tym wypadku można w ogó-
le mówić o antologii? Chyba raczej o jej zapo-
wiedzi, o przygotowaniu się na nią... przygo-
towaniu do wyboru wierszy (aluzje do praktyki
poetyckiej Tadeusza Różewicza są oczywiście
zamierzone). Z jednej strony, chodzi o budo-
wanie z tego co już znane. Z drugiej, ważne jest
zburzenie chronologicznej ciągłości narra-
cji, wprowadzenie nowych utworów, podział
kompozycyjny porządkujący tematykę (część
poetycka składa się z siedmiu tytułowanych
częstek: *Szeptem*; *Doświadczając*; *Zamykając po-
wieść*; *My tu na chwilę*; *Wpasowane w codzien-
ność*; *Spotkanie w drodze*; *16 maja*). Do tego spisu
warto dodać wydzielenie w charakterze wstę-
pu wiersza, w którym poetyckie „ja” jest jedno-
cześnie wyeksponowane, jak i niedookreślone,
wymykające się identyfikacji – *Pytasz gdzie je-
stem*. Inicjalny wiersz jest zaproszeniem do wę-
drówki. Ty pytasz, gdzie jestem, a ja mówię: po-
dążaj za moim głosem.

Biorąc pod uwagę powyższe, można przy-
puszczać, że refleksja metapoetycka będzie od-
grywała znaczącą rolę. Tak jest w istocie. To
również dotyczy się przywołanego już wiersza,
który można umieścić wśród wierszy progra-
mowych poety.

3
Budowanie jest dosyć nietypowym manifestem
poetyckim. Pozornie, odnaleźć w nim można
bezpośrednie wskazanie na temat tego, jak au-
tor *Zrostów* definiuje zasady sztuki poetyckiej.
Zamiast prostego przepisu otrzymujemy tajem-
nicę. Samo słowo „budowanie” wiąże się z kon-
struowaniem, ze wznoszeniem obiektów, a ini-
cjalne „najlepiej” mogłoby wręcz sugerować, że
przepis na obraz poetycki, receptę na wiersz. Jed-
nak myliłby się ten, kto podejrzewałby Kraw-

czyka o radosny konstruktoryzm.

Problem oczywiście w tym, co jest materia-
łem do budowy. To, co wydaje się pewne, istot-
nie okazuje się pewnością... ale istnienia pro-
blemu. Zapowiedzią pracy niemożliwej do
wykonania. Pod tym względem może przy-
wodzić skojarzenia z wierszem Staffa *Podwali-
ny* z tomu *Wiklina* (1954):

*Budowałem na piasku
I zwało się.
Budowałem na skale
I zwało się.
Teraz budując zaczne
Od dymu z komina.*

Czy z owych „gryzących się myśli” może
udać się wyprowadzić czysty, niezmacony ob-
raz? Skąd przeświadczenie o tym, że w ogóle
warto próbować? Myślę, że wskazanie na Staf-
fowskie inspiracje jest całkiem interesującym
tropem. Bohater wierszy autora *Snów o potę-
dze*, jak przypomina Irena Maciejewska, prze-
mieniał się z biegiem lat – z mocarza w twórcę
wartości, z rycerza w robotnika, wszakże nie-
pozbawionego etosu i marzeń (I. Maciejew-
ska: *Poeta ładu moralnego – Leopold Staff*. W:
Poeci dwudziestolecia międzywojennego. Red. I.
Maciejewska, Wiedza Powszechna, Warszawa
1982, s. 233-240). Właśnie marzenie jest nar-
zędziem niezbędnym, by antycypować to, co
może nastąpić. Z jego pomocą możemy wyty-
czać cele, do których zamierzamy dążyć. Swo-
ją drogą to o czym warto marzyć, może wyda-
wać się nieosiągalne. W istocie w wierszu mowa
o konieczności godzenia tego, czego połączyć
nie sposób. Poezja może być i nierzadko jest,
sztuką nieprawdopodobieństwa.

Oto z czym jeszcze może wiązać się budo-
wanie, akurat ten utwór nie znalazł się w zbio-
rze *Zrosty*. Wiersz dedykowany jest Stanisławo-
wi Piętałkowi:

*chciałeś zbudować obłok
o lekkości pierza
żeby łagodnie wpływał
w źrenice córki
(Pogrzeb drwala)*

Również na paradoksie oparta jest następna
wskazówka. Przytoczę fragment: „ujmować ma-
rzeń/ dodawać kamieni/ ćwiczyć się w rachowa-
niu”. Gdyby zatrzymać się w tym miejscu, war-
to by zadać pytanie, czy przypadkiem nie jest to
wiersz przeciw fantazji? Czy trzeba ćwiczyć się
w rachowaniu, czyli poezję traktować jako rów-

nanie? Tak, ale to tylko część prawdy, jedna wska-
zówka z wielu, które trzeba odnaleźć. Równie
ważne jest docieranie do pamięci, także tej się-
gającej najdalej – pamięci żywołów. To, co wy-
dawało się odwróceniem się od fantazji, okazu-
je się koniecznym ćwiczeniem, by ostatecznie się
móc zwrócić ku niej. Aby spróbować dotrzeć do
niemożliwego, zbudować świat, w którym można
zamieszkać, zaledwie ze strzępów, z fragmentów.

W ten sposób otwiera się plan odniesień po-
zaliterackich. Przypomnę, że owo „budowanie”
to praca, która trwa w miejscu pomiędzy Bryni-
cą a Jordankiem. Przypomina Magdalena Bocz-
kowska, Brynica – w planie biografii poety jest
rzeką dzieciństwa. Most na tej rzece łączy i dzie-
li jednocześnie (M. Boczkowska: *Alfabet Stanisła-
wa Krawczyka. Posłowie*. W: S. Krawczyk: *Op. cit.*,
s. 219). Znanie porzekadło mówi, że punkt widze-
nia zależy od punktu siedzenia. Przypuszczam, że
autor *Zrostów* powiedziałby siedzącemu, że czas
powstać i dobrze się rozejrzeć. Sam Krawczyk
nie pozostaje po jednej stronie mostu. Przeszedł
przez most wielokrotnie, dobrze poznał ludzi po
jednej i drugiej stronie, mieszkał wśród nich i wie,
co oznacza nie zawsze łatwe sąsiedztwo. Jak pisze
M. Boczkowska: *Poeta próbuje [...] nie tylko po-
wrócić do nie zawsze arkadyjskiego miejsca urodze-
nia, ale także na swój sposób walczyć z regionalnymi
stereotypami i antagonizmami Ślązaków i Zagłębia-
ków. To, co ich dzieli, może jednocześnie łączyć. A to,
co łączy, mogłoby być łatwiejsze do wskazania, gdy-
by obie strony wyzbyły się wzajemnych uprzedzeń.*
*Czarny Śląsk i czerwone Zagłębie, granica na Bry-
nicy oddziela przeszłość od przyszłości, dzieciństwo
od dorosłości, marzenia od rzeczywistości.*

A jest jeszcze Jordanek. Rzeczka przepływa-
jąca przez Dębieńsko, o której pisze poeta w syl-
wicznych *Zapiskach na prowincji* (2000), gdzie
nazywa ją swoim małym Jordanem. To, co małe,
dzięki wyobraźni staje się tym, co wielkie. Jor-
danek może się stać biblijnym Jordanem. Jak
przypomina Manfred Lurker, w *Nowym Testa-
mencie* rzeka ta jest świadkiem wielu wydarzeń
religijnych. Z Galilei nad Jordan przyszedł Je-
zus, by zostać ochrzczonym przez Jana. Nato-
miast chrzest w rzece wiązał się z prastarą ideą
ponownego narodzenia przez wyjście z macie-
rzyńskiego łona wody (M. Lurker: *Słownik ob-
razów i symboli biblijnych*. Tłum. K. Romaniuk.
Pallottinum, Poznań 1989, s. 207). Oczyszcze-
nie się i przeistoczenie świata. Oto zadanie nie-
możliwe, które trzeba wykonać.

Pomiędzy Nad Brynicą a Nad Jordankiem.
W planie codzienności. A zarazem niemożli-
wości. Tam właśnie trwa praca.

Paweł Sarna

POLSKA-CZECHY-SŁOWACJA

Dylematy sąsiedztwa i granic cz. 2

Eugeniusz Januła

3 lutego 1919 roku władze czeskie zgodziły się w Paryżu, pod naciskiem przedstawicieli Ententy na ogłoszenie i przeprowadzenie plebiscytu. Jednakże latem 1920 roku podczas ofensywy Tuchaczewskiego na Warszawę, polityczny sojusznik bolszewików, czechosłowacki minister spraw zagranicznych Edvard Beneš wykorzystał trudną sytuację Polski i przeforsował na konferencji w Spa podział Śląska Cieszyńskiego przez mocarstwa bez przeprowadzania plebiscytu, czego oczywiście strona czeska bardzo się bała. Zgodził się na takie rozwiązanie, pod wielkim naciskiem, premier Władysław Grabski, licząc na pomoc mocarstw w obliczu inwazji bolszewickiej na Polskę¹.

Na skutek nacjonalistycznej propagandy czeskiej i powiazań Beneša i Masaryka wśród elit zachodnich, mocarstwa zadecydowały 28 lipca 1920 roku podzielić Śląsk Cieszyński w sposób bardzo korzystny dla Czechosłowacji. W ten sposób Czesi uzyskali zupełnie niesprawiedliwie rdzennie polskie tereny. Przyznano im całą strefę zdemilitaryzowaną oraz część resztek polskiego terytorium pozostawionych Polsce po wojnie z 1919 roku z miastami Trzynieć, Karwina, Jabłonków oraz południowymi dzielnicami Cieszyna. Oddano też Czechosłowacji większość spornych terenów Spisza i Orawy². Polski rząd uznał decyzję Rady Ambasadorów warunkowo, tylko ze względu na pogarszającą się sytuację na froncie wojny polsko-bolszewickiej, pod warunkiem przepuszczania przez Czechosłowację transportów z bronią dla Wojska Polskiego. Czechosłowacja mimo deklaracji Edvarda Beneša w Spa, aż do Bitwy Warszawskiej żadnych transportów do Polski nie przepuściła. Dopiero po wygraniu tej wielkiej bitwy przez Polaków, Czechosłowacja, działając rzecz jasna koniunkturalnie przepuściła z wielkimi opóźnieniami trzy pociągi z materiałem wojennym dla Polski³. Trzeba dodać, że Beneš dążył do unicestwienia powstającej Polski. Liczył na to, że w sojuszu z Rosją Radziecką Czechosłowacja uzyska w środkowej Europie pozycję dominującą i zajmie co najmniej Polskę południową. Beneš liczył nawet na całkowitą likwidację Polski i podział jej terytorium właśnie między Czechosłowację i Rosję Radziecką.

W wyniku bardzo dla Polski niekorzystnego podziału tylko 44% terenu o pow. 1002 km², ze 139,6 tys. mieszkańców, przypadło Polsce. Większość ziem o pow. 1280 km², zamieszkiwaną przez 295,2 tys. osób w tym 139 tys. Polaków, 113 tys. Czechów, 34 tys. Niemców, przekazano pod administrację czeską. Były w tym też tereny uprzednio administrowane przez polską Radę Narodową Księstwa Cieszyńskiego ze 179 tys. mieszkańców

(123 tys. Polaków, 32 tys. Czechów, 22 tys. Niemców.) Na skutek bardzo intensywnej i niezgodnej z prawem działalności czechizacyjnej oraz fałszowania formularzy spisowych, już w 1921 roku czeski spis ludności wykazał tylko 69 tys. Polaków w całym czeskim Śląsku Cieszyńskim⁴. Z zamieszanego w olbrzymiej większości przez Polaków tzw. Zaolzia – część powiatów frydeckiego, frysztackiego i cieszyńskiego wraz z połową Cieszyna – powstał odtąd zwany w Czechach, Český Těšín. Nieprzychylna nacji polskiej polityka władz czeskich doprowadzała do konfliktów narodowościowych i emigracji części ludności polskiej, głównie najbardziej prześladowanych polskich działaczy narodowych i społecznych: „(...) Spotkał naród polski cios, który silnie zaważył musiał na kształtowaniu się naszego stosunku do republiki czechosłowackiej. Wyrokiem Rady Ambasadorów przyznany został Czechom szmat rdzennie polskiej ziemi, mającej bardzo znaczną większość polską. Przyznane zostały Czechom nawet te okręgi, do których Czesi nie powinni nigdy rościć pretensji (...) Wyrok ten wykopał przepaść między oboma narodami (...)” – stwierdził w mowie sejmowej premier Wincenty Witos 24 września 1920 roku⁵.

Skutkiem czeskiej agresji i konfliktu o Śląsk Cieszyński pomiędzy Polską a Czechosłowacją w latach 1919–1920 było trwałe na okres całego dwudziestolecia międzywojennego pogorszenie i napięcie stosunków między krajami. Czeska aneksja tych terenów była przyczyną późniejszego odzyskania i aneksji Zaolzia przez Polskę. 2 października 1938, kiedy to analogicznie do sytuacji Rzeczypospolitej atakowanej wcześniej przez Rosję Sowiecką, Czechosłowacja została raczej politycznie niż militarnie zaatakowana przez III Rzeszę. Polska zajęła wtedy Zaolzie bez jednego strzału, a wojska polskie dowodzone przez gen. Bortnowskiego były serdecznie witane przez miejscową ludność, w tym także Czechów. To odebranie Śląska Zaolziańskiego przez Polskę było w pełni usprawiedliwione i naturalne. Problemem było tylko to, że Polska stała się de facto sojusznikiem Hitlera⁶. Bo niemiecka dyplomacja, jak też minister Goebbels nie omieszkali wykorzystać tej sytuacji dyplomatycznie i propagandowo. Świat a ściślej światowa opinia publiczna musiała przyjąć ze zdumieniem do wiadomości, że to nie tylko hitlerowskie Niemcy zajmują Czechy i zwalizują Słowację, ale w tym wyjątkowo negatywnym i cynicznym procederze biorą też o dziwo udział takie państwa jak Polska i Węgry, które zajęły wschodnie regiony Słowacji.

Kolejnym subregionem spornym była Orawa –

kraina historyczna w Europie Środkowej w dorzeczu rzeki Orawy. Przeważająca część Orawy znajduje się obecnie w granicach Słowacji, natomiast tylko jej niewielka północno-wschodnia część należy do Polski. Otacza Orawa Tatry od zachodu i północnego zachodu, graniczy z Podhalem i Liptowem. Głównymi miejscowościami części polskiej są Jabłonka i Lipnica Wielka, a na Słowacji: Dolny Kubin, Trzciana, Namiestów, Twardoszyn, a także ośrodki wypoczynkowe: Zuberzec i Orawice.

Polska część Orawy czy raczej Kotliny Orawskiej, od północy i zachodu ograniczona jest pasmem Beskidu Żywieckiego i obejmuje zachodni skrawek Kotliny Orawsko-Nowotarskiej. Wschodnia granica Orawy przebiega generalnie wzdłuż europejskiego działu wodnego, rozdzielającego zlewiska Morza Bałtyckiego i Morza Czarnego, natomiast niewielki skrawek północno-wschodni tej krainy leży w dorzeczu Czarnego Dunajca. Kotlina Orawska tworzy największy w Polsce region należący do zlewiska Morza Czarnego. Tu wody płyną poprzez Czarną Orawę, Wąg i Dunaj⁷.

Część polska Orawy zamieszkała jest generalnie przez Polaków i także bardzo niewielką mniejszość słowacką, natomiast część słowacka przez Słowaków, a także aktualnie niewielkie liczebnie mniejszości czeską i polską. Ta ostatnia zamieszkuje głównie powiaty namiestowski i twardoszyński. Teren Polskiej Orawy był i jest jednorodny etnicznie – został generalnie i stopniowo zasiedlony przez polskich osadników z Małopolski nizinnej, a także z Żywiecczyny. W osadnictwie brała też w niewielkim zakresie udział ludność wołoska. Do końca XIX wieku mieszkańcy Orawy zasadzie nie mieli świadomości etnicznej ani narodowej⁸. Trzeba przypomnieć, że do 1918 roku Orawa należała do Królestwa Węgier w ramach monarchii habsburskiej, podobnie zresztą jak cała Słowacja. Według spisu z 1910 roku mieszkało tam 72 125 osób. W tej liczbie było 59 096 Słowaków, 16 131 Polaków, 2 000 Węgrów, 1 518 Niemców⁹.

Po I wojnie światowej w ramach wytyczania granic państwowych, wybuchł i na terenie Orawy spór pomiędzy Polską a Czechosłowacją o przynależność państwową tego regionu. Generalny podział narodowościowy był mniej więcej taki, że w Górnej Orawie zamieszkiwała w większości ludność polska, a w Dolnej – słowacka. Planowany plebiscyt i tu, podobnie jak na Śląsku Cieszyńskim, nie odbył się, gdyż Polska podczas wojny z bolszewikami zgodziła się na podział bez pytania zainteresowanej ludności o zdanie. W ten sposób Rzeczypospolitej przypadło tylko 12 wsi w Górnej Orawie¹⁰. W 1924 roku dokonano wymiany terytoriów – Polska otrzymała resztę wsi Lipnica Wielka (część wsi należała już do Polski), a w zamian oddała wsie Głodówka i Sucha Góra.

W październiku 1938 rząd Polski, wykorzystując osłabienie Czechosłowacji po układzie monachijskim, zwrócił się do Pragi z twardym ultimatum, w którym

na terenie Orawy zażądał oddania czterech niewielkich fragmentów terytorium, m.in. wsi przekazanych Czechosłowacji przez Polskę w 1924 (Sucha Góra, Głodówka) oraz fragmentu gminy Trzciana sąsiadującego z wsią Lipnica Wielka. W tym wypadku chodziło o las Krywań oraz pastwisko i las Osadzka. Dalej części terytorium miejscowości Bobrov – był to fragment zachodniego stoku góry Krywań i Orawskiej Półgórny, czyli Doliny Jałowca od przełęczy Głuchaczki do przełęczy Jałowieckiej z uroczyskiem Jałowiec i południowym stokiem Mędralowej¹¹. Nową granicę wyznaczał teraz potok Półgórzanek. Przyczyna tej granicznej korekty była bardzo prozaiczna. Zmiana podyktowana była przebiegiem polskiego szlaku turystycznego, który przed korektą, podobnie jak dziś, prowadził w kierunku Babiej Góry przez terytorium słowackie. Tereny te pozostały w granicach Rzeczypospolitej niecały rok – po wybuchu II wojny światowej zagarnęła je Słowacja, która 21 listopada 1939 roku na mocy porozumienia z Hitlerem zajęła cały obszar historycznej Orawy, a później po wojnie tereny te objęła Czechosłowacja¹².

Obecną granicę między Polską a Czechosłowacją określiła dopiero niekorzystna dla strony polskiej umowa, zawarta w 1958 roku.

Ostatnim terytorium co do którego istniały wzajemne pretensje terytorialne był położony najdalej na wschód Spisz. Jest to region historyczny, którego granice bardzo ewoluowały na przestrzeni dziejów. Pierwotnie (w XII–XIII w.) obejmował on tylko okolice Spiskiego Zamku, natomiast maksymalny zasięg osiągnął w końcu XIX w. Region ten leży w Centralnych i Wewnętrznych Karpatach Zachodnich, w dorzeczu górnego Popradu, górnego Hornádu oraz w części dorzecza Dunajca (na wschód od rzeki Białki). Na północnym zachodzie Spisz sąsiaduje z Podhalem, na północy z ziemią sądecką, na wschodzie z Szaryszem. Natomiast na południu z Abovem i Gemerem, na południowym zachodzie z Liptowem.

Obecnie Spisz jest podzielony granicą państwową na części należące do Polski i Słowacji. Powierzchnia całego Spisza wynosi ok. 3,7 tys. km², części słowackiej – ok. 3,5 tys. km², części polskiej – 195,5 km². Na Spiszu wyróżnia się dwa subregiony: Górny Spisz (Zamagurze Spiskie, kotlina górnego Popradu i Góry Lewockie), Dolny Spisz (kotliną górnego Hornádu i Rudawy Spiskie).

Pod względem geograficznym w granicach Spisza znajdują się, w całości lub w części, następujące regiony: Kotlina Popradzka, Kotlina Hornadzka, Tatry Wschodnie, Tatry Niżne, Góry Stracińskie, Góry Lewockie, Pogórze Spisko-Gubałowskie i Pieniny.

Największe lub najbardziej znane miejscowości Spisza to Poprad, Kieżmark, Nowa Wieś Spiska, Lewocza, Spiskie Podgórze (ze Spiską Kapitułą) i Stara Lubowla. W polskiej części Spisza znajduje się 14 wsi: Czarna Góra, Dursztyn, Falsztyn, Frydman, Jurgów, Kacwin, Krempachy, Łapszanka, Łapsze Niżne, Łapsze Wyżne,

Niedzica, Nowa Biała, Rzepiska i Trybsz. Należą one administracyjnie do trzech gmin, spośród których tylko gmina Łapsze Niżne ma charakter wyłącznie spiski¹³.

Prawdopodobnie w 1001 r. ówczesny władca Polski Bolesław Chrobry wraz z Czechami i Morawami przyłączył do swego królestwa także większość ziem spiskich, aktualnie należących do Słowacji. Część z nich stracił już w roku 1018 na rzecz monarchii węgierskiej. W średniowieczu w wyniku praktycznie stałego napływu Węgier południowa granica Polski przesuwiała się stopniowo ku północy. Na tereny Spisza Węgry wkroczyły politycznie w II połowie XI w. za panowania króla św. Stefana i od tego czasu przez następne trzy stulecia stopniowo przejmowały coraz dalsze tereny, działając praktycznie metodą faktów dokonanych: intensywnie je kolonizując i wykonując na nich coraz więcej uprawnień administracyjnych. Na tym terenie funkcjonowała polska kasztelania spiska wzmiankowana jeszcze w „Kronice Wielkopolskiej” pod datą 1136 z nazwą Spis. Pierwsza wzmianka o Spiszu (a raczej okolicach Spiskiego Zamku) pochodzi z dokumentu króla węgierskiego Andrzeja II z 1209 roku. Granica polsko-węgierska na terenie Spisza przed XIV w. przebiegała najprawdopodobniej wzdłuż doliny Hornádu. Później jednak Węgry wkroczyły jako państwo na teren kotliny Popradu i z początkiem XIV w. także na Zamagurze. Około połowy XIV w. Polska utraciła też okolice Podolińca i Starej Lubowli, należące wcześniej do ziemi sądeckiej¹⁴.

Cały czas postępowała niezależna naturalna kolonizacja Spisza. Osiedlała się tu polska ludność z Sądeckizny, czego pozostałością są zachowane do dziś bliskie związki języka używanego we wschodniej Słowacji z językiem polskim. W XIII w., po zniszczeniach dokonanych przez Tatarów, na Spisz sprowadzono osadników niemieckich, głównie z Nadrenii, Śląska i prawdopodobnie z Saksonii, co popularnie zwane było również przez samych osadników kolonizacją saską. Kolonizacja ta pozwoliła na szybkie odtworzenie sieci osadniczej zniszczonej przez najazdy mongolskie w latach 40. XIII w. oraz doprowadziła region do gospodarczego rozkwitu poprzez rozwój górnictwa i rzemiosła¹⁵. Na fali tej kolonizacji lokowano na prawie niemieckim większość miast spiskich.

W XV w. nadeszła na te tereny kolejna fala osadnictwa – kolonizacja wołoska. Ludność pochodzenia wołoskiego, wywodząca się z Karpat Południowych, zasiedliła w zasadzie najwyższy, graniczny grzbiet Karpat Zachodnich. Wołosi zajmowali się głównie pasterstwem, ich osady lokowano na prawie wołoskim. Ludność wołoska była w znacznym stopniu zeslawizowana już w czasach tej kolonizacji, zaś w ciągu następnych stuleci przemieszała się ze wschodniosłowiańską grupą etniczną Łemków. Najogólniej mówiąc była to ta część Słowian, których wyodrębnienie etniczne powstało z powodu zaszłości historycznych, przy czym Madziarzy byli w pewnym sensie może bardziej ide-

ologicznymi kontynuatorami Wielkomorawskiej Rzeszy z jej uwarunkowaniami w postaci odrębności liturgicznych i wpływów wschodnich w religii¹⁶. Drugim czynnikiem był fakt pozostawiania przez pewien okres prawie całego pasa Karpat we władaniu węgierskim, przy czym na północy aż po ziemię Łędzian, co ułatwiała akcje osadnicze i migracje pasterskie. Królowie oraz feudałowie węgierscy przez wieki posiadali klarowne poglądy w kwestiach osadnictwa i zagospodarowania obszarów im podległych, które konsekwentnie wcielano w życie. Osadnicy niemieccy jednak w większości ulegli wpięciu w madziaryzację, a następnie słowakizację, która jednak postępowała nad wyraz powoli¹⁷. Niemieckie poczucie narodowe odrodziło się w pełni za sprawą niemieckich nauczycieli przybyłych z Czech i Moraw w czasach Republiki Czechosłowackiej. Część ludności niemieckiej do dziś zachowała niemieckie poczucie narodowe, kulturę i język.

W 1412 r. król Władysław Jagiełło pożyczył Zygmuntowi Luksemburskiemu 37 000 kop szeroki grosz praskich czyli ówczesnie ok. 7 ton czystego srebra. Pożyczkę zabezpieczono zastawem, w którego skład weszły miasta i miasteczka należące wcześniej do ziemi sądeckiej, a później wydzielone jako odrębna jednostka: Lubowla, Podoliniec i Gniazda. W rezultacie w miastach tych utworzono starostwo grodowe z siedzibą w Zamku Lubowskim. Zastawem objęto także 13 miast spiskich: Biała, Lubica, Wierzbów, Spiska Sobotka, Poprad, Straże, Spiskie Włochy, Nowa Wieś (dziś Spiska Nowa Wieś), Ruszkinowce, Wielka, Spiskie Podgórze (ale nie Zamek Spiski), Maciejowce, Twarożne. Węgry kilkadziesiąt lat później podjęły próbę sądową odzyskania zastawionych miast, ale wyrokiem sądu papieskiego, który odbył się we Wrocławiu w końcu XV w., tereny te zostały przyznane już na stałe Polsce i pozostały w jej granicach aż do 1769 r.¹⁸. Pozostałe przy Węgrach miasta południowej części Spiszu utworzyły „provincję 11 miast spiskich” (Provincz der 11 Zipser Städte, XI. Szepesi Városok Provinciájába), którego głównym ośrodkiem był w owym czasie Spiski Czwartek. Posiadały one szeroką autonomię, ale szybko zaczęły tracić na znaczeniu. Już w 1465 stały się częścią stanowego państwa spiskiego, którego właścicielem był każdorazowy pan na Spiskim Zamku. W kolejnych latach przez tereny spiskie przetoczyło się wiele wewnętrznych i międzynarodowych sporów i wojen, takich jak batalie husyckie, spory Jagiellonów z Władysławem Pogrobowcem, bunt bratrzyków, kolejne bunty chłopskie i antyhabsburskie w XVII i XVIII w.¹⁹. W 1769 r., podczas walk konfederacji barskiej, cesarzowa austriacka Maria Teresa zagarnęła dla Austrii najpierw starostwo spiskie, a później także czorsztyńskie, nowotarskie i sądeckie. W miejsce polskich starostw utworzono nową austriacką prowincję, 16 Spiskich Miast (Provincz der 16 Zipser Städte) z bardzo ograniczoną autonomią, którą zlikwidowano dopiero w 1876 r.

Skład narodowościowy ludności Spisza był dość

złożony. Większość ludności, zwłaszcza wiejskiej, stanowili Słowacy, na północy byli to z kolei głównie Polacy (Górale), w miastach mieszkali natomiast dość liczni Niemcy. Na południu Spisza był natomiast spory odsetek ludności węgierskiej. Według oficjalnych spisów węgierskich, które nie uznawały wówczas narodowości polskiej (trzeba zaznaczyć, że bardzo fałszywie i tendencyjnie ludność zaliczano do słowackiej). Jedynym wyjątkiem byli emigranci z Galicji. Spisy z lat 1869, 1900 i 1910 wykazały, że skład narodowościowy wyglądał następująco; w nawiasach kolejno lata 1900 i 1910: Słowacy 50,4% (58,2%, 58,0%); Niemcy 35,0% (25,0%, 25,0%); Rusini 13,8% (8,4%, 8,0%); Węgrzy 0,7% (6,0%, 6,0%)²⁰. Szczególna była sytuacja północnego Spisza, zamieszanego zwarciem przez ludność polską, co podkreślały dokumenty wizytacji kościelnych m.in. z II połowy XVIII w. Później jednakże trzeba przyznać, że zatraciła ona polską świadomość narodową mimo polskiej przynależności etnicznej i językowej. Procesy zasiedlenia postępowały z Niżnego i Skalnego Podhala oraz całej Sądecczyny²¹.

Sprawy narodowościowe zaczęły mieć istotne znaczenie od połowy XIX w., kiedy doszło do słowiańskiego przebudzenia narodowego, a także procesów intensywnej madziaryzacji. Na Spiszu, acz nieco słabiej, niż w zachodniej i środkowej Słowacji, zaczął się rozwijać narodowy ruch słowacki. Stosunkowo późno, bo dopiero od około 1895 r. próby działań na rzecz rozbudzenia świadomości narodowej podjęli też Polacy. Głównymi ośrodkami działalności polskiej przed I wojną światową były: Łapsze Niżne (zwane też „Małą Warszawą”), Lendak i Jurgów. Ponadto we wsiach: Frydman, Dursztyn, Kacwin, Pilchów, Łąckowa, Żar, Rużbachy Niżne, Słowiańska Wieś, Krzyżowa Wieś i także w mieście Biała Spiska funkcjonowały polskie tzw. biblioteki. Były to małe na ogół salki, gdzie uczono zainteresowanych pisać i czytać, oczywiście w języku polskim. Znajdowały się tam także lokalne wypożyczalnie książek i czasopism.

W 1918 r. po jednej stronie granicy węgiersko-galicyskiej odrodziła się Polska, a po drugiej powstało nowe państwo – Czechosłowacja, która rościła sobie niczym nieuzasadnione pretensje do całej spuścizny po dawnym królestwie Węgier. W ten sposób również polskojęzyczne, całkiem niemałe obszary na Spiszu i Orawie stały się przedmiotem sporu.

Polacy na Spiszu już w połowie listopada 1918 r. powołali w Starej Lubowali Polską Radę Narodową. Później cały obszar pn. Spisz znajdował się we władaniu polskim. Polskie posterunki wojskowe stały m.in. u wylotu Doliny Kieżmarskiej. Jeszcze kilka miesięcy później między wojskami polskimi i czechosłowackimi dochodziło do zbrojnych starć, które jednak na tym terenie nie zakończyły się otwartą wojną. Na mocy polsko-czechosłowackiego porozumienia z 1 stycznia 1919 r. granica polsko-czechosłowacka przebiegała grzbietem Magury Spiskiej, pozostawiając całą zlew-

nię Dunajca po stronie polskiej (to jest cały teren tzw. Zamagurza)²². Jednakże kilka tygodni później wojska polskie wprowadzone celowo w błąd przez przedstawicieli aliantów, wycofały się z tamtego terenu. Natomiast potem, w wyniku decyzji Rady Ambasadorów podjętej w Spa 28 lipca 1920 r. do Polski został przyłączony jedynie niewielki fragment ego terenu, czyli zaledwie 14 wsi, znany odtąd jako Polski Spisz²³. Po obu stronach pozostało jednak poczucie krzywdy i pretensje terytorialne. Umową zawartą 30 listopada 1938 r. w Zakopanem Polska wymogła na Słowacji cesję dalszej części Spisza – Jaworzyny Spiskiej oraz Leśnicy Pienińskiej oraz także inne, mniejsze fragmenty terytoriów. Z kolei po zakończeniu kampanii wrześniowej teren polskiego Spisza, łącznie z terenami zajętymi przez Polskę w 1938 r., został w wyniku układu Ribbentrop-Černák przekazany przez III Rzeszę wasalnej wobec Niemiec Słowacji²⁴. Faktycznie dokonało się to 3 września, kiedy to armia słowacka oraz bojówki Hlinkowej Gwardii zajęły przedmiotowy teren, zaś formalnie 21 listopada 1939 r. Przy tym trzeba stwierdzić, że słowacki faszysta ksiądz Józef Tiso żądał od Niemiec znacznie więcej terytorium pokonanej w wyniku kampanii wrześniowej Polski. Marzyły mu się Rzeszów, Krosno, Jasło, Nowy Sącz. Trzeba dodać, że absolutnie nie wszyscy Słowacy popierali działalność marionetkowego reżimu. Podobnie jak Czesi, którzy pod dowództwem wówczas podpułkownika Ludwika Swobody utworzyli latem 1939 roku na terenie Polski Legion Czeski. Taki sam legion, może tylko nieco mniejszy liczebnie utworzyli w Polsce Słowacy, przeciwnicy reżimu księdza Tisy²⁵.

Po II wojnie światowej i na Spiszu przywrócono bardzo niekorzystne dla Polski status quo z lat 1920-1938, chociaż formalne porozumienie graniczne podpisano dopiero w 1958 r. pod dużym naciskiem Związku Radzieckiego na ówczesne władze polskie. Specjaliści, zarówno polscy, jak i słowaccy, są wyjątkowo zgodni w kwestii polskości etnicznej wielkich połaci niegdyśszej Sądecczyny, obecnie administrowanej przez Słowację, na którą rozciągnięta została potem nazwa Spisz, czyli wszystkich tych terenów, na których operuje się gwarami spiskimi²⁶.

Główny Komitet pomocy dla Spisza, Orawy i Cza-deckiego z siedzibą w Krakowie w wydanej w 1939 r. publikacji wymieniał znajdujące się na terytorium słowackim następujące miejscowości jako polskie: Frankowa, Frankówka, Relów, Hagi, Stara Wieś Spiska, Golembark, Szwabę Niżne, Szwabę Wyżne, Lechnica Leśnica, Haligowce, Hanuszowce, Jeziersko, Gibel, Ry-chwałd, Mniszek z Pilchowem, Żar (Zdziar), Jaworzyna Spiska, Nowa Lubowla, Łąckowa, Forbasy, Kołacz-ków, Mały Sławków, Lendak, Słowiańska Wieś, Kryg, Buszowce. Mieszany charakter miały mieć natomiast miejscowości: Drużbaki Wyżne, Drużbaki Niżne Biała Spiska, Strażki, Kieżmark Tatrzańska Kotlina, Lubi-ca, Młynki, Podoliniec, Gniazda (ze słow.), Granastów Osturnia, Żakowce, Krempak (z rusin.), Podsadek, Ra-

kusy, Wyborna, Małdur, Krzyżowa Wieś (z rom.). Polski język był, co należy podkreślić, brutalnie, począwszy od XIX w., rugowany ze szkół i kościołów na korzyść słowackiego przez co ludność polska uległa stopniowej słowakizacji²⁷. W tym procederze brała też udział część nacjonalistycznie nastawiona część kleru słowackiego.

Obecny podział narodowościowy Spisza jest znacznie mniej skomplikowany niż przed 1945 r. Przyczyną są przede wszystkim powojenne wysiedlenia oraz akcje asymilacyjne, bardzo charakterystyczne dla działalności państw komunistycznych. Na Polskim Spiszu struktura narodowościowa jest stosunkowo dość jednolita. 90% mieszkańców zadeklarowało się Polakami, a tylko ok. 10% Słowakami. Etnicznych Słowaków jest w tym jednak niewiele – zdecydowana większość deklarujących tę narodowość należy etnicznie do tzw. górali spiskich, których kultura, archetyp i język bliższa jest mieszkańcom polskich gór niż północnej Słowacji. Około 3,5% to Romowie, którzy w większości deklarowali narodowość polską²⁸.

Z kolei na Spiszu słowackim 91,5% mieszkańców (w liczbach bezwzględnych 326 tysięcy) w 2001 r. zadeklarowało narodowość słowacką, ale według szacunków etniczni Słowacy to zaledwie ok. 60% z tej liczby. Narodowość polską zadeklarowało zaledwie 314 osób, z powojennych mieszanych małżeństw polsko-czechosłowackich i słowackich, jednak ogólna liczba etosu polskiego, czyli ludności kulturowo, językowo i etnicznie polskiej, ale deklarującej inną narodowość i pozbawionej polskiego poczucia narodowego może sięgać 40-48 tysięcy osób. Polski etos ma dominować w rejonach Jaworzyny Spiskiej, Lendaku, Małego Sławkowa. Znaczący jest m.in. w Kieżmarku, gdzie mieszkają uciekinierzy z Zamagurza, które po roku 1945 powróciło do Polski, również na Górnym Spiszu, natomiast na Dolnym w Bukownicy i jej rejonie. W tym wypadku są to głównie potomkowie stosunkowo znacznych fal osadniczych z XIX w.²⁹. W spisie z 2001 r. na Spiszu 796 osób określiło się jako Ukraińcy, a 1142 osoby jako Rusini. W przeciwieństwie do Polski, gdzie nie deklarowano narodowości rusińskiej, na Słowacji niektórzy obywatele czuli przynależność jednocześnie do dwóch grup narodowościowych. Ukrainizacja ludności Rusińskiej, czy wręcz automatyczne uznawanie Rusinów za Ukraińców, spowodowała, że większość Rusinów wybrała w Czechosłowacji dogodną asymilację słowacką i większość obecnie deklaruje się jako Słowacy. Podobnie zresztą wygląda sprawa z Ukraińcami. Według szacunków liczba osób pochodzenia rusińskiego (ukraińskiego) może sięgać 24-28 tysięcy osób. Najliczniej mieszkają w północnej części powiatu Stara Lubowla – widoczne są dwie wyspy etniczne większości rusińskiej w miejscowościach Hodemmarkt oraz Żakowce, w miejsce wysiedlonych Niemców. Natomiast na Dolnym Spiszu są to dwa rejony – podnóże Gór Lewockich oraz kilka wsi między Spiską Nową Wsią i Gelnicą. We wsi Straňany właśnie Rusini stano-

wią ponad 20% mieszkańców i przysługuje im wobec tego prawo do podwójnego nazewnictwa oraz drugiego języka pomocniczego³⁰. W tym wypadku jest to język bardzo zbliżony do współczesnego ukraińskiego. Romowie w większości deklarują narodowość słowacką, czasem też węgierską, a około 20-25% narodowość romską. Liczba Romów szacowana jest na 60-66 tysięcy osób, czyli 17-18% mieszkańców całego Spiszu, najwięcej, bo aż ok. 14% w powiecie Gelnica i w powiecie Stara Lubowla (Romów ok. 13%). Oficjalnie zadeklarowało się tak niecałe 20 tysięcy osób, przy czym w co najmniej w kilkunastu miejscowościach stanowią ponad 20% ogółu mieszkańców. Niemcy – liczni i bardzo widoczni na Spiszu przez całe stulecia stanowią obecnie jedną z niewielkich mniejszości. Oficjalnie zadeklarowało narodowość niemiecką tylko 860 osób – głównie w powiecie Gelnica, w Popradzie, Kieżmarku, okolicach Starej Lubowli (wieś Chmielnica – Hobgarten) oraz w rejonie środkowego biegu rzeki Gnilec. Osób pochodzenia niemieckiego może żyć jednak na Spiszu znacznie więcej, bo nawet 4,5 tysiąca (np. 90% mieszkańców wspomnianej Chmielnicy), głównie w miastach, takich jak Poprad i Kieżmarok, lecz deklarują one ze względów politycznych narodowość słowacką lub nie podają żadnej narodowości³¹. Węgrzy – w okresie panowania węgierskiego nie stworzyli zwartej osiedlenia, ale w miastach stanowili bardzo istotną i widoczną mniejszość. Obecnie, po asymilacji oraz emigracji lub też szczególnie intensywnych wysiedleniach okresu komunistycznego, pozostało ich na Spiszu zaledwie 416 (głównie w miastach). Etos węgierski może być niewiele liczniejszy³². Z pozostałych grup narodowościowych najliczniejszą są Czesi – około 2 tysięcy osób. W tej zbiorowości mieści się też narodowość morawską. Etnicznych Czechów (wraz z Morawianami) może być około 2,5 do 3 tysięcy ludzi. Z kolei Żydzi dość licznie mieszkający w przeszłości na Spiszu zostali niemal całkowicie wymordowani podczas II wojny światowej. W okresie międzywojennym narodowość żydowską deklarowało 3/4 wyznawców judaizmu; obecnie tylko 37 osób jest wyznania mojżeszowego, ale tylko 11 zadeklarowało narodowość żydowską. Spośród innych występujących na Spiszu narodowości mieszka na ziemi spiskiej po kilkudziesięciu Rosjan, Serbów, Chorwatów i Bułgarów. Zastanawiające jest natomiast to, że prawie 5 tysięcy osób nie potrafiło zadeklarować swojej narodowości, z tego najwięcej w Spiskiej Nowej Wsi (ok. 2,2%)³³.

Trzeba dodać, że rejonem sporu narodowościowo-granicznego była także drobna część ziemi czadeckiej. Tu etniczną polskość deklarowała olbrzymia większość mieszkańców rejonu Skalite i Skalite-Serafinów. W 1919 roku ten rejon zajęli po drobnych potyczkach Czesi. Polska odzyskała te ziemie w roku 1938. Ale po II wojnie światowej znów Czechosłowacja zajęła te te-

reny. Po podziale Czechosłowacji znajdują się pod administracją słowacką³⁴.

Próbując dokonać rekapitulacji, nie można wyciągnąć innego ogólnego wniosku niż ten, że Polska zarówno w okresie II RP a później też PRL-u przegrała może nie totalnie, ale jednak wyraźnie spór o przebieg południowej granicy. Tymczasem wszelkie przesłanki etniczne przemawiały zdecydowanie na korzyść Polski, ale nie zostały uwzględnione w sposób obiektywny. Bez względu czy arbitrem była Ententa, czy też „pokój miłujący” ZSRR. Okazuje się, czego dowodzi zarówno historia, jak i polityka, że silniejsi mają zawsze rację, a polityka faktów dokonanych przynosi dla agresywnej strony dobre na ogół rezultaty. Paradoxem tej konkretnej sytuacji był natomiast fakt, że Czechosłowacja przecież nie była silniejsza, ale wyraźnie słabsza, i to pod każdym względem od Polski. Natomiast jej kapitałem było to, że dysponowała dobrymi, oczywiście dla siebie, politykami.

Sytuacja z lat międzywojennych została poddana tu analizie, ale musi paść naturalnie przecież w tych warunkach pytanie, czy po II wojnie światowej Polska, już w nowej formule jako PRL, nie próbowała odzyskać swoich historycznie i etnicznie polskich ziem zagarniętych w większości w wyniku agresji, również przy udziale zbrodni ludobójstwa, przez Czechosłowację.

Na podstawie fragmentów dokumentów oraz relacji byłych polityków z okresu PRL-u wynika, że tak. I tu trzeba dać pewien mały plus ekipie B. Bieruta. Otóż szczególnie H. Minc, ale też prawdopodobnie J. Berman wywierali naciski na Bieruta, by ten w bezpośrednich rozmowach ze Stalinem próbował, powołując się na zasługi Polski i jej wkład w zwycięstwo nad faszyzmem, dokonać sprawiedliwej rewizji granicy południowej na korzyść Polski³⁵. Wiadomo też, że co najmniej raz rozmawiał, prawdopodobnie na prośby wyżej wymienionych, a może i Bieruta ze Stalinem, w tej sprawie marszałek Konstanty Rokossowski. Stalin bowiem arbitralnie sam decydował o przebiegu granic wtrącając się nawet w szczegóły³⁶. Że niewiele a raczej nic z tych prób nie wyszło, to oczywiście wiadomo. Paradoksalnie nie tylko Klement Gottwaldt, ale też Edward Beneš (przynajmniej dopóki funkcjonował w życiu politycznym) miał bardzo dobre stosunki z dygnitarzami ówczesnego ZSRR. Może nie tyle z samym Stalinem ale np. z Ławrientijem Berią na pewno. Nie można zapominać, że to właśnie nie kto inny jak Beneš, poprzez osobę Berii podsunął Stalinowi dokumenty o rzekomym spisku Tuchaczewskiego. Węć zasługi u dyktatora posiadał...

Faktem jest, że kolejne ekipy rządzące PRL-u nie chciały podpisać traktatu o przyjaźni i dobrym sąsiedztwie właśnie z Czechosłowacją. Powodem była bezprzekładna agresja i cyniczne zagarnięcie polskiego obszaru narodowego. ZSRR zmusił w końcu w roku 1958 Władysława Gomułkę i jego ekipę do podpisania tego wysoce niekorzystnego dla Polski traktatu, który sankcjonował *de iure* czechosłowackie zabory oraz agresję. Tu jednak

trzeba przypomnieć, że traktat ten zawarto na lat pięćdziesiąt i między Polską a Czechosłowacją... Tymczasem pięćdziesiąt lat upłynęło w 2008 roku, a Czechosłowacja przestała istnieć. Sprawa więc jest otwarta...

Oczywiście dziś po wejściu w życie traktatu z Schengen granice również między zainteresowanymi państwami są otwarte, ponadto Polska, Słowacja, Czechy i Węgry blisko z sobą współpracują w ramach Unii Europejskiej, jak również Grupy Wyszehradzkiej. Jest to bardzo optymistyczna sytuacja. Dalsza szybka integracja w ramach UE, jeżeli w wariacie optymistycznym nastąpi, może i powinna zniwelować i załagodzić zaszłości i krzywdy. Jednak powinno i musi paść co najmniej słowo „przepraszam” ze strony Republiki Czeskiej za zbrodnie ludobójstwa w okresie wojny siedmiodniowej... Pytaniem otwartym pozostaje też sprawa zawarcia nowego sprawiedliwego traktatu granicznego.

1 M.K. Kamiński: Konflikt Polsko-Czeski 1918-1921. Nestor, Warszawa 2001, s.74.

2 T. Janowicz: Studium historyczno-politologiczne. Wojna o Śląsk Cieszyński. Wyd. Antyk 2010, s. 43.

3 E. Januła: Bitwa warszawska. Cud czy chłodna kalkulacja. „Dziś” nr 4/1999.

4 J. Chlebowczyk: Nad Olzą. Wyd. Śląsk, Katowice 197, s. 123 i nast.

5 W. Witos: Wystąpienie w Sejmie RP. 24 wrzesień 1920. Dziennik Sejmu RP. Październik 1920 r.

6 Por. M. Turlejski. Rok przed klęską. MON, Warszawa 1966, s. 246 i nast.

7 www.Orawa.pl. Wejście 06.07.2012.

8 R. Kantor: Między identyfikacją narodową i regionalną. Przypadek Polskiej Orawy. Studia Etnologiczne i Antropologiczne, t. I. Warszawa 1977, s. 149 i nast.

9 Rocznik Orawski 1967. Zubrzyca Górna 1967.

10 T. Janowicz: Op. cit.

11 Spisz Orawa i Ziemia Czadecka w świetle stosunków etnicznych i przeszłości dziejowej. Kraków 1939, s.44 i nast.

12 Szerzej zob. E. Januła: Agresorów było trzech. „Przegląd” nr 26/2003.

13 www.Spisz.pl. Wejście 06.07.2012.

14 Szerzej zob. M. Sobczyński: Kształtowanie się karpacckich granic Polski (X-XX w.). Wyd. Łódzkie, Łódź 1983, s. 45-89.

15 Z. Sobierajski: Atlas gwar spiskich na terenie Polski i Czechosłowacji, t.1-4. Poznań 1966, s.78 i nast.

16 Spisz Orawa i Ziemia Czadecka..., op. cit.

17 J.M. Roszkowski: Rola kościoła na Spiszu i Orawie w podtrzymaniu polskości oraz słowakizacji. Spisz i Orawa w 75. rocznicę powrotu do Polski północnych części obu ziem. Pod red. T.M. Trajdosa. Kraków 1955, s. 24-37.

18 J. Radziszewska: Studia spiskie. Wyd. UŚ, Katowice 1985, s. 14 i nast.

19 Ibidem, s. 87.

20 Spisz Orawa i Ziemia Czadecka..., op. cit.

21 Szerzej zob. M. Gotkiewicz: Ruchy migracyjne polskich górali po południowej stronie Beskidu. Folia Geographica. Vol. 2. Warszawa 1969, s. 5-54.

22 M. Sobczyński: Op. cit., s. 146-154.

23 Ibidem, s. 158.

24 E. Januła: Agresorów było dwóch..., op. cit.

25 Ibidem. Szerzej zob. J. Fridl: Op. cit..., s. 34 i nast.

26 Spisz Orawa i Ziemia Czadecka..., op. cit..., s. 67-71.

27 J.M. Roszkowski..., op. cit., s. 34-39.

28 Zob. Wyniki sumarycznego Spisu Powszechnego. GUS, Warszawa 2001, t.4, s. 234 i nast.

29 J. Komocki, M. Skawiński: Problemy etniczności a narodowości na przykładzie Spiszu. Terra Sceptusiensiens. Stan badań nad dziejami Spiszu. Pod red. R. Gładkiewicz i M. Homzy. Lewocza-Wrocław 2003, s.707-716.

30 Ibidem, s. 721-723.

31 Ibidem, s. 721-724.

32 Ibidem, s. 724-725.

33 Ibidem, s. 726.

34 Spisz Orawa i Ziemia Czadecka..., op. cit., s. 72-73.

35 H. Minc: Pamiętniki. Żurich 1977, s. 256 i nast.

36 N.S. Kruszczyk: Memory. T.I. N.Y 1979, p. 179-181.

„Powrót Skarbińskich”. Odsłonięcie tablicy pamiątkowej w Będzinie



31 marca 2014 r. w I Liceum Ogólnokształcącym im. Mikołaja Kopernika w Będzinie odbyła się uroczystość odsłonięcia tablicy poświęconej przemysłowcowi i społecznikowi – Stanisławowi Marianowi Skarbińskiemu (1856-1925). Przez wiele lat był on m.in. prezesem Rady Opiekunów 7-klasowej Szkoły Handlowej Zgromadzenia Kupców w Będzinie (obecny „Kopernik”) oraz Grodzieckiego Towarzystwa Kopalni Węgla i Zakładów Przemysłowych. Jego osoba związana była również z Krakowem, a to dlatego,



iz należał on do grona współzałożycieli ówczesnej Akademii Górniczej w tymże mieście. Dzisiaj jest to Akademia Górniczo-Hutnicza. W 1923 r. za zasługi dla uczelni otrzymał doktorat honoris causa. Rok później został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Polonia Restituta. Na uroczystości, oprócz reprezentacji władz powiatu, miasta oraz liceum, obecni byli również przedstawiciele: Wyższej Szkoły Biznesu w Dąbrowie Górniczej, Muzeum w Sosnowcu, Muzeum Miejskiego „Szttygarka” w Dąbrowie Górniczej, Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze, Towarzystwa Przyjaciół Grodzka, Towarzystwa Przyjaciół Będzina, Forum Dla Zagłębia Dąbrowskiego oraz Stowarzyszenia Miłośników Historii Szczekocin i Okolic. Najważniejszym jednak gościem była dr inż. Dorota Starościak, potomkini rodziny Skarbińskich (a także autorka książki poświęconej temuż rodowi), która wraz ze starostą będzińskim Krzysztofem Malczewskim dokonała symbolicznego odsłonięcia tablicy. Jej pomysłodawcą jest będziński historyk specjalizujący się w dziejach Zagłębia Dąbrowskiego, nauczyciel historii w I.L.O. Dariusz Majchrzak. Poświęcenia tablicy dokonał proboszcz

parafii św. Trójcy w Będzinie – ks. Andrzej Stępień. Po uroczystości miało miejsce seminarium naukowe, którego tematyka związana była z przedsiębiorcami i społecznikami w historii Zagłębia Dąbrowskiego. Ostatnim punktem spotkania była interesująca debata uczniów będzińskiego liceum, przygotowana pod kierunkiem nauczyciela historii Grażyny Szewczyk. Dotyczyła ona kwestii tożsamości zagłębiowskiej i związanych z nią zagadnień. Organizatorami uroczystości było I.L.O. im. M. Kopernika w Będzinie oraz Wyższa Szkoła Biznesu w Dąbrowie Górniczej. Pod koniec 2013 r. Rada Miejska Będzina nadała placowi przy ul. Słowackiego, przy filii Ośrodka Kultury w Będzinie–Grodzcu patrona w osobie rodziny Skarbińskich.

D.M.



Z wielkim smutkiem i ogromnym żalem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci
naszego Współpracownika i Autora

Jacka Chomicza

Rodzinie, Bliskim i Przyjaciółom
wyrazy głębokiego współczucia składa
redakcja „Nowego Zagłębia”

Orator – czyli mówca

Słowo OJCZYŻNA nabrało w ostatnim czasie innego znaczenia, niż miało jeszcze całkiem niedawno. Problemy wschodnich sąsiadów nazbyt przypominają osamotnienie, jakie stało się udziałem Polski w pamiętnym wrześniu. Bynajmniej nie takiego kontekstu spodziewali się organizatorzy Święta Języka Ojczystego w Zespole Szkół Ponadgimnazjalnych im. Jana Pawła II w Jaworznie. To miała być po prostu zabawa, aktywizacja uczniów w dzieło troski o język ojczysty, który troski nieustannie potrzebuje. Ulega przecież wpływom naleciałości języków obcych, które szarogęsą się na witrynach sklepowych, w nazwach konkursów, „polskich”, a raczej polskojęzycznych gazet. Zubożają go sms-y, tweety, spoty, spotify, playlisty, briefingi, shopy, szopingi, konsensusy, lapsusy i inne pięknie brzmiące w cudzoziemskim języku słowa.

Zatem Dzień Języka Ojczystego przydałby się bynajmniej nie raz w roku, ale chociaż raz w miesiącu.

Na „Górcę” święto języka ojczystego wypadło akurat w święto wiosny, czyli Dzień Wagarowicza. Na szczęście astronomowie ustalili, że wiosna przyszła wcześniej, więc uczniowie ze zrozumieniem przyjęli sugestię i do szkoły... przyszli. Z ochotą wzięli udział w różnorodnych konkursach językowych – najpierw w klasach, gdzie wykazywali się umiejętnością poprawnego pod względem gramatycznym wypowiedzianego na piśmie. Nieco później popisali się znajomością polskich przysłów. I tu szok. Znali naprawdę ogromną ilość. W konwencji teleturnieju „Jeden z dziesięciu” walczyli do zwycięstwa. Prowadziła konkurs pani Renata Witek (bibliotekarka i rusycystka) i ona, w sobie tylko znany sposób – włączając tajemne moce

matematyczno – logiczno – dedukcyjno – indukcyjne ustaliła zwycięzcę.

Wreszcie ogłoszone hucznie – jaworznickie zmagania o tytuł mistrza oracji. Niby konkurs prosty, łatwy i przyjemny. Bo cóż może być łatwiejszego od spełnienia prostego polecenia: przeczytaj i opowiedz. Startować mógł każdy – mały, duży, młody, starszy – byle odczytany i wygadany. Na niemal stutysięczne miasto frekwencja powinna być taka, że przed szkołą „na górce” kolejka winna się ustawić jak... stąd do tamtąd. Organizatorzy przy tym zaczęli chętnych atrakcyjnymi nagrodami. Patronat objął sam Pan Prezydent Paweł Silbert. Zachęcały media: Moje Jaworzno, MłodeK, nawet sosnowieckie „Nowe Zagłębie”. Tymczasem pojawiło się sześćoro młodzików: Magdalena Szyndler, Sara Ślęczkowska, Kinga Koźbiał, Anna Palka, (pod opieką p. Anety Grabskiej) oraz Wiktor Chwast i Adrian Żak (pod opieką p. Joanny Bednarek). Na szczęście – pięknych, ambitnych i utalentowanych. Jednak zamiast opowiadać o przeczytanych przez siebie utworach literatury polskiej – zaczęli deklamować.

– Oj, nie o to chodziło – zaprotestował organizator i pomysłodawca konkursu, Z. Adamczyk i zaczął zadawać pytania wykonawcom.

To się niespecjalnie spodobało, bo jakże tak? Zrobili swoje, a tu jeszcze jakiś egzamin? Jednak znalazła się mówczyni (żeby nie używać łacińskiego słowa orator), która sprostała oczekiwaniom. Wiktor! I tak zwyciężyła – Wiktor Chwast.

Jury w składzie: naczelnik wydziału Edukacji, Kultury i Sportu UM Anita Marcisz i wspomniany już pomysłodawca konkursu nie musiało długo debatować, chociaż Wiktor miała mocnego rywala w koleżkę ze szkoły, Adrianę Żak. Błysnęła formą aktorską, lecz nieco pogubił się w wymysłowej przez siebie prezentacji.

Organizatorzy nie mają wątpliwości, że warto pokusić się o kontynuację, wszak nie samym chlebem człowiek żyje – a mowa jest złotem. A czytać książki trzeba – niekoniecznie nawet papierowe. Niechby e-booki – z jednym wyszła Wiktor.

Z. Adamczyk

PROJEKT 4.0

Najsłynniejszy czterdziestolatek Polski, inżynier Karwowski, gdy mu „minęło” wpadł w depresję. Wojtek Knapik zaprosił na piwo: Skrzyknęliśmy się z Radkiem i Irkiem i stwierdziliśmy, że dochodzimy wszyscy czterdziestki i trzeba nawojować trochę. Reszta jakoś tak naturalnie się skleiła. Tak powstał Projekt 4.0. I jak to w Polsce – prowizorki są najefektywniejsze. Miał być jeden koncertik jubileuszowy – 18 maja 2013 zespół zadebiutował na koncercie w Jazz Club Muzeum w Jaworznie.

*To jest to, czego nikt się nie spodziewał/
Tak jak brzozy na trasie tupolewa/Mamy tą energię, jak pocisk powietrze-ziemia/Mamy to coś, czego inny projekt nie ma/Olej uprzedzenia że RAP to trzecia liga...*



dzenia że RAP to trzecia liga...

Publiczność została zaskoczona brzmieniem i pomysłami, bowiem melodyjność wspomagana dynamiką utworów pokazała oryginalność Projektu. Natychmiast po koncercie zespół otrzymał kilka propozycji koncertowych, między innymi na dużej scenie na Festiwalu Energii u boku Lady Pank, Totentantz i LemOn. Zagrali na mistrzostwach świata w sztukach walk i pozyskali fanów w Kazachstanie. Od maja do listopada zespół wystąpił na 12 imprezach muzycznych w klubach, plenerach, na małych i dużych scenach.

Po pół roku działalności zespół nagrał swój pierwszy materiał – EP „Czarne Lustra”.

Bo to/P jak niesamowity Projekt/R jak rytas – w każdej osobie/O jak orgazm akustyczny/I jak język elastyczny/E jak energia skumulowana/K jak krytyka – mile widziana/T jak to jest to co robimy/Rock i rap, style dziś łączymy.

W marcu tego roku zagrali w jaworznickim Teatrze Sztuk oraz w katowickim klubie Gugalander – Emergenza. W maju powtórka – raz w Jaworznie, raz w Katowicach.

W rodzinnym mieście PROJEKT 4.0 wyprzedaje koncerty i ma status kultowego.

Pochodzący z Jaworzna zespół jest mieszan-





ką osobowości i fascynacji różnymi stylami muzycznymi. Muzyka zawiera elementy rocka, popu, jazzu, funky i rapu. Inspirowana jest także pop-rockiem lat 80. To połączenie stylów stało się możliwe dzięki ekipie ludzi, których wiedza muzyczna przenika się z doświadczeniem scenicznym. Zespół jest otwarty na eksperymenty brzmieniowe i łączenie stylów.

Więc zamiast biadać – grają z nadzieją, że wszystko przed nimi.

I choćbyś wciąż upadał na kolana – nie bój się wstać/Wśród nienawiści, bólu, wszystkich trudów nie jesteś tu sam/Gdy staniesz nad przepaścią, wiedz nie możesz w nią wpaść/Zatrzymaj się na chwilę – przecie jeszcze masz czas.

Czas przecież zależy w bardzo dużej mierze od człowieka, od jego przyjaciół i bliskich. Wydłuża się radośnie, gdy są plany na następny dzień, miesiąc, lata, bo przecież nie ma czasu na to, by czasu nie było. Lub znika, przecieka między palcami, gdy ktoś nie potrafi go uszanować. Oni potrafią:

Kamila Kurzeja – śpiew. Kamila ma 155 cm wzrostu, tyle co Lady Gaga.

Wojciech P. Knapik – gitara, najstarszy członek zespołu (41 lat) więc lider, prócz tego przygotowuje projekty graficzne zespołu, bo umie, pisze też teksty (choć nie umie)

Radek Bizub – bas

Irek Kurnik – perkusja. Większość swojego życia mieszkał w Grecji. Mówi płynnie w tym języku.

Tomek Pieprzny – klawisze.

Grzegorz „Wave” Wawryn – wokół. Jest najmłodszy, bo ma 22 lata. Miał dołączyć do zespołu na jeden koncert i na wstawkę 30 sekund, ale tak się wszystkim spodobało, że został na stałe. Teksty raperskie są jego autorstwa.

Bartek Banasik – saksofon

Są takie chwile, że padasz na kolana/Każdy w sobie przeżywa swój dramat/Po prostu weź większy zamach/Uderz w stół i zacznij działać!

Więcej informacji wraz z próbką muzyki: www.projekt40.pl

Z. Adamczyk

Dąbrowska Rodzinka.pl

Kto z nas nie kojarzy popularnego serialu „Rodzinka.pl”, który szturmem zdobył sympatię wśród młodszej i starszej publiczności. Inspirację z serialu przedstawiającego perypetie pewnej wielodzietnej rodziny postanowili zaczerpnąć samorządowcy z Dąbrowy Górniczej.

Program „Dąbrowska Rodzinka.pl” powstał z inicjatywy władz miasta, które ostatnio kładą duży nacisk na politykę prorodziną. Nie chodzi tylko o niż demograficzny, który powoli z abstrakcji przeradza się w rzeczywistość, ale przede wszystkim o zacieśnianie więzi rodzinnych i sprawianie sobie małych przyjemności. W programie, który wystartował 1 stycznia tego roku, mogą uczestniczyć rodziny, które mają przynajmniej dwoje dzieci, a także rodziny zastępcze oraz rodziny wychowujące niepełnosprawne dziecko. Maksymalny wiek dzieci to 18 lub 25 lat w przypadku osób uczących się albo studiujących. Status materialny rodziny wyjątkowo nie ma w tym przypadku żadnego znaczenia, ponieważ nie jest to program skierowany do osób dotkniętych ubóstwem. Z dobrodziejstw „Dąbrowskiej Rodzinki.pl” może skorzystać każda wielodzietna rodzina mieszkająca na terenie Dąbrowy Górniczej. Pod hasłem „dobrodziejstw” kryją się wszelkiego rodzaju ulgi udzielane przez stowarzyszenia i instytucje współpracujące przy opisywanej inicjatywie. Są to m.in. pizzerie, Aquapark Nemo, domy kultury oraz kluby miejskie, prywatne przedszkola, szkoły językowe, gabinety kosmetyczne i wiele innych. Przy korzystaniu z usług danej instytucji członkowie rodziny otrzymują rabat w wysokości od kilku do kilkudziesięciu, a nawet 100 procent wartości. Oczywiście, miejsca biorące udział w projekcie są specjalnie oznaczone, by ułatwić rodzinom ich odnalezienie.

Potwierdzeniem uprawnień do korzystania z tego rodzaju bonusu jest karta „Dąbrowska Rodzinka.pl” lub „Dąbrowska Rodzinka.pl PLUS”, którą wydaje Urząd Miejski po uprzednim złożeniu wniosku przez jednego z rodziców. Karta z PLUSEM należy się rodzinom, które wychowują więcej niż dwoje dzieci lub dziecko niepełnosprawne i daje prawo do większych zniżek w wybranych punktach. Karta jest wydawana nieodpłatnie w czasie nie dłuższym niż miesiąc. Warto zaznaczyć, że inicjatywa dąbrowskich władz, oprócz promocji lokalnych



przedsiębiorstw, skupia się przede wszystkim na rozwoju kulturalnym i sportowym zarówno dorosłych, jak i dzieci. Ulgi, jakich udzielają ujęte w spisie instytucje, mają zachęcić do skorzystania z oferty edukacyjnej i rozrywkowej, jaką oferuje nam Dąbrowa. Efektem takich działań ma być w dłuższej perspektywie wyrównywanie szans rozwojowych dzieci i młodzieży oraz promocja modelu rodziny wielodzietnej. Władze miasta szacują, że na terenie Dąbrowy Górniczej zamieszkuje około 400 rodzin, które wychowują co najmniej troje dzieci, 3,5 tysiąca rodzin z dwojgiem dzieci oraz 151 rodzin zastępczych. Jest to znaczna grupa docelowa, do której skierowany jest program. Nie można jednak zapomnieć, że na opisywanym projekcie korzystają nie tylko mieszkańcy, ale również przedsiębiorstwa, które podjęły współpracę z władzami miasta. Dzięki „Dąbrowskiej Rodzinie.pl” wiele firm może zaprezentować swoje usługi i zyskać stałych klientów. Lista partnerów programu ma się stopniowo powiększać, a oferta wzbogacać.

Dąbrowa Górnicza nie jest prekursorem w tego typu działaniach. W kilkunastu miastach regionu działają już podobne programy. W Sosnowcu od jakiegoś czasu rodziny z dwójką dzieci korzystają z udogodnień w ramach projektu „Mniej więcej”, natomiast w Jaworznie karta pod nazwą „Rodzina wielodzietna” daje prawo do darmowych przejazdów komunikacją miejską w weekendy. Wszystkie wspomniane inicjatywy mają bardzo prosty i oczywisty cel: zachęcić młode małżeństwa do posiadania więcej niż jednego dziecka. Sposób jest nienachalny i ciekawy jednocześnie, jednak czy przyniesie oczekiwane efekty? O tym z pewnością przekonamy się za kilka lat, obserwując kolejny wyż lub niż demograficzny.

Paulina Budna



Miejska i Powiatowa
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w Będzinie

Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna im. Stefana Żeromskiego w Będzinie powstała w 1946 roku na bazie ocalałych zbiorów biblioteki „Wiedza”. Placówka stale wzbogaca warsztat regionalisty, który obok bibliografii regionalnych, katalogów i kartotek regionalnych, dokumentów życia społecznego i czasopism stanowi współpraca z innymi bibliotekami i instytucjami kultury, organizacjami społeczny-

ko wiedzę encyklopedyczną, bibliotekarze będzińskiej biblioteki tworzą warunki do spotkań z przedstawicielami różnych pokoleń, do dziecięcej samodzielności, aktywności i działań twórczych w poznawaniu „małej ojczyzny”. W nowym cyklu zajęć „Obraz Zagłębia Dąbrowskiego w legendach i bajkach”, adresowanym do młod-

szych dzieci, uczestnicy zajęć zapoznają się z podaniami i legendami zagłębiowskimi, wskazując najatrakcyjniejsze ich zdaniem obiekty architektury i miejsca historyczne oraz wykonują własne ilustracje. Wszystko po to, by przygotować się do wycieczek będących bezpośrednim spotkaniem z historią miejscowości, pomnikami

przyrody i całym bogactwem środowiska przyrodniczego. Z myślą o bibliotekarzach i środowisku lokalnych twórców, biblioteka w 2009 roku poświęciła Forum Bibliotekarzy Samorządowych Powiatu Będziń-

skiego zagadnieniu „Biblioteki publiczne miejscem zdobywania wiedzy i integracji społeczno-kulturalnej”, którego efektem jest budowa trwałej sieci współpracy pomiędzy twórczymi ośrodkami informacji i kultury.

Ważnym elementem edukacji regionalnej jest organizacja spotkań z ludźmi związanymi z miastem i regionem. Są to spotkania z animatorami kultury, poetami i autorami regionu, piszącymi zarówno dla dorosłych jak i młodych czytelników: Władysław Śliwoń, Janina Barbara Sokołowska, Dariusz Rekosz, Krystyna Borkowska, Bolesław Ciepiela, Aleksandra Bekus, Emilia Nowak. Spotkania połączone z promocjami i wieczorami poetyckimi to szeroko pojęta forma promocji regionalizmu, służąca ocaleniu od zapomnienia przeszłości i teraźniejszości, podejmowana z myślą o kolejnych pokoleniach.



Forum Bibliotekarzy Samorządowych Powiatu Będzińskiego, 2009 r. Fot. MiBPB w Będzinie

mi i towarzystwami regionalnymi (w 2013 roku biblioteka współpracowała z 23 organizacjami pozarządowymi). Podstawowa działalność to gromadzenie zbiorów regionalnych, zwłaszcza o charakterze lokalnym, tj. książek i czasopism. Jednak coraz większym zainteresowaniem cieszy się powstała w 2006 roku Pracownia Dokumentów Życia Społecznego, która kompletuje materiały związane z przeszłością regionu, jego aktualnym stanem, rozwojem, planami na przyszłość. Obszerny materiał stanowi źródło dokumentujące rozwój regionu i świadczy o dziedzictwie intelektualnym miasta. W 2013 roku ze zbiorów skorzystało 202 osób. Po materiały sięgają głównie osoby prowadzące badania naukowe, piszące prace licencjackie i magisterskie oraz regionaliści, którzy pragną zdobyć lub pogłębić wiedzę z zagadnień, których nie poruszają dotychczas opublikowane wydawnictwa. To także warsztat informacyjny dla bibliotekarzy i nauczycieli przygotowujących program z edukacji regionalnej. Ponieważ uczyć o regionie nie można przekazując tyl-



Spotkanie z Krystyną Borkowską - Filia Nr 4 MiBPB w Będzinie, luty 2014 r. Fot. MiBPB w Będzinie

X edycja Sosnowieckich Dni Literatury. Nasz patronat medialny

Miejska Biblioteka Publiczna im. Gustawa Daniłowskiego w Sosnowcu już po raz dziesiąty organizuje Sosnowieckie Dni Literatury. W tym roku impreza odbędzie się w dniach 6 maja – 4 czerwca 2014. Sosnowieckie Dni Literatury to jedno z najważniejszych wydarzeń literackich w regionie śląsko-zagłębiowskim promujące czytelnictwo polskiej literatury i aktywne uczestnictwo w kulturze literackiej. W programie przewidziano różnorodne propozycje adresowane do szerokiego grona odbiorców m. in.: przegląd filmów dokumentalnych poświęconych sylwetkom Skamandrytów, Poetycki Hyde Park w centrum miasta, koncert Doroty Miśkiewicz i zespołu Kwadrofo-



nik – „Lutosławski Tuwim. Piosenki nie tylko dla dzieci”, imprezę artystyczną dla najaktywniejszych młodych czytelników – „Bibliożerca Roku”, wykłady historycznoliterackie, spotkania autorskie i warsztaty twórczego pisania. Tegoroczna edycja imprezy (jak i poprzednie) powstaje przy współudziale Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.



ZAPROSZENIE

VI Jarmark Rzemiosła i Rękodzieła

Muzeum Zagłębia w Będzinie zaprasza na VI Jarmark Rzemiosła i Rękodzieła, który po raz kolejny zagości w parku przy Pałacu Mieroszewskich w Będzinie w ostatnią niedzielę czerwca. Tak jak w latach ubiegłych, w trakcie imprezy będzie można oglądać i kupować różnorodne wyroby rękodzielnicze i rzemieślnicze tworzone przez ludzi z pasją oraz produkty spożywcze wyprodukowane bez sztucznych dodatków. Organizatorzy zapowiadają również bezpłatne warsztaty rękodzielnicze, ciekawe wystawy tematyczne i bogaty program artystyczny w wykonaniu zespołów folklorystycznych, kapel ludowych oraz zespołów folkowych. Jarmark odbędzie się 29 czerwca 2014 r. w godzinach od 11.00 do 20.00. Patronem medialnym imprezy jest „Nowe Zagłębie”.

D.S-GGala

Jarmark Rzemiosła i Rękodzieła, Będzin 2012, warsztaty z lubu. Fot. B. Gawlik



Spotkanie Biznesowe



Prezydent Miasta Sosnowca Kazimierz Górski zaprosił przedstawicieli sosnowieckich firm na spotkanie biznesowe, które odbyło się 4 marca 2014 r. o godz. 10.00 w Sosnowieckim Parku Naukowo-Technologicznym, przy ul. Wojska Polskiego 8 w Sosnowcu.

Spotkanie poświęcone było sprawom bliskim przedsiębiorcom oraz planom rozwoju gospodarczego Sosnowca w nowej perspektywie środków unijnych. Podczas spotkania możliwa była wymiana poglądów na temat planów polityki inwestycyjnej Sosnowca oraz oczekiwań mieszkańców wobec strategii działań naszego Miasta. Ponadto uczestnicy mieli okazję skonsultowania się z Naczelnikami Urzędu Miejskiego w Sosnowcu oraz ekspertami z instytucji otoczenia biznesu.

Podczas spotkania, oprócz Prezydenta Kazimierza Górskiego, który przedstawił plany rozwoju gospodarczego Sosnowca, głos zabrali również pan Dariusz Winek (Bank BGŻ), pan Damian Kocot (Fundacja Fortis), pani Monika Zajac (Sosnowiecki Park Naukowo-Technologiczny) oraz pan Bartłomiej Leszczyński (Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna).

Głównym partnerem spotkania było Stowarzyszenie Związek Zagłębiowski. Partnerami byli również Bank BGŻ, Agencja Rozwoju Lokalnego, Sosnowiecki Park Naukowo-Technologiczny, Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna oraz Fundacja Fortis.



Ukazuje się od 15 września 1980 roku

ISSN 1505-6724

WOLNY Związkowiec

Pismo
Niezależnego
Samorządowego
Związku
Zawodowego

Solidarność

Nr 2/2014 (646)

HUTA KATOWICE

28 stycznia 2014

„Wolny Związkowiec” to pismo reprezentujące Międzyszakładową Organizację Związkową NSZZ „Solidarność” przy ArcelorMittal Poland S.A. w Dąbrowie Górniczej. Ukazuje się od 15 września 1980 roku. Wydawane było najpierw jako pismo Międzyszakładowego Komitetu Robotniczego, a następnie Międzyszakładowej Komisji Założycielskiej NSZZ „Solidarność” przy Hucie „Katowice”. Przed 13 grudnia 1981 roku ukazało się legalnie 68 numerów w nakładzie 15-50 tysięcy egzemplarzy. Czasopismo drukowane było na miejscu, w zakładzie poligrafii na terenie Huty „Katowice”. Pomysłodawcą jego tytułu był Kazimierz Świtoń. Pierwszym redaktorem naczelnym „Wolnego Związkowca” był Zbigniew Kupisiewicz, następnie od 31 stycznia 1981 roku Jacek Cieśliński. Obok informowania o działaniach

„Solidarności” w kraju i w regionie pismo zajmowało się także bieżącymi sprawami społecznymi, politycznymi i gospodarczymi. Publikowano również rysunki satyryczne, w tym słynną karykaturę Leonida Breżniewa jako niedźwiedzia. Do grudnia 1981 roku kolportowane było w zakładach wchodzących w skład Kombinatu Metalurgicznego Huty „Katowice” oraz w zakładach z nim współpracujących na terenie całego kraju. Po wprowadzeniu stanu wojennego do 23 grudnia 1981 roku było pismem strajkowym. W okresie strajku wydano 31 numerów w liczbie 1-2 tysięcy egzemplarzy. Pierwszy numer podziemny ukazał się z datą 12 stycznia 1982 roku, redagowany i drukowany tzw. metodą na szkle przez Andrzeja Kisieleńskiego i Jerzego Milanowicza. Ukazało się około 100 numerów podziemnych

w formacie A4 i A5: nakład wynosił 1-4 tysięcy egzemplarzy o objętości dwóch stron. Drukiem zajmowały się wówczas niezależne grupy, które nie utrzymywały ze sobą kontaktu. W latach 1984-1988 pismo ukazywało się nieregularnie z powodu aresztowań i stałej inwigilacji. Od września 1988 do kwietnia 1989 wydano 7 numerów – redakcją kierował Marek Nowicki we współpracy z Andrzejem Kisieleńskim i Krystyną Staniszewską. Redakcją kierowali następnie Aleksander Gągalski, Mirosław Wróbel, Sławomir Biszta (1991-1993) Ryszard Konieczny (1993-1994). Od 1994 do 1995 roku redaktorem naczelnym „Nowego Związkowca” był ponownie Zbigniew Kupisiewicz, następnie Paweł Rosicki (1995-1999) i Jacek Zommer (1999-2012). Obecnie czasopismo redaguje Agnieszka Segda. „Wolny Związkowiec” kontynuuje swoją tradycję czasopisma związkowego. Jego tematyka dotyczy przede wszystkim bieżących spraw pracowników ArcelorMittal Poland S.A., jak również wydarzeń na arenie ogólnopolskiej, które wiążą się z interesami pracowniczymi.

Nakład pisma wynosi 2500 egzemplarzy. Jest także dostępne w internecie na stronie <http://www.solidarnosc.mittal.net/pl/wolny-zwiazkowiec.htm>

(red.)

Ks. Eligiusz Dymowski

Poetów i duchownych wiele ze sobą łączy. Łączy ich duchowa wrażliwość i głęboka refleksja nad rzeczywistością: nad tą przyziemną oraz nad tą transcendentną, zazwyczaj niemożliwą do objęcia zmysłami. Jednych i drugich może wiele dzielić – przede wszystkim światopogląd i stosunek do sacrum. Poeta świecki może szukać owego sacrum w drugim człowieku albo wcale się na nim nie skupiać, nie odczuwając nawet jego potrzeby. Jego działania uświęca sama sztuka, którą uprawia. A poeta-duchowny? Czy człowiek głęboko przeżywający wartości religijne, którym poświęcił swoje życie będzie miał potrzebę dalszego poszukiwania tego, co najbardziej wzniosłe lub konieczne do przekazania? Tworzenie poezji, która będzie dotyczyć spraw wykraczających poza sferę religijną i doskonale odczytywalnej zarówno przez czytelników świeckich, jak i duchownych nie jest zadaniem łatwym, toteż udaje się tylko nielicznym. Należy do nich niewątpliwie ks. Eligiusz Dymowski, franciszkanin i "poeta w sutannie", który 11 lutego gościł w Katolickim Gimnazjum i Katolickim Liceum Ogólnokształcącym SPSK w Zawierciu. Spotkanie zostało zorganizowane z inicjatywy tamtejszej polonistki, dr Aleksandry Cios-Goldsztajn.

Ksiądz Dymowski urodził się w 1965 roku w Sannikach na Mazowszu, niedaleko Gostynia. Jest wykładowcą teologii pastoralnej; studiował w Instytucie Teologicznym Księży Misjonarzy w Krakowie, na Uniwersytecie Katolickim w Lyonie, na Uniwersytecie Laterańskim w Rzymie oraz w Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie, gdzie się doktoryzował. W latach 1999-2005 był rektorem Wyższego Seminarium Duchownego OO. Francisz-



Od lewej: Dyrektor Szkoły mgr Piotr Gawinek, ks. Eligiusz Dymowski, dr Aleksandra Cios-Goldsztajn, Bogdan Dworak

kanów w Krakowie-Bronowicach Wielkich, a obecnie pełni posługę proboszcza w tamtejszej parafii. Jako poeta opublikował dotychczas 13 tomików poezji i esejów, między innymi *Krople nadziei*, *Tęsknota do bezimienności*, *W poczekalni świata*, *Wędrowki z Nolis*, *Zerwane kartki kalendarza (Miniatury poetyckie prozą)*. Spotkanie współprowadził i słowo wstępne wygłosił znany zawierciański animator kultury Bogdan Dworak.

M.K.

20-lecie ZZ

Z okazji 20-lecia Związku Zagłębiowskiego 11 kwietnia w Muzeum w Sosnowcu odbyła się uroczysta gala jubileuszowa połączona z aukcją charytatywną. W trakcie aukcji wylicytowano obrazy na rzecz Zespołu Szkół Specjalnych nr 4 w Sosnowcu.



Fot. W. Skórka

50 lat gródkowskiej podstawówki

5 grudnia 2013 r. odbyła się uroczystość 50-lecia Szkoły Podstawowej w Gródkowie. Na to wydarzenie przybyło ponad 150 osób. Spotkały się trzy pokolenia: ci, którzy budowali tę placówkę, ci, którzy ją upiększali oraz ci, którzy uczyli, uczą w tej szkole, a także licznie zgromadzona młodzież. Gródków to wyjątkowa miejscowość. Należy do gminy Psary i parafii Grodziec. Gródkowska podstawówka jest starsza niż Gmina Psary (bo gminę utworzono w 1973 r.). Szkoła ma 50 lat, ale jej początki sięgają 1958 r., kiedy mieszkańcy postanowili mieć własną szkołę (bo poprzednio dzieci uczyły się w szkołach w Grodźcu i Psarach). 23 listopada 1958 r. w Klinkierni Gródków odbyło się zebranie mieszkańców. W zebraniu uczestniczyli: dyrektor Klinkierni – Józef Cebula, przewodniczący Gromadzkiej Rady w Psarach (do której należał Gródków) – Stanisław Banaś, sekretarz KP PZPR – Zygmunt Drogosz (mieszkaniec Gródkowa). Zebranie prowadził sołtys Gródkowa – Franciszek Sochacki. Ustalono, że będzie to Szkoła Tysiąclątka. Wybrano 10-osobowy Komitet Budowy Szkoły w składzie: Józef

Kowalik, Adam Sodo, Bolesław Ciepiela, Władysław Nikodem, Franciszek Sochacki, Władysław Błach, Czesław Sochacki, Władysław Hyla, Stanisław Samul, Jan Bochenek, Józef Cebula, Irena Jezierska, Władysław II Błach, Czesław Nikodem, Lucyna Śmiałkowska i Jan II Nikodem. Dziś po 55 latach żyją Józef Cebula i ja – piszący to wspomnienie. Pierwszym przewodniczącym Komitetu Budowy Szkoły był Alfred Migas. Praca Komitetu była żmudna, ale owocna (opisano to w książce pt. „Gródków. Historia i teraźniejszość”, 2003).

Pamiętam tamte czasy i tamtych ludzi. Pamiętam przekazanie szkoły do użytku podczas uroczystego spotkania w dniu 2 grudnia 1963 r. Wtedy pierwszym dyrektorem szkoły w Gródkowie był Marian Dłubak.

Wypada też przypomnieć, że w minionych latach dwukrotnie władze spoza Gródkowa czyniły starania, by zamknąć tę szkołę jako niepotrzebną z uwagi na małą ilość dzieci. Były „walki” i zmagania. Dziś to już historia. Szkoła istnieje. Kształcą się tutaj dzieci, osiągając bardzo dobre wyniki.

Wspominam długoletniego dyrektora tej szkoły Józefa Ledwocha, człowieka bardzo sympatycznego i nadzwyczaj pracowitego. Chylę czoła wobec osiągnięć kolejnej osoby, dyrektor Bożeny Wieczorek. To m.in. dzięki jej zabiegom i współpracy z Urzędem Gminy Psary i Radą Rodziców szkoła staje się coraz piękniejsza.

Na uroczystości jubileuszową przybyli m.in. poprzedni długoletni dyrektor tej placówki Józef Ledwoch, dawni najstarsi nauczyciele, proboszcz parafii św. Katarzyny w Grodźcu ks. Piotr Pilśniak, a także władze Gminy: wójt Tomasz Sadłoń, zastępca wójta Mirosław Rabsztyń, sekretarz Urzędu Gminy Mirella Barańska-Sorn, przewodniczący Rady Gminy Jacenty Kubica, a także Marian Kozieł – wiceprzewodniczący Rady Powiatu Będzińskiego.

Po przedstawieniu historii szkoły i jej osiągnięć w minionym 50-leciu (przez panią dyrektorkę Bożenę Wieczorek) piękny program artystyczny zaprezentowała młodzież szkolna. Były życzenia, upominki i wspomnienia. Minutą ciszy uczczono pamięć Zmarłych z Komitetu Budowy Szkoły, Komitetów Rodzicielskich, nauczycieli i uczniów.

Bolesław Ciepiela



Piękna (Sztuka, sztuka) i Bestia (id)

Efektu nadużywania psychoanalizy jako teorii literatury czy teorii sztuki zazwyczaj jest tekst mający raczej cechy groteski niż rozprawy naukowej, a sam żalosny autor staje się obiektem bezlitosnych zoilów tropiących nie twórców, lecz rzekomych recenzentów, nieodróżniających Levi Straussa od Claude'a Lévi-Straussa. Redukcjonizm i schematyzm psychoanalizy, stosowanej przez wiedeńskiego psychiatrę i kontynuatorów jego koncepcji, doprowadza często do interpretacji kuriozalnych lub zaskakujących, jak choćby spoglądanie (z ukosa) na kulturę popularną czy nawet masową przez pryzmat teorii Jacques'a Lacana (np. o motywie zombie w filmach klasy „B” Slavoj Žižek napisał: „Powrót umarłych jest znakiem zakłócenia symbolicznego rytmu, procesu symbolizowania; umarli powracają w roli poborców niespłaconego symbolicznego długu”).

Psychologia głębi potraktowana jako narzędzie hermeneutyki, stosowanie jej przez wytrawnych badaczy nie czyni szkód w ogrodzie sztuk; posłużenie się jej aparatem pojęciowym nawet przez laika może zniekształcić jedynie karykaturalnie wykrzywioną głębię sztuki i dotknąć jedynie sztukmistrzów powykręcanych jak wyegzorcyzmowany zewłok nieśmiertelnej idei.

Czasem warto ją stosować – gdy ma się do czynienia z wydarzeniem kulturalnym, którego struktura mieści się w garniturach pojęć teorii i nie ma powodu, aby go przyzwolicie nie ubrać, zwłaszcza, jeśli koncepcja jest powszechnie znana, nośna i nie wymaga używania jej w sposób rygorystyczny.

Takim zdarzeniem wydaje się być wernisaż wystawy fotografii Mariana Folgi – „Piękna i Bestia”, który rozpoczął się o godzinie 18.00 15 marca 2014 roku w sali widowiskowej Centrum Kultury „Teatr Sztuk”. Wszystkie efekty pracy wszechstronnego twórcy narzucały odbiorcy nie nachalnie, ale stanowczo kontekst freudyzmu i jungizmu.

Nie chodzi o sprowadzanie sztuki do psy-

chobiografii autora, budowanej na wyjściowej tezie Freuda o tworzeniu nieświadomym czy o szukanie popędowych uwarunkowań bohaterów zaprezentowanej etiudy filmowej i spektaklu. Oczywiście, takie działania byłyby w pełni uzasadnione i z pewnością przyniosłyby intrygujące rezultaty, ale to zadanie niebezpieczne, kontrowersyjne, a na pewno wykraczające poza ramy zwykłej recenzji.

Chodzi o proste skojarzenie związane ze sferą, na którą bezpośrednio oddziałuje twórczość Mariana Folgi. W języku Freuda to id – drapieżna bestia w każdym z nas.

Tak, reżyser przedstawienia ostro wbił się pazurem w „popędowy, nieosobowy biegun osobowości” odbiorców, prawdopodobnie wy-ciskając z nich czasem głęboko skrytą energię libidynalną. Dramatyczna muzyka oraz choreografia w sposób przeraźliwie mocny, może wręcz dla niektórych bolesny, wyzwalały tłumione emocje. Zarówno taniec grupowy „zwierząt czających się w ciemnościach podświadomości i nieświadomości”, jak nazwałem w myślach młode tancerki, jak i partie solowe oraz popisy par (szczególnie wirtuozeria aktorska Karoliny Narazińskiej występującej z Marianem Folgą w roli mrocznego, ale bardzo pociągającego demona) mogły obudzić w każdym silne odczucia i doprowadzić do oczyszczenia z nich. Taki stan jest przecież jedną z funkcji sztuki.

Poszukiwanie dyskursywności w tekście kultury, przygotowanym przez grupę DyeMotion jako dodatek do wystawy, jest – moim zdaniem – niepotrzebne. „Nieposkromiony chaos, nieodróżnicowany żywioł”, energia psychiczna to jedno z kluczy do twórczości Mariana Folgi, którego działania artystyczne są (nieco perwersyjnym) aktem ekspresji odwołującym się bezpośrednio do sfery emocjonalnej i popędowej człowieka. Na tym polega ich spójność, będąca przecież jednym z elementów tworzących wartość estetyczną.

(Dowodem dla sceptycznie nastawionych do takiej interpretacji może być oczywisty charakter końcowego popisu muzycznego na bębnach-beczach – atawistyczny, pierwotny, rytualny niemalże beat, wprowadzający w trans).

Prezentowana później etiuda filmowa „Woods” („Las”) olśniewa doskonałością zdjęć i perfekcyjną sztuką body paintingu i (podobnie jak w przypadku spektaklu) – nie wymaga eksplikacji. U mnie wywołała refleksję na temat bytu człowieka jako części świata przy-



rody, zagubienia w świecie cywilizacji, zdiwienia i gwałtownego odkrycia swojej cielesności, a nawet zwierzęcości oraz związków z naturą. A może wystarczy powiedzieć, że wyobraźnia znanego jaworznickiego artysty jest umocowana w myśleniu mitycznym i symbolicznym, a pojmowanie efektów jego pracy pozostawić odbiorcom, którzy są uprawnieni do swoich własnych przemyśleń.

Jeśli ktoś pragnąłby oprzeć je na konkretnym materiale, a nie znał dotychczas dokonania Mariana Folgi (w co trudno uwierzyć), miał okazję zapoznać się z nimi dzięki projekcji filmu „Sztuka ciała”, prezentującego imponujący zakres działań twórczych fascynujących artystę.

(Gratuluję dyrektorowi Młodzieżowego Domu Kultury w Jaworznie pracownika, który potrafi pogodzić pracę nauczyciela z tak intensywnym artystycznym rozwojem indywidualnym).

Dla uczestników wernisażu właściwą jego część – wystawa fotograficzna mogła się wydawać jedynie pointą wydarzenia, ale artyści dostarczyli odbiorcom tylu wrażeń, że lepiej jeszcze raz wybrać się do Teatru Sztuk i kontemplować zdjęcia bez pośpiechu i z chłodnym dystansem. (Ci, którzy nie byli na otwarciu, wiele stracili, ale mogą jeszcze podziwiać fotografie). Pamiętam przeczytaną przypadkiem relację z poprzedniego wernisażu – „Ciało sztuki”, który odbył się 21 kwietnia 2013 roku. Zgadzam się z autorką, która postawiła tezę o zakorzenieniu Mariana Folgi jako artysty-fotografa w tradycji – optical art. Zgadzam się również z myślą w zabawnym zakończeniu artykułu... i tym razem zabrakło bestii w znaczeniu dosłownym, czyli żywiołu męskiego, ale przecież to nie przeszkadza w rozpoznaniu czysto estetycznych walorów zdjęć.

Każdy obdarzony wrażliwością może wejść do baśniowego, archetypicznego świata sztuki Mariana Folgi. No, może potrzeba trochę odwagi, aby wkroczyć do tajemniczego podświadomego i nieświadomego...

Jacek Fidyk



10. rocznica działalności Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Sosnowcu



Sluchacze UTW. Fot. arch. UTW

Okrągłe rocznice skłaniają do refleksji i snucia wspomnień. W tym roku minie 10 lat od rozpoczęcia działalności UTW Sosnowiec w Uniwersytecie Śląskim (założonego jako filia UTW w Katowicach). Pierwszy Uniwersytet Trzeciego Wieku w świecie powstał we Francji w Tuluzie na Wydziale Prawa i Nauk Ekonomicznych. Założycielem był prof. Pierre Valas. Niemal równolegle do UTW w Tuluzie powstała podobna placówka w Warszawie, w październiku 1975 r., która została założona przez prof. dr n. med. Halinę Szwarz, kierownika zakładu gerontologii przy Centrum Medycznym Kształce-

Zbieramy grzyby. Fot. arch. UTW



W Parlamencie Europejskim. Fot. arch. UTW



nia Podyplomowego w Warszawie. Obecnie w Polsce istnieje 425 placówek UTW.

„Senior na UTW to ma fajne życie” – takie stwierdzenie padło z ust młodszej latorośli w naszej rodzinie. – Co Cię skłoniło do takiej wypowiedzi? Dlaczego tak myślisz? – pytam.

– To proste. Chodzisz na uniwersytet, a nie zdajesz egzaminów. Wstajesz o godzinie nieprzypojujących Cię do porządku. Jeździsz na wycieczki. Uczysz się języków. Komputer Ci nie straszny. A i dla zdrowia się pogimnastykujesz.

Kiedyś uczyłam się jak Ty teraz. Gdy-

bym była w Twoim wieku, być może myślałabym jak Ty. Ale Ty też pomyśl – jedno masz jak w banku. Wiesz co? To, że będziesz seniorem. Dlatego ciesz się, że jest w naszym mieście takie miejsce, gdzie możemy realizować nasze pasje – przyjazne i pożyteczne. To tutaj mamy możliwość słuchania wykładów o różnorodnej tematyce i możemy przenieść się myślami wyobraźni do Zanzibaru, Wenezueli, Indii, Azji, wejść na Kilimandżaro, Palmiry w Tadżykistanie, a może nawet zobaczyć największy diament w RPA.

Wiele się u nas działo.

Z ciekawością słuchaliśmy wykładu Pana Prof. K. Kłosińskiego, który „zmie-rzył” się z trzema tomami powieści o Ch. Greay’u, a prof. K. Wojtynek-Musik przedstawił nam charaktery hrabiego de Sade i Edith Piaf.

Nie możemy też pominąć innych wykładów:

– Medycznych – dotyczących udaru mózgu, cukrzycy, chorób jelita grubego, depresji komórek macierzystych, serca oraz medycyny komórkowej przekazanych nam przez dr Aleksandrę Niedzwiecki – pracującej w Kalifornii w Instytucie dr Rotha.

– Muzycznych – o Gerschwinie, Mille-rze, które prowadził wspaniały, pełen kultury i osobistego uroku 90-letni Andrzej Schmidt, były dziekan Akademii Muzycznej i kierownik Wydziału Jazzu w Katowi-



W Paryżu. Fot. arch. UTW

cach. Z kolei opowieści muzyczne „w krainie pizzy i belcanta” zaprezentował nam wybitny muzyk, kompozytor, piosenkarz dr Lucjan Wesołowski, który przyjechał do nas z Werony.

Musimy pamiętać także o młodzieży – ze Szkoły Muzycznej w Sosnowcu, LO Staszica, LO Plater, „Kiepurek” i o pa-

Opłatek na UTW. Fot. arch. UTW



Grupa gimnastyki rehabilitacyjnej. Fot. arch. UTW

rach tańczących, z którymi współpracujemy, realizując działalność wychowawczo-społeczno-kulturalną.

Co do wyjazdów turystyczno-integracyjnych to było ich wiele, tak krajowych i zagranicznych, że trudno wymienić wszystkie: do Paryża, Ukrainy, Finlandii, Drezna, Belgii, na Litwę, Łotwę, Słowację, do kopalni soli, węgla, na Jurę, do Krakowa, Wiśnicy, Kalwarii, w Góry Świętokrzyskie, Tatry, Beskidy. Trudno też uwierzyć,

ale zawsze była ładna pogoda, chociaż na niektórych kuligach nie zawsze był śnieg. Ale była za to muzyka i rozśpiewani górale.

Chcąc poszerzyć naszą wiedzę, „witamy” się od lat z komputerem, który nie „zije” na nas ogniem, gdyż jesteśmy otwarci na nowe doświadczenia, wszechstronne zainteresowania, chęć uczenia się, bo przecież ciekawość jest siłą napędową życia.

To jest jednak prawda: na UTW to mamy fajne życie!
(UTW)

Człowiek „Polityki” – Jan Bijak (1929-2014). In memoriam

Jan Bijak był trzecim kolejnym redaktorem naczelnym „Polityki” (pierwszym był S. Żółkiewski, drugim M. Rakowski; obecnym jest J. Baczyński). Urodził się 1 lipca 1929 r. w Łagiszy (dzisiaj dzielnica Będzina), był synem Jana i Genowefy Błach z Gródkowa, miał młodszego brata Zbigniewa. Ojciec był urzędnikiem w cementowni „Grodziec”, matka gospodynią domową. Mieszkali w Łagiszy przy ul. Dąbrowskiej. Jan po ukończeniu liceum im. M. Kopernika w Będzinie studiował na Uniwersytecie Warszawskim, już w czasie studiów pracował jako dziennikarz w „Nowej Wsi” aż do 1969 r.

Od 7 marca 1969 r. przeszedł z prasy wiejskiej do „Polityki”, wzmocnił menadżersko-inteligencki trzon pisma. Gdy zespół pisma podzielił się politycznie w 1981 r., a jego naczelny redaktor Mieczysław Rakowski i jeden z głównych publicystów Jerzy Urban przeszli

do czynnej polityki, Bijak poprowadził pismo dalej. W połowie 1982 r. stał się formalnie jego redaktorem naczelnym. Gromadził obok siebie ludzi wybitnych, niepospolitych. „Polityką” kierował do 1993 r. Od 1994 r. Był prezesem Spółdzielni Pracy Polityka od 1994 aż do 1999 r., kiedy odszedł na emeryturę.

Jest autorem tomu opowiadań „Kłopoty z sercem” oraz zbiorów reportaży: „Wesele w taki mróz”, „Furą do Arkadii” i „Piekłem nie postraszysz”. Był działaczem organizacji młodzieżowych: ZMW RP „Wici”, ZMP, Związku Młodzieży Wiejskiej. Otrzymał wiele odznaczeń, w tym Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. W ostatnich latach przed śmiercią ciężko chorował. Zmarł 4 stycznia 2014 r., a 16 stycznia został pochowany na Cmentarzu Północnym w Warszawie.

Bolesław Ciepela



Kulturalna twierdza Siewierza

Jeszcze w 2007 roku odwiedzających siewierskie ruiny dawnego Zamku Biskupów Krakowskich z daleka witała ostrzegawcza tablica z napisem „Miejsce niebezpieczne. Wspinaczka po murach grozi śmiertelnym niebezpieczeństwem”. Dzisiaj, po siedmiu latach intensywnych prac renowacyjnych, zabytkowa średniowieczna twierdza staje się prawdziwym centrum kulturalno-rozrywkowym Siewierza.

Zamek siewierski – odrodzenie

Zamek stanowi obecnie tzw. trwałą ruinę z zachowanym pełnym obwodem murów, wieżą bramną i zrekonstruowanym barbakanem. Prowadzone przez ostatnie lata intensywne prace remontowo-konserwatorskie, znacznie ograniczyły dalszą dewastację obiektu, a także przywróciły mu część dawnego uroku. Powstała między innymi platforma widokowa wraz ze schodami w wieży bramnej zamku, z której można podziwiać panoramę Siewierza, w tym zabytkowe kościoły pw. św. Barbary i Walentego oraz pw. św. Macieja, rynek siewierski oraz otaczające miasto lasy. Do zamku prowadzi drewniana kładka, a przed samą bramą wejściową znajduje się zrekonstruowany, unikatowy most zwodzony, którego mechanizm oparty jest o przeciwwagę. Trawiasty niegdyś dziedziniec został wybrukowany, zabezpieczono kolejne części murów, odrestaurowano pomieszczenia piwniczne, a ich strop dostosowano do użytkowania jako scena.

W zamkowej piwnicy można dzisiaj znaleźć gabloty z ekspozycją odkrytych archeologicznych, zobaczyć makietę ukazującą średniowieczny układ urbanistyczny rynku oraz przyjrzeć się z bliska rycerskim zbrojom. Przy pomocy komputera odwiedzający mogą odbyć „multimedialną podróż w czasie”, poprzez wirtualny spacer, obserwując wizualizacje zamku i komnat z czasów jego świetności. Ten multimedialny przewodnik to produkt powstały przy okazji realizowania dużego happeningu historycznego, wykorzystującego m.in. cyfrowe technologie, który miał miejsce w 2011 roku.



Front zamku. Fot. UM w Siewierzu

Rozrywka

Ten happening – „Multimedialna podróż w czasie na Zamku Siewierskim” – to nie jedyna impreza plenerowa, w której centrum znalazł się siewierski zamek. W 2010 roku odbyło się tutaj multimedialne widowisko teatralne z gatunku światło i dźwięk pt. „Komnata natchnień”, angażujące wielu artystów z różnych dziedzin sztuki.

Obecnie na zamkowej scenie oraz na zamkowych błoniach cyklicznie organizowane są gminne uroczystości połączone z koncertami gwiazd muzyki. W najbliższym czasie będzie to możliwe z okazji „Majówki w Siewierzu”, a już na początku czerwca w związku z obchodami 52. Dni Ziemi Siewierskiej usłyszeć będzie można m.in. zespół Zakopower. 12 i 13 lipca odbędzie się druga edycja Festiwalu „Blues na siewierskim zamku”. W zeszłym roku widownia podziwiała uznanych artystów sceny bluesowej polskiej i zagranicznej tj. Kasa Chorych czy Boney Fields & the Bone's Project. W tym roku dyrektor artystyczny festiwalu również zadba o to, aby gwiazd na zamkowym dziedzińcu nie zabrakło.

Dziedzictwo

Zamek w Siewierzu jest obecnie najlepiej rozpoznawalnym symbolem miasta w województwie. Po długiej przerwie wrócił na mapę turystyczną regionu, przyciągając do siebie gości. Od udostępnienia go zwiedzającym w maju 2008 roku zabytek odwiedziło już ponad 140 tysięcy



Dziedziniec. Fot. UM w Siewierzu



Piwnica siewierskiego zamku. Fot. UM w Siewierzu

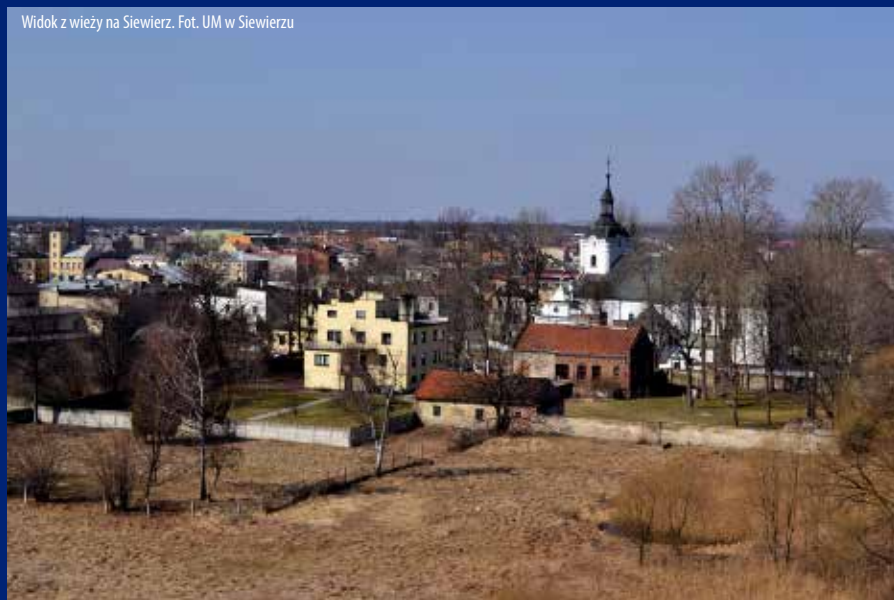
osób! Miasto we współpracy z gminnymi organizacjami pozarządowymi stara się uatrakcyjnić zwiedzanie budowli turystom, poprzez niekonwencjonalne sposoby przekazywania wiedzy o historii i dziedzictwie dawnego Księstwa Siewierskiego. Na terenie zamku, w sezonie letnim, odbywają się m.in. pokazy walk rycerskich, wystawy ubioru i uzbrojenia z czasów średniowiecza. W samym środku wakacji na zamkowe błonia zjeżdżają się rekonstruktorzy z całej Polski, by przez dwa dni toczyć turniejowe potyczki. W tym roku, w dniach 26 i 27 lipca, Siewierz po raz trzeci będzie gościł rycerzy na turnieju pn. „Bitwa pod Siewierzem”.

Rekreacja

Północne tereny wokół zamku przeznaczone są z kolei na cele związane z aktywnością ru-



Plac zabaw i Orlik. Fot. UM w Siewierzu



Widok z wieży na Siewierz. Fot. UM w Siewierzu

niezależnie od wieku, nie tylko z Gminy, ale również z okolic.

Dawny Zamek Biskupów Krakowskich obecnie gromadzi wokół siebie mieszkańców poszukujących rozrywki i odpoczynku oraz turystów zainteresowanych wyjątkowością siewierskich ruin i ich historią. Po dawnych znakach ostrzegawczych nie ma już śladu, a ich miejsce zajęły nowoczesne infokioski prezentujące bogatą ofertę turystyczną miasta i regionu. Poza tym zmienił się sam charakter miejscowości, która odzyskała swoje walory turystyczne, z warunkami do uprawiania sportu, rekreacji oraz uczestniczenia w kulturze i rozrywce. Dzięki temu siewierski zamek możemy śmiało nazywać kulturalną twierdzą miasta.

UM w Siewierzu (artykuł sponsorowany)



TEATR ZAGŁĘBIA

KWIECIEŃ 2014

05 Sb godz. **18:00** *Koń, kobieta i kanarek* Tomasz Śpiewak
PRAPREMIERA

06 Nd godz. **18:00** *Koń, kobieta i kanarek* Tomasz Śpiewak (Ab.)

08 Wt godz. **10:00** *Najmniejszy bal świata* Malina Prześluga

09 Śr godz. **10:30** *Balladyna* gościnnie Teatr Nowy z Zabrze

10 Cz godz. **09:30** *Balladyna* gościnnie Teatr Nowy z Zabrze

11 Pt godz. **19:00** *Koń, kobieta i kanarek* Tomasz Śpiewak

12 Sb godz. **18:00** *Moralność Pani Dulskiej*
gościnnie Teatr im. A. Mickiewicza z Częstochowy (Ab.)

13 Nd godz. **18:00** *Eugeniusz Bodo – czy mnie ktoś woła?* (Ab.)

15 Wt godz. **10:00** *Królowna Śnieżka* Wg baśni braci Grimm

21 Pn godz. **18:00** *Eugeniusz Bodo – czy mnie ktoś woła?*

23 Śr godz. **10:00** *Najmniejszy bal świata* Malina Prześluga

24 Cz godz. **19:00** *Prawda*/Florian Zeller
(promocyjny czwartek – 20 zł.)

25 Pt godz. **19:00** *Koń, kobieta i kanarek* Tomasz Śpiewak

26 Sb godz. **18:00** *Koń, kobieta i kanarek* Tomasz Śpiewak
(Ab.) **RODZICE DO TEATRU**

27 Nd godz. **18:00** *Bobiczek* Hanoch Levin (Ab.)

29 Wt godz. **10:00** *Szewczyk Dratewka* Maria Kownacka

30 Śr godz. **10:00** *Alicja w krainie czarów* Lewis Carroll

„Koń, kobieta i kanarek” Tomasa Śpiewaka / reż. Remigiusz Brzyk
Czy można wierzyć historii opowiedzianej przez Głupka z astmą i szpotawą stopą? To on oprowadzać będzie widzów po miasteczku, które leży u podnóża kopalni i w którym rozgrywać się będzie akcja najnowszego spektaklu „Koń, kobieta i kanarek”. Tytuł sztuki nawiązuje do rozporządzeń, na mocy których w latach pięćdziesiątych wprowadzono w kopalniach zakaz pracy pod ziemią kobiet, koni i kanarków (górnicy łączą te zakazy i zwyczajowo nazywają je „3K”). Realizatorzy Tomasz Śpiewak i Remigiusz Brzyk znani z odnoszącego sukcesy „Korzeńca” wracają do Sosnowca, by opowiedzieć historię patriarchalnej, górniczej rodziny. Nie będzie to przedstawienie ani lokalne, ani historyczne. Używając kostiumu górniczego patriarchy, Śpiewak i Brzyk tworzą współczesną przypowieść o przemocy wobec kobiet.

Rodzice do Teatru!

„Rodzice do Teatru!” to projekt powstały we współpracy Teatru Zagłębia oraz Ośrodka Twórczego Rozwoju Skrzydlatej Żyrafy. Skierowany jest do rodziców dzieci w wieku od 4 do 8 lat. Raz w miesiącu, podczas wybranego sobotniego spektaklu, rodzice mogą przyjść do Teatru razem ze swoim dzieckiem. Podczas gdy dorośli będą oglądać przedstawienie, ich dziećmi zaopiekuje się wykwalifikowana psycholożka i trenerka umiejętności społecznych, Agnieszka Biela, właścicielka Skrzydlatej Żyrafy. Projekt to idealne rozwiązanie dla rodziców, którzy chcieliby skorzystać z oferty kulturalnej Teatru, a nie mają z kim zostawić swoich dzieci. Na rodziców i dzieci czekamy w sali Biura Obsługi Widzów.

TEATR ZAGŁĘBIA W SOSNOWCU
UL. TEATRALNA 4, 41-200 SOSNOWIEC
tel./fax 32 266 11 27
www.teatrzaglebja.pl
bow@teatrzaglebja.pl
www.facebook.com/TeatrZaglebja





Liczy się
ENERGIA

Przyłącz się do nas!

